

Magrit Sandemo

Echo

Saga o Czarnoksiężniku 10

Przełożyła Iwona Zimnicka

(Dvargarop)

data wydania oryginalnego 1993

data wydania polskiego 1997

STRESZCZENIE

Lata czterdzieste XVIII wieku.

Od dwudziestu pięciu lat Móriego, czarnoksiężnika z Islandii, i jego pochodzącą z Norwegii żonę, Tiril, ścigają podstępni rycerze Zakonu Świętego Słońca. Rodzina Móriego posiada wiele cennych informacji na temat Słońca, olbrzymiej złocistej kuli, obdarzonej magicznymi właściwościami.

Istnieją jeszcze dwa cudowne kamienie. Dolg, starszy z synów Móriego i Tiril, tajemniczy chłopiec z wyglądu przypominający elfa, jako dziecko odnalazł niebieski szafir, który posiąść pragnął także Zakon.

Móri przekroczył kiedyś granicę innego świata i przywiódł stamtąd gromadkę duchów. Wspomagają one rodzinę, kiedy zajdzie taka potrzeba.

Troje dzieci Móriego i Tiril już dorosło.

Siostra Dolga, Taran, podczas pobytu w Norwegii wpadła w tarapaty. Musi się bronić nie tylko przed rycerzami Zakonu, lecz także przed śmiertelnie niebezpieczną istotą, jaszczurem Sigilionem. Przeciwnicy planują porwać ją jako zakładniczkę i wymienić na niebieski kamień.

Móri i Tiril wraz z synami Dolgiem i Villemannem wyruszyli na Islandię, gdzie Dolg ma wykonać kolejne zadanie, zlecone mu przez duchy i swego ducha opiekuńczego, Cienia, który wie o świętych kamieniach więcej niż ktokolwiek inny.

Rozdział 1

W nocnej ciszy statek zawinął do portu Seydhisfjörður na wschodnim wybrzeżu Islandii. Za ledwie garstka mieszkańców małego portu rybackiego jeszcze nie spała i zobaczyła, kto schodzi na ląd.

Pokład statku opuściło siedmiu mężczyzn w barwnych opończach. Szli w milczeniu, ponurzy, budzący grozę. Islandczycy z lękiem patrzyli na jaśniejące w mroku blade twarze i niezwykle, błyszczące jak słońce znaki widniejące na piersiach przybyszów.

Obcy nie znoszącym sprzeciwu tonem zażądali miejsca na nocleg i sprowadzenia koni, które rano powinny już czekać. Jeden z nich władał islandzkim na tyle, by móc się porozumieć z tutejszymi ludźmi.

Właśnie on, wysoki mężczyzna o kamiennej twarzy, zwrócił się do starszego rybaka:

- Czy ostatnio przyplłynął tu jakiś statek?

- Nie dalej jak wczoraj przybiła szkuta z Bergen - oznajmił rybak.

- Byli na niej obcy?

- Owszem - niczego nie podejrzewając odparł Islandczyk. - Kilko ludzi, towarzyszył im wielki pies.

Zauważył spojrzenia, jakie ukradkiem posłali sobie nieznajomi, i bardzo mu się one nie spodobały.

- Opisz ich!

Rybak zaczął niechętnie:

- Małżeństwo w średnim wieku i dwaj młodzieńcy, chyba synowie.

- Dokąd się wybierali?

Rybak, zaniepokojony wrogą postawą mężczyzn i mający świeżo w pamięci życzliwość, jaką poprzedniego dnia okazali mu Móri i jego rodzina, postanowił uważać na to, co mówi.

- Nie wiem - skłamał. - Nie widziałem też, w którą stronę pojechali. Najczęściej jednak podróżni udają się na południe, ku Hofn.

Grupka Móriego z całą pewnością nie wyruszyła w tamtym kierunku, ale czyż można mieć pretensję o to, że nie śledzi się poczynañ wszystkich obcych, którzy się pojawiają?

Nie miał ochoty gościć ponurych przybyszów u siebie nawet przez jedną noc, wysłał więc ich do gospodarstwa, gdzie zwykle przyjmowano podróżnych przyływających do Seydhisfjörður. Nigdy więcej ich już nie spotkał i, prawdę mówiąc, bardzo się z tego cieszył.

Siedmiu mężczyzn przybyło na Islandię z rozkazu brata Lorenzo, który nareszcie mógł samodzielnie rządzić Zakonem Świętego Słońca.

Osobiście wybrał ludzi wysłanych potem w pościg za Mórim i Dolgiem. Tym razem w grę nie wchodził żaden pompatyczny brat Johannes, lekko rozhisteryzowany kardynał von Graben czy też żółtodziób z Danii, Rasmus Finkelborg.

Ten zastęp został specjalnie wyszkolony przez Lorenza. Zaledwie dwaj jego członkowie należeli do Zakonu jeszcze za czasów kardynała, pozostałych pięciu Lorenzo wprowadził natychmiast po śmierci Wielkiego Mistrza.

Móri i jego duchy przetrzebili gromadę rycerzy, lecz trudno powiedzieć, czy wyszło im to na dobre.

Owych siedmiu mężczyzn oznaczało śmierć.

O swych prawdziwych imionach zapomnieli już dawno temu. Od dzieciństwa ich wychowaniem zajmował się brat Lorenzo, nosili także imiona, które on dla nich wybrał: Falco i Nibbio, Sokół i Jastrząb, dwaj dumni mężczyźni w pełni zasługujący na miano drapieżnych ptaków. Dalej byli Lupo i Ghiottone, Wilk i Rosomak, przebiegli, umiejący sprytnie podkraść się do zdobyczy. Kolejni, Sciacallo i Serpente, Szakal i Wąż, obaj z taką chytrą w oczach, tak podstępni, że brat Lorenzo, przywitawszy się z nimi, zwykle liczył palce, sprawdzając, czy żadnego nie brakuje. Ostatnim z grupy był Hiszpan Tiburon, Rekin; Lorenzo wzdragał się na myśl o pozostaniu z tym człowiekiem sam na sam.

Upatrzył ich sobie, gdy jeszcze byli rozbisurmanionymi smarkaczami z portowej dzielnicy Genui, wszyscy oprócz Falcona, młodzieńca szlacheckiego rodu, lecz odrzuconego przez najbliższych. Falco jednak nigdy nie zapomniał o swym pochodzeniu.

Lorenzo, za plecami własnej rodziny, zajął się wychowaniem młodzieńców. Bez trudu udało mu się włączyć Falcona i Nibbia do Zakonu, na członkostwo pozostałych za życia kardynała nigdy by się nie zgodzono.

Ale kiedy tylko von Graben zginął, zaszlachtowany przez Sigiliona, Lorenzo jak najspieszniej przedstawił pozostałym rycerzom kolejnych pięciu swych protegowanych. Bez skrupułów nadal im wspaniałe tytuły szlacheckie i roztoczył przed innymi braćmi wizję ich bogactwa. A przecież młodzieńcy żyli na łasce Lorenza.

Nauczył ich, jak mają walczyć, atakować i zabijać. Jako wielki mistrz Zakonu Świętego Słońca uzyskał dostęp do magicznych środków. Na jego rozkaz siedmiu najmłodszych braci wykapano w ochronnych olejach i wywarach z ziół, poddano działaniu zaklęć i znaku Słońca, należącego niegdyś do kardynała. Teraz ów znak, jeden z dwóch oryginalnych, posiadających potężną moc, przypadł bratu Lorenzo, a jego podopieczni otrzymali każdy swój talizman, hartowany pod wpływem mocy oryginału.

Drugi z prastarych znaków miał Dolg.

Protegowani Lorenza byli teraz w sile wieku, liczyli od trzydziestu pięciu do czterdziestu pięciu lat. Ich przygotowanie dobiegło końca. Sam Lorenzo nie towarzyszył im w wyprawie na Islandię, uznał, że jest na to za stary.

Oczywistym przywódcą grupy był Falco, ale to Nibbio mówił trochę po islandzku. Lorenzo niemal na samym początku zlecił pewnemu uczoneму, by dał chłopcu podstawy wielu języków, Nibbio bowiem odznaczał się niemal przerażającą inteligencją. Kontynuował naukę nawet po uśmierceniu swego nauczyciela; zabił w obawie, że ten zdradzi jakąś jego tajemnicę. Nibbio nie był najlepszym synem

swej matki i gdyby Zakon dowiedział się o jego zbrodniczych skłonnościach, Lorenzo mógłby mieć kłopoty.

Zbrodnicze skłonności? Jakby Zakon Świętego Słońca sam pod tym względem nie miał nic na sumieniu! Ale tajemnicze poczynania Nibbia były do tego stopnia ohydne, że podobać się mogły chyba jedynie kardynałowi.

Właśnie z niosącym śmierć Nibbiem, Jastrzębiem, rozmawiał rybak z Seydhisfjördhur.

Siedmiu rycerzy przenocowało we wskazanym domostwie, z niecierpliwością wyczekując wyruszenia w dalszą drogę. Wszyscy obrali sobie ten sam cel: odnaleźć Święte Słońce i osiąść wszelkie korzyści, jakie się z nim łączą.

Od brata Lorenzo otrzymali zdecydowany rozkaz: Odszukać czarnoksiężnika i jego syna, zabić ich i wrócić z niebieskim szafirem!

Bratu z Danii, Rasmusowi, i Robertowi ze Szwecji nie udało się pojmać Taran jako zakładniczki i wymienić jej na kamień. Sciacallo, Szakał, dzięki bratu Lorenzo rozwinął zdolność przekazywania myśli i dobroczyńca zdołał przekazać mu wieści tuż przed zejściem na ląd na Islandii. Wprawdzie siedmioosobowy oddział wysłano z poleceniem odebrania wrogowi szafiru, lecz właściwie traktowano to jako działania ubezpieczające. - Ostatnie wieści jednak donosiły, że na braci z Danii i ze Szwecji już nie można liczyć, obaj zginęli, uśmierceni przez przypominającego ogromną jaszczurkę potwora, do którego nikt nie powinien się zbliżać. Teraz więc jedyną nadzieją brata Lorenzo pozostawała grupa wysłana na Islandię.

W porannej mgle wyruszyli z Seydhisfjördhur w głąb lądu. Z początku sprawiało im kłopoty zapanowanie nad islandzkimi konikami, ale kiedy poddali się rytmowi tyłtu, ich szczególnego kroku, doszli do wniosku, że jest on wspaniały. Posuwali się naprzód niczym ponure mroczne upiory, konie, zdawało się, ledwie dotykały kopytami ziemi, a opończe wydymały się od pędu powietrza.

Sciacallo nosił kobaltowoniebieski płaszcz, bogato zdobiony szamerunkiem o skomplikowanym wzorze, a jego przyjaciel Serpente ciemnofioletową opończę, również przybraną złoceniami.

Chudy Nibbio nie miał na głowie ani jednego włosa i ani śladu brwi, co tym bardziej podkreślało jego upiorny wygląd. Kiedy się do tego dodało czarne oczy, jako że był Włochem, i szerokie usta wyrażające bezwzględność, makabryczne wrażenie jeszcze się potęgowało. Nibbio okrył się granatowym płaszczem, przybrany srebrnym.

Serpente, Wąż, miał jasnoszare oczy patrzące tak lodowato, że zdawało się, iż jego samego spowija welon mrozu. Lupo, Wilk, był potężniejszy, bardziej opanowany, ponura postać, na której twarzy nigdy nie zagościł cień uśmiechu. Przywdział opończę z aksamitu w kolorze mchu, z haftowanymi złotem brzegami. Ghiottone, Rosomak, zawsze trzymał się z boku, by nie rzucić się w oczy. Ludzie zwykle nie zwracali na niego uwagi, co dla tych, którzy wzbudzili jego gniew, okazywało się śmiertelnym błędem. Jego płaszcz był niemal czarny ze zdobieniami w kolorze miedzi.

Siódmy w grupie, Tiburon, Rekin, z pogardą traktował cały świat, w tym również swoich towarzyszy. Pozostali zdawali sobie sprawę, że kiedy Tiburon przestanie ich potrzebować, bez skrupułów podetnie im gardła. Tiburon nosił brunatną opończę, ozdobioną złotem, Falco zaś purpurową ze srebrnymi zdobieniami. Współ stanowili zaiste przerażający oddział. Jechali w milczeniu, słychać było jedynie lekkie uderzenia kopyt o miękką ziemię.

Musieli posuwać się spory kawałek wzdłuż linii fiordu, gdyż wąski Seydhisfjördhur wcinał się głęboko w ląd i nawet kiedy pozostawili już za sobą morze, wciąż jechali dnem ciasnej doliny.

Samotny jeździec zmierzający w stronę morza usłyszał, jak nadciągają. Usunął się z drogi.

Na widok oddziału ze zdumienia szeroko otworzył oczy. Czyżby to jeźdźcy Apokalipsy? A może orszak diabelski? Te powiewające strojne szaty, skryte w cieniu kapturów blade twarze, na których malowała się śmiertelna powaga... Upiorny widok przyprawił go o wstrząs, długo nie mógł się przemóc, by skierować konia z powrotem na drogę.

Dziękował niebiosom, że w porę zdołał się wycofać i że wierzchowiec nie zarżał, wyczuwając obecność pobratymców. Prawdę powiedziawszy, także koń sprawiał wrażenie wylęknionego tym spotkaniem.

Jeździec zdążył zauważyć, że na piersiach potwornych rycerzy błysnęły zawieszane na łańcuchu jakieś znaki.

Na ich wspomnienie przeszył go dreszcz. Takie znaki zwiastowały niebezpieczeństwo, zło, śmierć.

Siedmiu wybrańców Lorenza dotarło do Egilsstadir, skąd rozchodziły się drogi na północ, północny wschód i południe.

Bez wahania ruszyli w kierunku południowym, zwłaszcza że ta droga wydawała się także najszersza.

Nie mieli czasu do stracenia. Zwierzyna, którą ścigali, wyprzedziła ich o dobę, postanowili więc nie zatrzymywać się w Egilsstadir.

Tej decyzji przyszło im żałować.

Rozdział 2

Dolg stał nieruchomo na szczycie Dimmifjallgardhur, wśród wzgórz północno - wschodniej Islandii.

Czarne jak węgiel włosy falami spływały mu na szerokie ramiona. Twarz o skórze barwy kości słoniowej nabrała zdecydowanej męskości, mimo to jednak jego eteryczność stała się wyraźniejsza niż kiedykolwiek. Rysy, idealne w każdym szczególe, wydawały się ulotne, niemal przezroczyste, a w dziwnych, podłużnych, całkiem czarnych oczach widać było bezdenną głębię. Dolg zdawał sobie sprawę, że to stała bliskość kamienia przyczyniła się do jego niezwykłego, wręcz niezziemskiego wyglądu. Szafir zawsze nosił przy sobie w sakiewce umocowanej

do paska. Właściwie kula była dość ciężka, lecz ów ciężar dawał Dolgowi poczucie bezpieczeństwa. Bez niego czuł się dziwnie bezbronny.

Pogładził Nera po wielkim łbie. Przykucnął i zaczął przemawiać do psa, swego najbliższego przyjaciela.

- Wiatr, rozumiesz? - szeptał. - W kraju mojego ojca właśnie wiatr jest taki niezwykły. Powietrze jest tu inne. Wiatr niesie z sobą ostry zapach pól lawy i ubogich porostów. Ale w wietrze wyczuwa się coś jeszcze: wołanie zarania dziejów Islandii, które wcale nie jest tak odległe w czasie, jak by się mogło wydawać - dokończył uśmiechnięty.

Nero z życzliwym zainteresowaniem słuchał całej przemowy, rozumiejąc zaledwie parę słów, a także przyjacielski ton swego pana. Pan Dolg prawie zawsze mówił miękkim, łagodnym tonem, tylko wobec niedobrych ludzi odzywał się ostro, a wtedy Nero spieszył mu z pomocą, warczał wściekle, siejąc przestrasz.

Doskonale im się współdziałało.

Nero ubóstwiał Dolga, gotów był dla niego bez namysłu skoczyć w ogień. I wzajemnie.

W pewnym oddaleniu na wzgórzu widzieli Móriego, Tiril, Villemanna i małe islandzkie koniki. Cała grupa odpoczywała, a Dolg w tym czasie postanowił pobyć trochę sam, aby móc wyczuć, wchłonąć wrażenia z tego nowego świata.

Przed kilkoma dniami zeszli na ląd w Seydhisfjordhur na wschodnim wybrzeżu Islandii. Móri wyjaśnił, że bardzo mu to odpowiada, chciał bowiem najpierw udać się do Borgarfjörður, nieco dalej na północ wzdłuż wybrzeża. Na pytanie, dlaczego, odpowiedział, że Borgarfjörður znane jest na Islandii jako jedno z głównych miejsc, gdzie przebywają elfy. Podobno spotkać tam można całą ich społeczność, a także inne duchy przyrody.

Warto było poświęcić czas, by tam pojechać. Już sama droga robiła ogromne wrażenie, wąska i stroma tak, że mogło się zakręcić w głowie. Widzieli też bazaltowe skały przypominające piszczalki organów, a kiedy mijali dwie wysokie,

dumnie wznoszące się w górę skały po obu stronach drogi, wydawało im się, że przejeżdżają przez bramę wiodącą wprost do tajemniczego świata baśni...

Villemann, przyrodnik z zamiłowania, w zachwycie przyglądał się połyskującym wokół rozmaitym minerałom. Islandia była dla niego przygodą, której miał nigdy nie zapomnieć. Oczarowała go już pierwszego dnia.

W rzadko zaludnionym Borgarfjörður znaleźli jednak miejsce na nocleg.

Zmęczeni podróżą udali się na spoczynek, nie mieli sił, by jeszcze tego samego wieczoru podejmować jakiegokolwiek poszukiwania.

W nocy Dolgowi przyśnił się sen...

Zwykle większość snów zapomina się od razu, dlatego też Dolg wiedział, że jeśli z przejmującą jasnością pamięta, co mu się śniło, należy uznać to za znak, iż powinien mieć się na baczności.

Wtedy, w Borgarfjörður... Tamten sen...

Znajdował się na szczycie jednego z tamtejszych wzgórz. Otaczały go islandzkie elfy, bardzo szczególne duszki przyrody. Takie połyskliwe, jaśniejące, eteryczne.

Takie... maleńkie?

We śnie nie potrafił określić, jakie są, ale rozmawiał z nimi. Ich głosy brzmiały niczym odległe echo, niczym głosy karłów, jak określa się echo w Norwegii:

“Nie tutaj. Nie tuuu...”

“Gdzie więc?” spytał.

“Pokierujemy twoją drogą, Samotny. Witaj w naszej krainie, ale my z Borgarfjörður nie jesteśmy tymi, które wiedzą”.

“Czy to znaczy, że posuwamy się we właściwym kierunku?”

“Tak”.

“Musimy więc jechać stąd na zachód? Przez Jökuldalsheidhi, jak twierdzi mój ojciec?”

“Tak. Twój ojciec, potężny czarnoksiężnik, zna drogę”.

“Ależ mój ojciec nigdy nie był w tych stronach”.

“On to czuje w sobie”.

Po tym sen rozplynął się w inne, niewyraźne obrazy. Dolg chciał spytać elfy, co może dla nich zrobić, lecz już zniknęły.

Przyjemnie było usłyszeć, że ojciec na Islandii jest tak szanowany. Właściwie źle się stało, że Móri nie mógł tu mieszkać; Dolg zauważył, jak szczęśliwy i swobodny jest teraz ojciec.

Dolg zorientował się, że siedział w kucki i drapał Nera za uchem tak długo, aż ścierpły mu nogi. Ale psy potrafią poddawać się tej pieszczocie chyba bez końca.

Pod stopami zastygła lawa układała się w zawiłe wzory.

- Islandia to najmłodsza kraina na Ziemi - podjął opowiadanie Dolg. Z natury samotnik, często w taki sposób rozmawiał z Nerem. - Można też powiedzieć, że dzieło stworzenia wciąż się tu nie zakończyło, dlatego ciągle słyszę niesione wiatrem wołanie udręczonej planety. Wiem, stwarzanie boli.

Umilkł. Nero przytulił łeb do jego kolana.

Tu jest moje miejsce, pomyślał zdumiony Dolg. Chociaż wiem, że Islandia nie jest moim ostatecznym celem, to tutaj jest mój świat.

Nagle spłynęło nań przekonanie.

Ktoś go wzywał.

A może...? Jeszcze nie. Jeszcze nie dotarli na miejsce.

A jednak usłyszał coś w swym wnętrzu.

Nasłuchiwał. Smutek. Tęsknota. Żal.

Jeszcze jeden odległy okrzyk został pochwycony przez wiatr i cichł poniesiony dalej. Dolg wstał z uśmiechem.

- Rzeczywiście ktoś nas wzywa. Ale teraz wołał po prostu ojciec. Najwyższy czas ruszać w drogę. Chodź!

Zaraz po zejściu na ląd na wschodnim wybrzeżu Islandii postarali się o konie, wspaniałe, wierne koniki, które wkrótce wzbudziły zachwyt u wszystkich.

Móri sugerował, aby pojechali nie na południe, lecz na północ przez

Dimmifjallgardhur. Była to droga trudna, po części nawet nie zbadana, ale

zdaniem Móriego istniały znaki wskazujące, że właśnie nią powinni podążyć. A

Móri zwykle wiedział, co mówi. Teraz jeszcze elfy potwierdziły, że jadą we właściwą stronę.

Przede wszystkim jednak towarzyszące Dolgowi od lat przecucie głosu karłów podpowiadało Móriemu, gdzie należy się skierować.

“Najlepsze miejsce, by usłyszeć głosy karłów, czyli echo, to Hljödhaklettur nad Jökulsá. A ponieważ znaleźliśmy się tak daleko na wschodzie, właśnie tam pojedziemy” - oświadczył.

Małe koniki niosły ich przez doliny i wzgórza, przepływały głębokie rzeki, znajdowały drogę tam, gdzie jej nie było. Zbliżali się teraz do Jökulsargljúfur - przełomu rzeki Jökulsá.

Dolg, zanim dołączył do swych towarzyszy podróży, jeszcze raz się zatrzymał.

Nero także przystanął i pytająco spojrzął na przyjaciela, który wyjął coś z kieszeni płaszcza.

- Zobacz - zwrócił się do Nera, podsuwając mu pod nos niedużą, pięknie rzeźbioną skrzyneczkę. - Dostałem ją w prezencie w dniu chrztu od mego dziada, Hraundrangi - Móriego. Matka dała mi ją przed wyjazdem na Islandię, bo przypuszczała, że może mi się tutaj przydać. Nauczyciel właśnie jej powiedział: “Hraundrangi - Móri przyniósł bezcenny skarb w szkatułce, której nikomu z was nie wolno otwierać. Otworzyć ją może tylko chłopiec, kiedy zrozumie, że nadszedł na to czas”. Zobaczmy teraz, Nero. Co wyczuwasz?

Nero ostrożnie obwąchał kasetkę i zamerdał ogonem.

- To znaczy, że szkatułka jest dobra - doszedł do wniosku Dolg. - Dziękuję ci! Ale tego też się i spodziewałem. Zobaczmy, czy się do czegoś przyda. Widzisz, nie ma w niej żadnego widocznego zamknięcia. Villemann usiłował je znaleźć, oczywiście bez zamiaru otwierania, ale nawet on musiał się poddać.

Nero jeszcze raz machnął ogonem, tym razem na dźwięk imienia pana Villemanna. W kochającym psim sercu dość było miejsca dla wszystkich najbliższych.

Dolg stanął wyprostowany.

- Czego ja właściwie szukam na Islandii? - spytał Nera.

Ciemne, mądre oczy psa patrzyły na niego z uwagą.

- Tak, masz rację, Nero. Wszyscy chyba wiemy, czego szukam. Ojciec i Villemann nam pomogą. Cieszę się, że matka także jest z nami. Ale brakuje mi Taran. Popełniliśmy błąd, zostawiając ją w Norwegii. Wiem, że niebezpieczeństwo zostało tam już zażegnane, ale ona powinna być z nami! Źle zrobiliśmy, opuszczając ją.

Nie wiedział, że Taran, która wcześniej gniewała się, iż jej nie zabrali, teraz ich za to błogosławi. Przecież w tym czasie spotkała Uriela, anioła stróża, którego niemal sprowadziła na manowce! Uriel ocalił ją przed Sigilionem i dwoma rycerzami Zakonu Świętego Słońca. Teraz Taran czuła się szczęśliwsza niż kiedykolwiek i wcale nie tęskniła za rodziną, chociaż rzecz jasna niepokoiła się o powodzenie ich wyprawy na Islandię.

Podróżującym towarzyszyły duchy, wprawdzie pozostawały niewidzialne, lecz ich obecność dawało się wyraźnie wyczuć. Dłg czasami nawet słyszał, jak dyskutują między sobą.

Jeszcze poprzedniego wieczoru rozmawiał z Cieniem, prosząc go o radę.

- Tym razem ci nie pomogę - rzekł Cień stanowczo. - Wówczas na bagnach wspierałem dziecko. Dorosłemu się nie pomaga.

- Dajcie nam chociaż znać, kiedy wybierzemy niewłaściwą drogę.

- Zgoda.

- To znaczy, że wciąż poruszamy się w dobrym kierunku?

- Tak.

- Słyszałeś coś o mojej siostrze?

- Ma potężnych opiekunów. Da sobie radę. Nie myśl o niej.

- Łatwo tak mówić!

- Przyznaję, że nie przewidzieliśmy pojawienia się Sigiliona, ale on wkrótce zniknie z pola walki. Rycerz także. Pani powietrza obwieściła, że opiekunowie Taran, Uriel i Soi z Ludzi Lodu, kontrolują sytuację.

- Mam nadzieję, że tak jest w istocie. Co mam robić w Hljödhaklettar?

- Słuchać.

No tak, takiej odpowiedzi Dolg się spodziewał. Dlaczego więc pytał?

Hljödhaklettar - Skały Dźwięku, albo jeśli kto woli Urwiska Wołania. Właściwie Urwiska Dźwięku.

Lub Góry Echa. Nazwę można tłumaczyć na wiele sposobów.

Rozmowa z Cieniem wcale nie uspokoiła Dolga. Jakże trudno szukać po omacku.

Nero i Dolg dołączyli wreszcie do grupy.

- Musicie coś przekąsić, zanim wyruszymy w dalszą drogę - powiedział Móri. - Oto lefse, placek z masłem dla każdego z was.

Tiril obserwowała synów. Była z nich bardzo dumna, lecz nie opuszczała jej niepokój.

Przenocowali w wielkiej zagrodzie w Egilsstadir, Służące kręciły się wokół wesołego, przystojnego Villemanna, zainteresowała się nim nawet rozpieszczona córka gospodarzy. Tak było, dopóki nie pojawił się Dolg.

Tiril przywykła już do takiego obrotu sprawy. Proste dziewczęta na widok Dolga drżały z podziwu pomieszanego ze strachem, zawsze jednak znalazły się panny, które pociągała niezwykłość. Traciły głowę dla bijącej od Dolga tajemniczości.

Najczęściej, jak zauważyła Tiril, dotyczyło to dziewcząt, którymi akurat interesował się Villemann, a wtedy jej młodszemu synowi, pozostającemu zawsze w cieniu brata, robiło się przykro. Nic więc chyba dziwnego w tym, że Villemannowi, pragnącemu podkreślić własną osobowość, przychodziły do głowy szalone pomysły?

Dolg zwykle zaraz po przywitaniu wycofywał się, jeśli zauważył u dziewczyny owo szczególne wyglądnięte spojrzenie myśliwego. Robił to po części ze względu na brata, lecz także dlatego, że, jak to określał: "nie miał czasu na podobne historie".

To samo powtórzyło się w Egilsstadir. Córka gospodarzy przywykła dostawać wszystko, czego tylko chciała. Jej ojciec śmiejąc się z dumą oświadczył, że

wybiera i przebiera wśród zalotników, a panna, której bliżej już było raczej do trzydziestki niż dwudziestki, nie spuszczała oka z Villemanna.

Potem jednak do izby wszedł Dolg; zajmował się końmi i dlatego zjawił się później.

Spojrzenie, jakie posłała mu dziewczyna...

“Tego mężczyznę będę miała”, mówiło tak wyraźnie, że słowa stały się już zbędne. Nie wiadomo, czy upatrywała w Dolgu zalotnika, czy po prostu kochanka, najwidoczniej jednak postanowiła zastawić na niego sidła.

Dolg prędko zorientował się w sytuacji i uprzejmie, acz zdecydowanie wycofał się i udał na spoczynek, na wszelki wypadek starannie zamknąwszy drzwi do swego pokoju. Tiril dobrze to słyszała. Panna z powrotem więc skierowała uwagę na zmieszanego Villemanna. Tiril baczenie obserwując rozwój wydarzeń nalegała, by następnego dnia rano wyruszyli wcześniej, zanim dziewczyna zdąży się jeszcze obudzić.

O dziwo, Tiril nie zauważyła dramatu, jaki rozgrywał się w rodzinie: słabości Villemanna do Danielle, nie dostrzegającej jego milczącego podziwu i świata nie widzącej poza Dolgiem, który z kolei traktował ją tylko jako przybraną siostrę.

Uczuciowe zamieszanie przypadkiem zrozumiała jedynie Taran.

Tiril jeszcze raz powiodła wzrokiem po wzgórzach, ale żadna spragniona miłości panna nie podążyła za nimi.

Nie wiedziała, że powinna raczej rozglądać się za innymi: Za siedmioma jeźdźcami w strojnych, barwnych opończach.

Rozdział 3

Dotarli do Jökulsárgljúfur, najdzikszego z wąwozów Islandii, otchłani o trudnych do wyobrażenia rozmiarach. Miejscami wąwóz był szeroki, a z płaskiego dna sterczały wysokie, wąskie kolumny z kamienia, przypominające powbijane pale, miejscami zaś zwężał się w głębokie, ciasne rozpadliny. Tutaj rzeka Jökulsá a Fjöllum tworzyła największy wodospad Europy, Dettifoss, “spadającą wodę”.

Stali zapatrzeni w wodospad. Nero na wszelki wypadek cofnął się i skrył za Mórim, jak zawsze przekonany, że jego pan jest czymś na kształt Boga i potrafi także ujarzmić siły natury.

Villemann, zamiłowany przyrodnik, w uniesieniu obserwował niezwykle zjawisko. Brunatna od piachu woda przelewała się z niezmienną siłą dzień po dniu, rok po roku, tysiąclecie po tysiącleciu. Usiłował obliczyć, o jaką ilość wody może chodzić, ale tak naprawdę nie mieściło mu się to w głowie. Przechodziło jego pojęcie, że na sekundę przelewa się tędy dwieście ton wody. Z podziwem patrzył na wznoszące się po obu stronach wodospadu ściany z bazaltu, minerału przypominającego budowlę z podłużnych wąskich, klocków.

U stóp grupki ludzi huczał wodospad. Stali wysoko na skałach, a mimo to na dłoniach i twarzach czuli unoszące się w powietrzu drobiny piany; wiedzieli, że jeśli wkrótce się nie odsuną, przemokną do suchej nitki.

Dolg całym ciałem wyczuwał życie wodospadu. Kiedyś jeden ze skaldów Islandii napisał o Dettifoss:

“Twarda skała pod tobą wibruje niczym źdźbło trawy, trącone chłodnym podmuchem nocnego wiatru”.

Z ruchu ust Tiril wyczytali, że woła:

- Musimy iść dalej!

Posuwali się na północ niezwykłą doliną rzeki Jökulsa i ze zdumieniem rozglądali się dokoła. Być może kiedyś była to piękna, zielona dolina, nic o tym nie wiedzieli. Jednak bliskość potężnych wulkanów: Viti (“Piekło”), Askja, Krafla i Herdhubreidh (“Szeroki w barach”) oraz okolic, gdzie z powstających na przestrzeni tysiącleci szczelin nagle na ziemię wylewała się rozżarzona lawa, zniszczyły dolinę.

Przywodziła teraz na myśl otchłań, do której w dniu Sądu Ostatecznego rozgniewani aniołowie będą strącać dusze skazane na potępienie. Ziemia poczerniała od popiołu i zastygłej lawy, kamienne słupy wznosiły się nad ponurymi tajemnicami.

Ponieważ dotarli daleko na północ, gdzie dzień prawie niczym nie różnił się od nocy, jechali dalej, chociaż nastąpiła już pora wieczoru.

Nagle znaleźli się w labiryncie wysokich skał, w pogańskim pejzażu, na którego widok ciarki przebiegały im po plecach.

- Nie możemy się tu pogubić - rzekła Tiril półgłosem, a mimo to jej słowa odbiły się od skalnych ścian.

Dolg prędko odwrócił się do ojca.

- Czyżbyśmy byli na miejscu?

- Tak - odparł Móri. - To Hljödhaklettar.

Villemann z lekkim przerażeniem wypuścił powietrze z płuc.

- Uff! A mimo wszystko... pięknie tutaj!

- To prawda, uroda jałowej ziemi jest bardzo szczególna - zgodził się Móri. - Teraz musimy znaleźć miejsce, w którym jest najlepsze echo.

- Może przy tej wielkiej skale o fallicznym kształcie? - podsunęła Tiril.

- Wydaje się całkiem prawdopodobne. Nigdy wcześniej tu nie byłem, przypatrywałem się tylko skałom z daleka.

- Po której stronie powinniśmy stanąć? - zastanawiał się Villemann.

- Sprawdźmy. Rozejdziemy się, żeby znaleźć najlepsze echo.

- Przecież tutaj echo jest wszędzie - mruknął Villemann. - Strach nawet szepnąć!

Dolg nie spuszczał oka z samotnego kolosa z lawy, którego sobie upatrzyli.

- Z której strony? - cichym głosem zadał pytanie niewidzialnemu towarzyszowi.

- Sam się o tym przekonasz - odparł Cień.

- Marnujesz mój czas.

- Spróbuj pomyśleć!

Szybszy jednak okazał się Villemann.

- Już z nazwy tego miejsca wynika, że zasłynęło z echa. A to znaczy, że ludzie musieli je odwiedzać wcześniej. Poszukajmy ich śladów.

- Mądrze pomyślane - pochwalił syna Móri.

Villemann zachichotał:

- I ślepiej kurze trafia się czasem ziarno. A raczej chodzi o koguta, o, tak, o koguta w każdym calu!

- Ślepiej kurze trafia się kogut? - rzekł Dolg z uśmiechem. - O to chyba nie tak trudno?

Villemann podniósł ze skalnej kolumny luźno leżący kamyk i rzucił nim w brata. Nie wcelował i kamyk uderzył w skałę. Zagrzmiało echo.

Móri zauważył wkrótce wąską ścieżynkę. Jej odnalezienie wymagało wielkiego skupienia, nieczęsto bowiem ktoś się zapuszczał na te pustkowia, odległe od ludzkich siedzib. Wiodła w dół do miejsca wydeptanego stopami człowieka.

- Tutaj! - oświadczył Móri. - Spróbujmy tutaj!

- Pozwólcie mnie pierwszemu - prosił Villemann.

Zrobili mu miejsce. Słońce zawisło nisko na niebie, oślepiające mocne słońce, przydające krajobrazowi osobliwej ostrości.

Villemann przyłożył dłonie do ust i zawołał:

- Jestem głupi czy mądry?

- Mądry - odpowiedziały góry.

- Inteligentne skały - stwierdził Villemann. - Nie, Nero, tam nikogo nie ma. Wracaj!

Oj, echo odpowiedziało i pies zawraca! Chodź!

- Potrafisz odpowiednio sformułować pytania - zauważył Móri. - Teraz moja kolej.

Co nas czeka, przegrana czy zwycięstwo?

- Zwycięstwo - rozległa się odpowiedź.

- Teraz ja - zaśmiała się Tiril. - Czy Villemann będzie nam pomocą, czy kłopotem?

- Kłopotem.

Villemann natychmiast się odciął:

- Matka także?

- Matka, także.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

W szerokiej, płaskiej dolinie poprzecinanej wieżami z lawy zapadła niezwykła cisza, jakby wszystko wokół wstrzymało oddech.

Dolg się wahał.

- Nie. Nie tutaj. Echo jest rzeczywiście wspaniałe, lecz ono nie wystarczy. To po prostu echo, a nie... głosy karłów!

Przez sposób, w jaki to powiedział, natychmiast zrozumieli, o co mu chodzi.

- Wydaje mi się... - zastanawiał się Dolg. - To chyba tam.

Wskazał na niewielki pagórek za ich plecami.

Villemann, teraz bardzo poważny, skinął głową.

- Myślę, że masz rację.

- Ja także to wyczułem - cicho powiedział do Dolga Móri. - Chcą żebyś tam poszedł.

“Chcą?” Kto taki? Jacy oni czy one?

Ale Dolg tylko przytaknął ojcu.

Doszedłszy na szczyt wzniesienia mieli pewność, że są we właściwym miejscu.

Wiatr jakby wstrzymał oddech.

Konie, które zostawili u wejścia do labiryntu wietrzejących skał, parsknęły krótko i ucichły. Nero od łba do ogona nastroszył ciemną sierść i stał znieruchomiały, obserwując wszystko uważnie okrągłymi jak talarki ślepiami.

Ludzie ledwie śmieli oddychać. Nigdy jeszcze nie doświadczyli podobnego nastroju. Ktoś czekał... czekał...

Dolg, niezwykle spięty, pobierał na twarzy.

- Spróbuj ty, Villemannie!

Młodszy brat, dziesiętnastolatek, popatrzył na niego z wdzięcznością. Villemann wyrósł na wspaniałego człowieka, pomyślał wzruszony Dolg. Tylko on sam o tym nie wie. Czuje się rodzinnym błaznem, zwłaszcza przy nas, ojcu i mnie, obdarzonych nadprzyrodzonymi zdolnościami. A przecież Villemann i Taran mają tyle innych dobrych cech, radość życia, głód wiedzy, energię i wytrwałość. I oboje są tak bardzo urodziwi! Villemann jedyny w rodzinie ma jasne włosy, przynajmniej czasami, bo często wydaje się, że błyszczą w nich wszystkie kolory tęczy. Kiedy był dzieckiem, słyszał z tego, że włosy sterczały mu na wszystkie strony,

podkreślając jeszcze żywiłość bijącą z oczu. Teraz wiją się z większym dostojnością, ale trudno nazwać chłopaka dorosłym i poważnym! Nie przy tych błyszczących niebieskich oczach, które odziedziczył po matce, wesoło zadartym nosie i ustach, zawsze gotowych do śmiechu. Tak bardzo go kocham!

Villemann ułożył dłonie w tubę i zawołał:

- Hljödhaklettar! Dacie nam odpowiedź?

Rzeczywiście tym razem trafili we właściwe miejsce. Od zboczy doliny oderwał się jakby grzmot:

- Odpowiedź.

Villemann bez słowa ustąpił miejsca Dolgowi.

Tiril bliska była wstrząsu, kiedy uświadomiła sobie, że to święta chwila!

Hljödhaklettar spodziewały się jego przybycia, podobnie jak błędne ogniki na bagnach. Ta zlodowaciała cisza w powietrzu, ciężkie oczekiwanie przyrody...

Od stóp do głowy przeniknęło ją zimno.

Wreszcie przyszła kolej na Dolga. Przez chwilę zbierał się w sobie, wpatrując się w długie cienie rzucane przez skalne kolosy. Potem mocnym głosem krzyknął:

- Zdradźcie, na czym polega moje zadanie. Czy kroczę właściwą drogą?

Wołanie odbiło się od niezliczonych skalnych ścian, w końcu się rozwiało, ale nie odezwało się echem. Słowa, których się spodziewali, "właściwa droga", nie rozbrzmiały.

Zapadła chwila ciszy. Popatrzyli po sobie zdziwieni, nie mogli pojąć, co się stało.

Wreszcie rozległa się odpowiedź. Zwielokrotniona, grzmiąca, zaświszczała im w uszach, jakby napływała jednocześnie ze wszystkich stron. Bez trudu jednak zdołali rozróżnić słowa:

- Karły i elfy Islandii pozdrawiają cię, Dolgu z rodu naszych czarnoksiężników.

Słuchali oniemieli ze zdumienia. Móri nauczył swoje dzieci islandzkiego na tyle, że obaj chłopcy rozumieli pradawny język:

- Wielu na ciebie czeka, Dolgu. Czekają od tysięcy lat. Przed dziesięcioma laty na Islandii zjawili się nowi. I oni także cię wypatrują,

Dolg skinął głową. Błędne ogniki. Tego się spodziewał.

- Przybyłem! - zawołał. - Wskażcie mi drogę!

Karły wytłumiły odgłos jego wołania, więc i tym razem nie rozległo się echo słów Dolga. W odpowiedzi napłynęły jedynie dwa słowa, za to wyrzucone przez tysiące głosów. Zrazu grzmiące, stopniowo słabły, by wreszcie po dość długim czasie ucichnąć.

- DO GJÄIN, DO GJÄIN, GJÄIN, GJÄIN... ÄIN... IN... INNN...

Zapadła cisza.

Czekali, ale nic więcej się nie wydarzyło. Wcześniej mieli wrażenie, jakby otaczały ich tysiące dusz, a teraz nagle poczuli się straszliwie samotni i opuszczeni.

Dolg popatrzył na Móriego.

- Gjäin? - powtórzył cicho. - Co to takiego? I gdzie? Co mamy tam począć?

- Wiem, gdzie leży Gjäin - odparł Móri. - Musimy skierować się na południe. Ale tylko one wiedzą, co cię tam spotka.

- Którędy się tam dostaniemy? - przytomnie spytał Villemann. - Przez Sprengisandur?

- Nie! - jęknął Móri. - Nie chcę jechać przez Sprengisandur! Z tym miejscem łączą mi się przykre wspomnienia, nie mogę tam wracać!

- Są pewnie jeszcze inne drogi - spokojnie stwierdził Dolg. - Czy stąd nie dotrzemy najszybciej przez okolicę Askja?

- Czyś ty postradał rozum, chłopcze? - obruszył się Móri. - Jeśli to miejsce, twoim zdaniem przypomina otchłań piekielną, to ciekawe, co powiesz o drodze przez Askja? Musielibyśmy minąć Drekagil, Smoczą Przełęcz. I Herdhubreidh, Odadahraun, czyli Lawę Zbrodni, Trölladyngja i Tungnafell. A i tak ostatni odcinek wiódłby przez Sprengisandur. O, nie, tam właśnie jest prawdziwa droga przez piekło, Dolgu! Konie tego nie wytrzymają, my także nie. Już raczej powinniśmy jechać przez Kjolur, chociaż aby tam się dostać, trzeba będzie odbić dość daleko na zachód.

Pozostali się nie odzywali. Nie znali Islandii tak dobrze jak Móri.

A on westchnął ciężko.

- Wiem, że opóźnię całą wyprawę, ale proszę, wybaczcie mi. Nie mogę znów jechać przez Sprengisandur.

Tiril знаła historię, jaka się tam wydarzyła. Już wcześniej opowiadała ją dzieciom, wszyscy więc wiedzieli, że chodzi o ostatnią podróż, jaką Móri odbył ze swoją matką. Przez własną głupotę i bezmyślną brawurę naraził jej życie na niebezpieczeństwo. Po tym, co stało się na Sprengisandur, została osądzona za czary i zgładzona. Wcześniej jednak pomogła Móriemu uciec.

Wszyscy troje zrozumieli, że chociaż sama jazda przez Sprengisandur musiała być straszna, to jednak Móriego od tamtych okolic odstręczała przede wszystkim pamięć o tragicznych losach matki.

Dolg rzekł spokojnie:

- Oczywiście nie pojedziemy przez Sprengisandur, ojcze. Wskaż nam drogę przez Kjölur! Nawet jeśli stracimy kilka dni... to znacznie lepiej poznamy Islandię.

Móri rozjaśnił się.

- To prawda, będziemy jechać przez piękne okolice! W pobliżu jeziora Myvatn, doliną rzeki Oxna. I wiecie, co zobaczymy?

- Nie?

- Hraundrangi - Móri rozbłysnął jak słońce. - Szczyt, od którego pochodzi przydomek mego ojca. Prawdziwie boski widok.

- Doskonale! - uradował się Villemann.

- I ja się cieszę - przyznała Tiril, rozglądając się dokoła. - Ale teraz musimy spróbować znaleźć w tej opuszczonej przez Boga krainie jakieś miejsce na obozowisko.

Rozejrzeli się i zadrżeli. Cienie padające na skalne ściany tworzyły groteskowe wzory.

Villemann mruknął:

- Odejdźmy stąd!

Rozdział 4

Siedmiu rycerzy śmierci nie dotarło nawet do Höfn, kiedy odkryło, że coś jest nie w porządku.

Na południe wiodła tylko jedna droga, doszli więc do wniosku, że dawno już powinni dopędzić tych, których ścigali. W przydrożnej zagrodzie spytali o czterech jeźdźców, wśród nich jedną kobietę, i psa.

Ale nie, wieśniak gotów był przysiąc, że nikt tędy nie przejeżdżał. Owszem, ludzie kręcili się nocami, doglądając owiec, które akurat wtedy wymagały opieki, lecz nikogo nie widzieli.

Nibbio nie raczył nawet podziękować za informacje. Przeklął tylko i chciał wyładować gniew na wieśniaku, ale Falco zdołał go powstrzymać. Nie mieli czasu na wszczynanie awantur.

Tym bardziej nie mieli czasu na powrót do Seydhisfjördhur, by zemścić się na rybaku, który wskazał im niewłaściwą drogę, chociaż niemal wszyscy w grupie sobie tego życzyli. W głębi ducha jednak wiedzieli, że rybak nie jest aż tak winien. Mogli przecież zatrzymać się na rozstajach i rozpytać.

Przez rozstaje rozumieli Egilsstadir.

Pozostawało schować dumę do kieszeni i wracać.

W Egilsstadir przesiedli się na nowe konie i dokładnie wywiedzieli o drogę. Trafili do tego samego gospodarstwa, w którym nocowała rodzina Móriego.

Córka gospodarzy, oszołomiona towarzystwem siedmiu mężczyzn w sile wieku, chętnie opowiadała o czworgu cudzoziemcach. Tak, zmierzali na zachód, owszem, wzdłuż Jökulsä. Dokąd? Tego nie była pewna, ale rozmawiali między sobą o Hljödhaklettur. Dokładnie wytłumaczyła, gdzie szukać tego miejsca. No tak, później mieli jechać dalej.

Dokąd?

Wzruszyła ramionami. Stamtąd prowadziła tylko jedna droga.

Gdyby Móri zdecydował się na przeprawę przez okolice Askja albo nawet przez Sprengisandur, byliby ocaleni. Żaden ze ścigających nie znał bowiem tutejszych dróg, a chłopskiej córce nawet przez myśl nie przeszło, że ktoś ośmieli się jechać

tamtędy. Wskazała więc cudzoziemcom drogę, którą w rzeczywistości wybrał Móri i jego najbliżsi.

Dziewczyną siedzącą przy stole wraz z siedmioma przybyszami miały silne uczucia. Brak zainteresowania Dolga przyjęła jako upokorzenie, przecież tak bardzo pragnęła go zdobyć! Młodszego z chłopców pewnie zdołałaby zaciągnąć do łóżka, gdyby nie jego matka, która powiedziała wprost, że wszyscy muszą wcześniej się położyć. Dlatego właśnie panna bez wahania wyjawiała plany tamtej rodziny obcym, którzy sami w sobie wydawali jej się niezwykle obiecujący.

Po posiłku oświadczyła ojcu beztrasko:

- Obiecałam ciotce w Reykjahlidh, że ją odwiedzę. Czy to nie dobry pomysł, bym wyruszyła wraz z tymi rycerzami, korzystając w drodze z ich opieki?

Wieśniak potrafił jednak patrzeć przenikliwiej niż spragnione miłości panieńskie oczy.

- Z tymi tutaj? Nie opuścisz nawet Egilsstadir, a już będziesz musiała pożegnać się z cnotą. Później, kiedy odnajdą tę rodzinę, którą tak lekkomyślnie wydałaś, twoja rola dobiegnie końca i cisną cię do pierwszej lepszej jamy po drodze. Nawet tego nie poczujesz, bo już nie będziesz żyła, możesz mi wierzyć!

Córka nie mogła pojąć, jak ojciec śmie tak mówić o szlachetnie urodzonych panach, widać zupełnie nie zna się na ludziach. Wiedziała jednak, że kiedy rodzic spogląda tak surowo, na nic zdadzą się prośby i tłumaczenia.

Siedmiu braci zakonnych miało świadomość, że ścigani przez nich ludzie znacznie ich wyprzedzili, ale teraz przynajmniej mogli ruszyć we właściwym kierunku.

Móri i jego towarzysze nie zdawali sobie sprawy, że są ścigani, dlatego też szczególnie się nie spieszyli i nie przedsięwzięli żadnych środków ostrożności, Tiril dawno już zapomniała o pannie z Egilsstadir, wiedziała bowiem, że teraz, kiedy są już tak daleko, na pewno się nie pojawi.

Zanim oddalili się od Jökulsä, Móri zabrał Dolga do Asbyrgi, niezwykłego tworu przyrody na północ od Hljödhaklettar. Z lotu ptaka Asbyrgi wyglądało jak wąwóz w

kształcie końskiej podkowy, otoczony wysokimi na sto metrów skalnymi ścianami. Obszar był wielki, płaskie dno porastały niskie brzozy.

- Powiadają, że to Sleipnir, koń Odyna, pozostawił ten odcisk - uśmiechnął się do syna Móri. - Odyn podciął wierzchowca trochę za mocno i zwierzę za bardzo się wybiło. I jak? Wyczuwasz coś tutaj?

- Tak - odparł Dolg po namyśle. - I ty także, ojczy, poznaję to po tobie. A czy spodziewasz się, że doświadczymy czegoś szczególnego?

- Owszem. Islandczycy uważają to miejsce za jeden z najpotężniejszych ośrodków, z których płynie moc, miejsce lubiane przez elfy i inne duszki przyrody. Co czujesz?

Dolg powiedział zamyślony:

- Rzeczywiście daje się tu wyczuć wielką moc, energię, której nie potrafię nazwać. Przypuszczam, że można stąd zaczerpnąć duchowej siły.

- Ja również jestem tego zdania.

- Ale obecności elfów nie wyczuwam.

- Nic dziwnego - uśmiechnął się Móri. - Przyciągnąłeś wszystkie do Hljödhaklettar. Później, jak sądzę, pospieszyły w innym kierunku.

- Do Gjäin? Tak, to możliwe.

Dolg zeskoczył z konia. Móri poszedł za jego przykładem. Usiedli, opierając się plecami o wielką samotną skałę na środku Asbyrgi, zwaną Eyjan, czyli wyspą. Długo trwali w milczeniu, czując, jak energia bijąca z Asbyrgi wibruje wzdłuż kręgosłupa, wypełniając ciało mentalną siłą. Potem niemal równocześnie otworzyli oczy, popatrzyli na siebie, bez słowa skinęli głowami i wstali, żeby dołączyć do Tiril i Villemanna.

Dolg nie chciał opowiadać o wszystkich swych odczuciach. Zgadywał, że ojciec najprawdopodobniej doświadczył tego samego, uznał jednak, że to zbyt święte, by głośno o tym mówić. Odniósł mianowicie wrażenie, że sama Matka Ziemia chciała udzielić mu wsparcia w walce o uwolnienie udręczonych dusz.

Nie wspomniał też o odległych, bardzo odległych krzykach, które usłyszał. Dotarły do niego jak gdyby poprzez ziemię.

Wołanie o bezkresnym oczekiwaniu.

Minęli wulkany Krafla i Viti, których wybuchy nastąpiły w latach 1724 - 1729.

“Kiedy jeszcze byliście mali, chłopcy”, rzekł Móri z uśmiechem. Villemann nie bez lęku przyglądał się dymiącej ziemi, jak gdyby się spodziewał, że lada chwila nastąpi kolejna erupcja. Udało im się jednak cało i zdrowo przejechać niebezpieczny obszar, a wtedy Villemann poczuł się odrobinę zawiedziony. Czyż Krafla nie mogła bodaj lekko nagrzmieć? Wypluć choć maleńki kamyczek? Ot, tak, po prostu na ich cześć?

Pomyśleć tylko, że po dniach spędzonych w samotności na pustkowiu zbliżali się nareszcie do ludzkich siedzib. Reykjahlidh nad jeziorem Myvatn okazywało, że w pełni zasługuje na swe miano. Z wnętrza ziemi unosił się dym, biała para. Z daleka jednak widzieli domy, gospodarstwa! Dziwne to było uczucie, bo ostatnie domostwo, jakie napotkali, to Mödhrudalur, najwyżej położona zagroda Islandii na wzgórzach między Egilsstadir i Jökulsá ä Fjöllum, odnogą rzeki, wzdłuż której jechali.

Niedaleko ujrzeli piekielne Namaskardh, gdzie w cuchnących siarką kotłach wrzało, a z ziemi tryskały fontanny pary. Dolg zapatrzył się, zafascynowany widokiem.

- Czuję się tu jak w domu - oświadczył zdumiony. - Dobrze mi tutaj.

- Masz przedsmak tego, co cię czeka, kiedy twoje ziemskie życie dobiegnie końca

- roześmiał się Villemann. - Ale racja, we mnie także porusza to jakieś struny.

Ojcie, czy można wejść na szczyt tej wściekle żółtej góry?

Wskazał na wierzchołek górujący nad Namaskardh.

- Na Namafjall? Czemu nie? Kiedy byłem w waszym wieku, także miałem na to ochotę. Jedźmy!

Górski szczyt okazał się tak ciekawy, na jaki wyglądał z dołu, a. może nawet bardziej. Tysiące maleńkich odłamków skalnych połyskiwało i iskrzyło, było tu tak

wiele różnych minerałów, że Villemann nie miał ochoty już nigdzie dalej jechać. Siłą musieli go stamtąd odciągać, w kieszeniach poupychał tyle kamieni, że ledwie szedł.

- Spójrzcie - powiedziała nagle Tiril niemal bez tchu, wskazując na wschód, na tę samą drogę, którą przybyli.

Ze szczytu Namafjall rozciągał się wspaniały widok na gotujące się, kipiące, bulgoczące wielobarwne Namaskardh i na wzgórza w kolorze piasku, ciągnące się ku okolicom Kraflí. Pejzaż w wielu odcieniach żółci, brązu i jasnych szarości został stworzony w bólach Islandii, martwy pejzaż bez najmniejszego śladu wegetacji, a mimo to jego piękno zapierało dech w piersiach.

Ale na szarej drodze, którą przybyli oni sami, spostrzegli zbliżającą się grupę barwnie odzianych jeźdźców.

- Naliczyłem siedmiu - oznajmił Villemann. - Ciekawe, co to za jedni.

- Nie wyglądają na Islandczyków - stwierdziła Tiril. - Ani trochę!

Zobaczyli to wszyscy równocześnie: promienie słońca odbiły się od jakiegoś złotego elementu na piersiach kilku z grupy.

- Pochylcie się! - zawołał Móri. - Mogą nas zauważyć na tle nieba!

Wszyscy rzucili się na ziemię, Nero także. Konie stały ukryte za szczytem.

W milczeniu śledzili poczynania jeźdźców. Patrzyli, jak tamci zerkają na wrzący kocioł Nämaskardh i unoszącą się parę, jak pokazują sobie coś i rozmawiają.

Pojechali jednak dalej. Wkrótce zniknęli im z oczu, bo najwyższy z wierzchołków góry przesłaniał im drogę.

- Powinniśmy chyba dziękować Stwórcy za to, że się wybraliśmy na tę górę - rzekł Móri wyraźnie drżącym głosem.

- Teraz mamy ich przed sobą - wtrąciła Tiril.

- Myślicie, że... że to byli...? - z niedowierzaniem zaczął Villemann.

- To byli rycerze Zakonu Świętego Słońca - oświadczył przygnębiony Móri. - Sądźcie, że mógłbym ich nie poznać?

- Nie, lecz w jaki sposób...?

- Tego nie wiemy. Ale są tutaj i na tym musimy się skoncentrować. Zauważyliście, czy wszyscy nosili znaki Słońca?

- Owszem - odparł Dolg. - Wszyscy bez wyjątku. Widniał wśród innych złotych ozdób.

Villemann wstał i przeszedł na drugą stronę.

- Jada w kierunku Myvatn - oznajmił. - Tym samym odetną nam drogę.

- Co teraz zrobimy? - zastanawiał się Dolg.

Tiril zadrżała. W jednej chwili ożyły wszystkie przykre wspomnienia. Wiele lat upłynęło od czasu, kiedy przebywała w niewoli rycerzy w zamku w Pirenejach, ale pamięć o tamtym okresie piekła jak świeża rana. Tortury, brud, odór, robactwo. Upokorzenie.

To właśnie było najgorsze, i brak nadziei, niewiara w jakąkolwiek przyszłość.

Świadomość, że nikt nie wie, gdzie ona przebywa. Przekonanie, że Móri nie żyje.

A. teraz bracia zakonnicy znów ich ścigali.

Poczuła dłoń Móriego na ramieniu.

- Nie dostaną cię w swoje ręce, Tiril. Przysięgam.

- My także - przyłączyli się Dolg i Villemann.

- Jak teraz dotrzemy do Gjäin? - spytała, z trudem wymawiając słowa zdrętwiałymi wargami.

Popatrzyli po sobie. Z nieznośną jasnością zdawali sobie sprawę, jakie rozwiązanie będzie w tej sytuacji najlepsze: Sprengisandur.

Móri wiedział, że znajdują się bardzo blisko drogi, która tam prowadzi. Czuł, że w ustach mu zaschło ze strachu i niechęci. Ze Sprengisandur jakoś by sobie poradził, uciążliwość podróży nie bardziej dawała mu się we znaki niż innym.

Ale wspomnienie stamtąd...

Matka i Gissur. Oboje umarli, aby ocalić jego. To do niego należała przyszłość. To on miał nieść dalej powołanie czarnoksiężnika. Oni byli starsi, wzięli na siebie winę za czary.

A przecież to on je uprawiał podczas przejazdu przez Sprengisandur, w tej podróży po śmierć. A najstraszniejszych rzeczy dopuścił się wcześniej, w okolicach Myrka.

- Wiemy, ojcie - cicho powiedział Dolg. - Nie pojedziemy przez Sprengisandur. W żadnym wypadku.

Móri westchnął.

- A może ja sam tamtędy pojedę? - zaproponował Dolg.

- Nie! - ostro sprzeciwił się Móri. - Na to nie pozwolę! Owszem, wiem, że jesteś już dorosły i radzisz sobie sam niemal we wszystkim. Ale to nie wystarczy. I tak łatwo tu zablądzić. Poza tym nie wiesz nawet, gdzie leży Gjain.

- Powinniśmy trzymać się razem - oświadczył Villemann. - Jakoś sobie poradzimy.

- Oczywiście - poparła go przygnębiona Tiril. Tak bardzo by się im przydało dotrzeć do ludzi, znaleźć dach nad głową, wypocząć, najeść się do syta i nabrać sił. Wszystko to stało się teraz niemożliwe.

Odwróciła się do Mórego z uśmiechem na ustach, nie odpowiadającym jej prawdziwemu wewnętrznemu stanowi.

- Czy znasz jeszcze jakąś inną drogę?

Móri odparł z wahaniem:

- Istnieje droga prowadząca na wybrzeże, sądzę jednak, że będzie dla nas zamknięta, bracia zakonnicy bowiem bez wątpienia spędzą noc w Reykjahlidh.

Dlatego musimy wyruszyć na południe od Myvatn, znów zapuścić się na pola lawy. Jeśli uda nam się przemknąć obok Reykjahlidh od południa, na tyle daleko, żeby nas nie zauważyli, to powinniśmy nie przerywać podróży przez całą noc tak, aby ich wyprzedzić. Możemy pojechać przez Grjótagja i Dimmuborgir i postarać się przejechać przed nimi przez Skjalfandifljót na południe od Godhafoss, którą oni z całą pewnością wyruszą. W ten sposób zyskalibyśmy przewagę.

- A więc... znów przez pustkowia? - spytał Villemann.

- Niestety - zaszepcił Móri. - Tiril, czy starczy nam jedzenia jeszcze na jedną dobę?

- Tak, jeśli będziemy oszczędzać.

- Wobec tego jedziemy.

Tiril westchnęła bezgłośnie. Czuła, że nie jest już taka młoda jak wtedy, gdy na własną rękę wyprawiła się na Islandię w poszukiwaniu rannego Móriego.

Z daleka widzieli, jak siedmiu jeźdźców skręca ku Reykjahlidh, wielkiej zagrodzie nad Myvatn. To oni powinni tam być, znaleźć pożywienie i schronienie na noc.

Tiril zwróciła wzrok na południe, na drogę, która teraz ich czekała. Mroczne kolosy z lawy, "wulkany stołowe", powstałe przed wiekami pod pokrywą lodu, górowały nad okolicą. Z ziemi buchał huczący słup pary, mniejsze, nie tak gwałtowne obłoki unosiły się wzdłuż zboczy. Widziała także długą, osobliwą smugę białego dymu, wijącą się i znikającą w oddali. To rów tektoniczny, który przecina Islandię na pół i ciągnie się przez Atlantyk aż do krajów południowych. Tiril jednak nie zdawała sobie sprawy, na co patrzy.

Widziała tylko przygnębiające, pozbawione życia pustkowia, na które po wielu dniach uciążliwej wędrówki przez podobne bezdroża znów musieli wracać.

Rozdział 5

Mówi się, że kiedy we wschodniej Islandii pada, na północy jest piękna pogoda i odwrotnie. Bez względu na to, jak jest naprawdę, grupka Móriego przez wiele dni podróżowała w nieustającym deszczu. Oczywiście pogarszało to humory, a Móri wciąż sobie wyrzucał, że nie chciał skrócić drogi, przeprawiając się przez Sprengisandur.

Dostrzegali jednak kilka jaśniejszych punktów: bracia zakonnicy nie mogli ich tu znaleźć, a poza tym mieli świadomość, że z czasem dotrą do ludzi mieszkających w zagubionych dolinach, do samotnych zagród, gdzie przyjmą ich gościnnie, pozwolą się ogrzać i odpocząć. Potrzebowali nabrać sił przed dalszym etapem podróży.

Dlaczego się na to zdecydowałam? wielokrotnie podczas długiej jazdy zastanawiała się Tiril. Dlaczego nalegałam, aby zabrali mnie na Islandię? Czego

się spodziewałam? Wycieczki w słońcu, gościny w eleganckich domach, do jakich się przyzwyczailiśmy jako członkowie bocznej linii rodziny cesarskiej?

Nie, przecież wiedziałam, jak rzadko zaludniona jest Islandia. Znałam surowe życie tutejszego ludu. Chyba po prostu wydawało mi się, że jestem młodsza niż w rzeczywistości.

Nie skarżyła się jednak, bez względu na to, jak była zmęczona i przemoknięta, bez sił. Żałowała tylko, że nie pokaże synom szczytu Hraundrangi. Nie mogli jechać tamtędy, a i tak deszczowe chmury wisiały zbyt nisko.

Dotarli wreszcie do Kjölur, wyżynnej drogi łączącej północ z południem, jednej z niewielu tras wiodących na przestrzal przez wyspę. Okolica ta nie była równie surowa jak równoległe do niej Sprengisandur. Okazała się jaśniejsza, w niektórych miejscach bardziej zielona, gdzieniegdzie nawet zdarzały się ludzkie siedziby. Ale i tutaj przyszło im godzinami jechać przez takie same pola lawy i kamieni, przez piaszczyste pustynie jak w Sprengisandur.

Niewątpliwa zaleta Kjölur polegała na tym, że droga ta była znacznie mniej znana niż inne trakty, zarówno te ciągnące się dalej na wschodzie, jak i bardziej odległe zachodnie. Szeroka, "wygodna" droga znajdowała się daleko stąd na zachód, miejscami nawet docierała do wybrzeża. Tamtędy właśnie jechała Tiril przed blisko dwudziestu pięciu laty w poszukiwaniu Móriego. Nie spodziewała się, że jazda w sercu lądu może być o tyle trudniejsza.

Mieli jednak przekonanie, że tutaj nie grożą im prześladowcy, i to było najważniejsze. Czekali ich ważne zadanie, nie mogli marnować czasu na starcia z Zakonem Świętego Słońca.

Villemannowi wyprawa jawiła się baśnią. Uczestniczył w poczynaniach rodziny, liczonego z nim. Jakie znaczenie w takiej sytuacji miał deszcz, chłód i głód? Trzeciego dnia jazdy przez Kjölur, a znajdowali się wówczas mniej więcej w połowie drogi, powróciło słońce. W jednej chwili wszystko pojaśniało, niebo, humory i widoki na przyszłość.

Zatrzymali się przy Hveravellir, wyżynie rozciągającej się między lodowcami Langj okuli i Hofsj okuli. Urządzili sobie kąpiel w gorących źródłach, spotkali innych wędrowców, z którymi mogli porozmawiać, poświęcili trochę czasu na to, aby naprawdę wypocząć.

Bardzo się im spodobało to miejsce i postanowili tutaj przenocować.

Chłopcy bawili się na zboczach wymytych do białości przez wodę wypływającą ze źródeł. Podziwiali kotły, jamy w ziemi wypełnione wrzącą wodą, odwiedzili też miejsce wręcz święte dla Islandczyków, a mianowicie ziemiankę, w której schronił się słynny wyjęty spod prawa człowiek. Przezimował w niej i tutaj przeżył największą tragedię swego życia.

W ziemiance wysłuchali opowieści Móriego o wyjętym spod prawa i jego ukochanej żonie, a potem w milczeniu przeszli z powrotem nad gorące źródła. Wcześniej Tiril i Móri z radością i pewnym zdumieniem obserwowali, jak Dolg śmieje się, rozbawiony igraszkami z Villemannem w rejonie gorących źródeł. Powiedzieli sobie, że wprost nie poznają swego zawsze tak poważnego syna. Teraz Dolg powrócił do swego zwykłego nastroju. Opowieść ojca wprawiła go w zadumę, co Tiril, której też zakręciły się łzy w oczach, doskonale rozumiała. Długa chwila upłynęła, zanim zdołali się otrząsnąć z żalu nad tragicznym ludzkim losem. Potem pod osłoną wysokich formacji lawy przygotowali prymitywne posłania i położyli się do łóżek, jeśli można tak określić rozpostarte na ziemi skóry, w które się owinęli.

Deszcz w każdym razie ustał. Skóry i wełniana odzież nareszcie wyschły.

Wszystko wydawało się łatwiejsze. Połowa drogi przez Kjölur była za nimi i wkrótce mieli dotrzeć do zamieszkanym dolin.

Bardzo się z tego cieszyli.

A mimo wszystko, myślał Villemann leżąc i czując chłód ciągnący od wielkich lodowców wokół Hveravellir, mimo wszystko ta podróż jest prawdziwą rozkoszą. Piękno dzikich okolic, poczucie więzi z dziką, nieugładzoną przyrodą, nawet zmęczenie, kiedy całodzienna jazda dawała się we znaki. Tu stawało się w obliczu

odwiecznej zagadki czasu i przestrzeni. Kiedy się to wszystko zaczęło? Jak się rozpoczęło i jak się skończy? Co jest na zewnątrz wszechświata? A co jeszcze dalej? Co nastąpi po Tamtym Świecie?

Zastanawianie się nad tymi niebywale trudnymi kwestiami doprowadziło do szaleństwa wielu ludzi. Villemann postanowił z tego zrezygnować. Potrzebował rozumu, jeśli miał pomóc Dolgowi wypełnić jego zadanie.

Ciekawe, na czym będzie ono polegać. No tak, domyślali się, ale i tak czekało ich zaskoczenie.

Villemann zwinął się w kłębek na boku i zapatrzył w parujące źródła, spływające ze zboczy. Postanowił, że rano jeszcze raz się wykąpie, pławienie się w gorącej wodzie uważał za jedno z najprzyjemniejszych doznań.

Woda wypływająca z wapiennych skał lśniła w blasku nocnego słońca, choć dotarli nieco dalej na południe i światło w nocy nie było tak intensywne.

Villemann zasnął ostatni. Na pół we śnie stracił ze swej piersi łapę Nera, bo pies ułożywszy się między swoim państwem wyciągnął się jak długi.

Nero brał udział w każdej ich szaleńczej wyprawie. Akceptował wszystko, co robili jego ukochani, a jego obowiązkiem było pilnować ich i chronić.

I właśnie Nero następnego dnia uświadomił im nadciągające niebezpieczeństwo.

Tego ranka, co było dość niezwykle, postanowili się nie spieszyć. Wszyscy czuli, że dotarli do takiego etapu podróży, kiedy powinni zwolnić, pozwolić ciałom nabrać sił, a umysłom się uspokoić.

Odświeżeni po kąpieli, posiliwszy się dosiedli koni i odjechali z pięknego Hveravellir.

Właśnie wtedy Nero dał znak.

Dostrzegł coś za ich plecami i cicho warknął.

Natychmiast wstrzymali konie. Zawsze ufali Nerowi.

Dzień był słoneczny, tu i ówdzie na niebie pokazywały się chmury, równiny odrobinę przesłaniała mgiełka. Przy lodowcach unosiły się obłoki, a raczej skondensowane welony mgły.

Daleko, po drugiej stronie parującego obszaru Hveravellir, ukazała się grupa ciemno ubranych jeźdźców.

- To oni - oznajmił Móri z powagą.

- Co zrobimy? - spytała Tiril. - Odjedziemy stąd?

- A jaki mamy wybór? Widzieli nas, można to poznać po tym, jak gwałtownie wymachują rękami.

Villemann podjął odważną decyzję:

- Dolg, zamień się ze mną na płaszcz!

- Co to ma znaczyć?

- Nie dopytuj się, prędko, zanim się zorientują, co robimy!

- Ale...

- Najważniejsze, abyś ty dotarł do Gjäin. Pospiesz się!

Dolg wciąż się wahał, więc Móri, przyjrawszy się uważnie synom, powiedział;

- Villemann ma rację. Daj mu swój płaszcz, Dolgu!

Dolg niechętnie zdjął swą ciemną opończę i wziął od Villemanna jego jasne okrycie.

- Duchy - szepnął przygnębiony Móri. - Udzielcie memu młodszemu synowi wszelkiej pomocy, jaka tylko może mu być potrzebna.

- Wyznaczyliśmy już jednego spośród nas, który będzie mu towarzyszyć - rozległ się głos Nauczyciela. - Nie bójcie się, wesprzemy go!

Villemann zaczął się niecierpliwić.

- Jedźcie więc już, żebym nie musiał poświęcać się na próżno!

- Zaczekamy na ciebie najpóźniej przy Wielkim Gejzerze - zapowiedział Móri. - Nie możesz go przeoczyć.

- Dziękuję, Villemannie - zawołał Dolg, popędzając konia. - Jesteś najlepszym bratem, jakiego mam!

- Co do tego nie mam wątpliwości - cierpko odparł Villemann. - Nie, Nero, biegnij za nimi!

Patrzyli, gdzie ma zamiar się skryć: w ziemiance wyjętego spod prawa.

- Przecież oni widzą, dokąd on zmierza - przestraszyła się Tiril.
- Owszem, znają kierunek - przyznał Móri. - Ale spójrz tylko na obłoki mgły! Nadciągają tutaj. Duchy już przystąpiły do dzieła.
- Dzięki - szepnęła Tiril. - Ach, mój biedny chłopczyk!
- Oni nie wiedzą o istnieniu ziemianki - doszedł do wniosku Móri. - Przypuszczam, że nigdy nie słyszeli o wyjętym spod prawa.
- Dobrze, że Villemann będzie mógł się czymś wykazać - stwierdził Dolg." - Obaj cierpieliśmy z tego powodu, że on zawsze stoi z boku.
- No cóż, mimo wszystko... - westchnęła Tiril.

Co koń wyskoczy i ile wytrzymają strzemiona pędzili na południe.

Gdy zobaczyła, w jakim tempie nadciągają gęste zwały mgły, nieco się uspokoiła. Ale nie do końca. Villemann, który skręcił w prawo od drogi, wciąż pozostawał widoczny.

A prześladowcy dotarli już do Hveravellir, wzgórz gorących źródeł.

- Mamy ich! - syknął przez zęby Falco. - Nareszcie ich dopadniemy.

Rycerzy nie opuszczał zły humor, ponieważ musieli dzień po dniu w siąpiącym deszczu przemierzać wzgórza Islandii. Nie mogli natrafić na ślad tych, których ścigali, od czasu spotkania pewnego człowieka między Hljödhaklettar a Reykjahlidh nad Myvatn.

Od tamtej pory wszelkie ślady się urywały. Nie, nie było obcych w Reykjahlidh ani w okolicach Akureyri, ani też w żadnej innej miejscowości po drodze.

Rycerze bliscy już byli rezygnacji, kiedy przypadkiem usłyszeli rozmowę dwóch wieśniaków w Silfrastadhir. Nibbio, rozumiejący co nieco po islandzku, wyłapał komentarz: "Okropnie wielu obcych ostatnio tędy przejeżdża!"

Zmusił ich, by wytłumaczyli się ze swych słów, i dowiedział się, że niedawno pewna rodzina, której towarzyszył pies, pytała o drogę na Kjólur. Obcy wyjaśniali, że przybyli zza wzgórz, ale musieli przejechać kawałek główną drogą, by dotrzeć do traktu prowadzącego do Kjólur.

Czy było to dawno? dopytywał się Nibbio.

Zaledwie dzień wcześniej.

Rycerze, otrzymawszy dokładne wskazówki, w jaki sposób mogą dostać się do Kjólur, ruszyli w drogę.

- Spójrzcie! - zawołał Serpente. - Jeden się odłączył!

- Spostrzegli nas - doszedł do wniosku Lupo. - To musi być on, syn czarnoksiężnika, ten który ma szafir.

- Bez wątplenia - mruknął Falco. - Wydaje mu się, że nam ujdzie? Tutaj? Na otwartej tundrze?

No cóż, tundry w okolicach Kjólur nie było, ale Falco lubił używać obcych słów.

- Gonimy go? - spytał Sciacallo z lodowatym uśmiechem.

- Oczywiście! Tamci się nie liczą, zajmiemy się nimi później. Ruszamy na wzgórze!

Wszyscy skierowali się na porośnięte trawą pole lawy w pościg za zbiegiem.

Nie zwrócili uwagi na nadciągającą mgłę, tak byli podekscytowani. Rekin, Hiszpan Tiburon, poczuł, jak w ciele budzi się żądza na samą myśl o zabijaniu, podbrzusze przeszył prąd. Ghiottone, Rosomak, nie był do tego stopnia ograniczony. Dla niego liczyło się przede wszystkim przechytrzenie wroga, pojmanie go w jak najbardziej wyrafinowany sposób. Wolałby być teraz sam, nie dzielić się ściganą zwierzyną z sześcioma innymi.

- Patrzcie! - zawołał Sciacallo. - On zeskakuje z konia! Czy można być aż takim durniem?

Zobaczyli, że domniemany Dolg odsyła konia jak najdalej od prześladowców i biegnie w kierunku wzniesienia, nad które nasuwały się obłoki mgły.

- Do stu... - zaczął Falco. - Brać go, prędko!

- Skąd się wzięła ta mgła? - pytał zdenerwowany Nibbio. - Jeszcze przed chwilą widoczność był doskonała!

- Nad horyzontem już się kłębiło - przypomniał Lupo. - Ale że nadciągnie tak szybko... Nigdy bym nie przypuszczał.

Zmusili wierzchowce do przyspieszenia kroku.

- Nie mógł dotrzeć daleko - zawołał Ghiottone.

Właśnie wjechali we mgłę.

- Rozdzielmy się! - krzyknął Falco. - Jeśli któryś go zobaczy, niech zabija, natychmiast, bez wahania. Nie dawajcie mu czasu na nic!

- Nie ma szansy na ucieczkę - z niezachwianą pewnością oświadczył Rekin. - Pokaż no się, szatański pomiole!

Ale we mgle słyhać było jedynie tętent końskich kopyt.

Villemann, ukryty w ziemiance, słyszał prześladowców. Zejście do kryjówki było bardzo ciasne, prawie niewidoczne, po części ukryte pod kamieniem.

Rozmawiają po włosku? No, czemu nie, skądś przecież członkowie straszego zakonu musieli pochodzić. Rekrutowali się zwykle z różnych krajów, nic więc dziwnego, że nie porozumiewali się w żadnym z języków skandynawskich.

Ale aż tylu z tego samego kraju? Nigdy dotąd o czymś podobnym nie słyszał.

Oddalili się, zapadła cisza. Ale Villemann wietrzył w tym podstęp.

Na plecach czuł wilgoć bijącą od ścian ziemianki. A więc tutaj mieszkał ów człowiek wyjęty spod prawa.

Villemanna ogromnie wzruszył jego los. Ów człowiek został skazany na wygnanie, a dziewczynie, którą pokochał, ojciec nie pozwolił go poślubić. Mimo to jednak ona wyruszyła za ukochanym w góry, udało im się też znaleźć księdza, który ich połączył.

Żyli ścigani, przenosili się z miejsca na miejsce. Kiedy na świat przyszedł ich synek, osiedlili się w tej ziemiance.

W mroźną zimę kobieta zachorowała. Wyjęty spod prawa wśród śnieżnej zamieci wyprawił się do zagrody jej ojca, by prosić o trochę jedzenia dla żony i dla dziecka. Po czterech czy pięciu dniach musiał jednak zawrócić, burza śnieżna i dojmujące zimno nie pozwoliły mu dotrzeć do ludzi.

Powróciwszy do ziemianki i on się rozchorował, a kiedy leżał trawiony gorączką, żona ze strachu o niego i dziecko postradała zmysły. Postanowiła szukać pomocy.

Mężczyzna, odzyskawszy przytomność, wyruszył na poszukiwania. Znalazł ją w pobliżu ziemianki, zamarznąłą.

Gdy tylko zawieja się uspokoiła, zarzucił na plecy worek ze wszystkim, co posiadał, ciało zmarłej żony założył na barki, a dziecko wziął na ręce. Razem z psem zszedł do zagrody teścia, tam zostawił chłopca i poprosił o godny pogrzeb dla kobiety. Sam wyruszył przez pustkowia na nie kończącą się wędrówkę bez celu, mając u boku tylko psa i niosąc swoje rzeczy w węzélku na plecach.

Villemann znów poczuł ściskanie w gardle, a przecież nie miał czasu na wzruszenia. Musiał zachować czujność, otaczali go rycerze wrogiego zakonu!

Usłyszał, że znów się zbliżają.

Niemożliwe, aby mnie nie znaleźli, pomyślał.

W tej samej chwili uświadomił sobie, że nie jest w ziemiance sam.

Ale przecież nikt tu nie wchodził, gotów był przysiąc.

Ciarki przeszły mu po plecach.

Wyjęty spod prawa?

Duchy nie były mu obce, lecz nie bardzo wiedział, jak powinien się odnieść do upiorów. Zwykle chadzały własnymi drogami, nie zajmując się żywymi, lecz takie, które miały wiele na sumieniu, mogły okazać się kłopotliwe.

Ojciec i Dolg potrafili uwolnić nieszczęsne zatracone dusze od ich przepojonego rozpaczą istnienia. Villemann tego nie umiał.

- Spokojnie - rozległ się głęboki głos tuż przy nim. - Wyjęty spod prawa wciąż żyje.

- Co takiego? - szepnął Villemann. - Jeszcze żyje?

- Tak, ale nie tutaj. Prawie się z nim spotkaliście, gdy przejeżdżaliście przez wzgórze północno - wschodniej Islandii. Mieszka w jednej z tamtejszych dolin.

- Kim więc... jesteście wy?

Nikogo nie widział, a więc nie mogła to być żywa istota.

- Jestem twoim dziadkiem, Villemannie - w głosie dał się słyszeć uśmiech.

- Hraundrangi - Móri? Ojej!

Duchy Móriego nigdy nie zaszczyliły Villemanna bezpośrednią rozmową. Teraz szacunek niemal odebrał chłopakowi mowę.

Poczuł także niepomierną ulgę.

- Dziękuję, że przybyliście, dziadku!

- Możesz się zwracać do mnie na ty, jak to jest w zwyczaju na Islandii. Twój postępek był niezwykle ofiarny, chociaż niemądry, dlatego uznaliśmy, że potrzebne ci wsparcie.

- Niemądry?

- Wobec samego siebie. Ale ocaliłeś resztę rodziny, muszę więc przyznać, że jestem ogromnie dumny z mego młodszego wnuka.

- Ojej! - wykrzyknął Villemann.

- Zresztą dumny z ciebie byłem zawsze - ciągnął dziad. - Ale teraz złoczyńcy znów się zbliżają. Bądź cicho, poradzimy sobie z tym.

Ktoś wrzasnął:

- Musimy pojmać także pozostałych! Sciacallo! Serpente! Tiburon! Wy zajmiecie się nim, a reszta wraz ze mną pojedzie po tamtych.

Villemann mocniej przylgnął do ściany. Kroki braci zakonnych dudniły o ziemię nad jego głową.

- Nie zorientowali się, że jesteś w pobliżu - szepnął mu do ucha Hraundrangi - Móri. - Prędzej czy później odkryją tę ziemiankę, dlatego musimy się stąd wydostać.

- Ojej - westchnął jeszcze raz Villemann, widać nie potrafił znaleźć bardziej odpowiednich słów.

- Zostaw to mnie, chłopcze.

- Ale oni noszą znak Słońca. Nie można ich zaatakować!

- Rzeczywiście, można za to zająć się ich końmi.

- Ach, nie, koniom krzywdy wyrządzać nie wolno!

Jak wszyscy w rodzinie Villemann głębokim uczuciem darzył zwierzęta. A miłe, nieduże islandzkie koniki... Wszystkie, które spotkał, traktował jak przyjaciół.

- Nie bój się, koniom nic złego się nie stanie. Chodź! Owinę cię w swoją pelerynę, żeby cię nie zobaczyli. Pospiesz się, akurat teraz w pobliżu nie ma nikogo.

- Zauważą mnie, jak będę się wyczołgiwał.

- Mgła jest dostatecznie gęsta. Prędko!

Villemann nie wahał się już ani chwili. Błyskawicznie wydostał się z ziemianki.

Poczuł ramię Hraundrangi - Móriego, owijające go połami szerokiego płaszcza, bliskość dziwnego, pozbawionego substancji ciała. Ramię zmusiło go, by schował głowę pod opończę.

Ruszyli przez równinę. Z mgły wyłonili się nagle zdyszani, zniecierpliwieni rycerze. Jeden z nich stanął jak wryty.

- Spójrz - szepnął ochryple, wskazując na ziemię. Nosił ciemnofioletowy płaszcz przybrany złotem.

Drugi złapał towarzysza za ramię.

- Para butów, które same idą? - mruknął pozieleniały na twarzy. Jego płaszcz był kobaltowoniebieski ze złotymi brzegami.

Villemann poczuł, że jakaś siła podnosi go w górę, i dzięki temu opończa dziadka zasłoniła buty. Sam także pomógł, podkurczając nogi. W taki oto sposób, zawieszony w powietrzu między niebem a ziemią, dźwigany przez niewidzialną postać, posuwał się naprzód.

Trzej rycerze zebrali się za ich plecami we mgle. Do Villemanna docierały podniecone, mówiące po włosku głosy. Nikt nie potrafi mówić tak dużo, tak głośno i tak prędko jak wzburzeni Włosi.

Przypomniał sobie dwie twarze, które spostrzegł ponad jaśniejącymi znakami Słońca. Twarde, okrutne oblicza, bez odrobiny litości. Ponadto w oczach jednego z mężczyzn dawało się wyczytać jakąś nieprawdopodobną wprost przebiegłość.

Nie zdawał sobie sprawy, że patrzy na Serpente, ale bezwiednie nasunęło mu się skojarzenie z wężem.

- A teraz ich konie - szepnął Hraundrangi - Móri. - Są, wszystkie trzy. Stój spokojnie, Villemannie, muszę mieć swobodne ręce.

Chłopiec usłyszał, jak dziad odmawia długie, zawile zaklęcia, z jakiegoś powodu sprawiające wrażenie prastarych.

- Co robisz? - spytał korzystając z chwili, kiedy głos dziadka na chwilę umilkł.

- Zaklinam konie, aby żaden z nich nie zechciał nosić na swym grzbiecie żadnego z tych trzech niegodziwców. Zaklinam też, aby żadnego z wierzchowców nie dosięgła ich zemsta.

Villemann ledwie słyszalnie odetchnął z ulgą.

- Wspaniale, dziadku! Czy mógłbyś w podobny sposób zaczarować pozostałe cztery konie?

- Niestety, stąd nie potrafię do nich dotrzeć, są już zbyt daleko. Ale uczyniłbym to z przyjemnością.

Hraundrangi - Móri wypowiedział jeszcze kilka słów i wszystkie trzy koniki ruszyły w tę samą stronę, w którą pojechali Dolg, Tiril i Móri.

- Skierowałem je tak, aby ominęły tamtych czterech rycerzy, znajdujących się teraz między nami a twoimi rodzicami, Villemannie - poinformował chłopaka Hraundrangi - Móri.

- Doskonale!

Wciąż utrzymywała się gęsta mgła.

- Co to za odgłosy? - zawołał nagle jeden z mężczyzn. - Stukot kopyt? Konie, nasze konie!

- Łapać je!

- Gdzie one są?

Wszyscy trzej przebiegli obok Villemanna i jego opiekuna, wcale ich nie widząc.

Villemann i Hraundrangi - Móri musieli wręcz uskoczyć, aby rozwścieczeni bracia zakonni na nich nie wpadli.

- A teraz twój wierzchowiec - powiedział Hraundrangi - Móri.

- Zostawiłem go daleko! - zafrasował się Villemann.

- Nie martw się, gwizdnę na niego tak wysokim tonem, że ci nędznicy nic nie usłyszą.

Do uszu Villemanna gwizd także nie dotarł, ale koń wyłonił się z mgły! Chłopak przywitał go z radością.

- Czy pozwolisz, że usiądę za tobą? - ze śmiechem zapytał Hraundrangi - Móri. Villemann wahał się zaledwie przez ułamek chwili.

- Oczywiście!

- Postaramy się ominąć tamtych czterech, abyśmy mogli uprzedzić naszych przyjaciół.

- Dobrze - zgodził się Villemann.

Wraz ze swym niewidzialnym dziadkiem dosiadł konia i wzorowym tyłtem pomknęli drogą na południe.

Za plecami słyszeli wściekłe wrzaski zakonnych braci. Nie mogli odnaleźć swoich wierzchowców, po omacku błądzili we mgle, zesłanej przez panie wody i powietrza, i w poczuciu bezsiły przysłuchiwali się tętentowi jeszcze jednego konia, który coraz bardziej się od nich oddalał.

Villemann jednak nie był spokojny.

Trzej rycerze wprawdzie chwilowo zostali wyeliminowani z gry, ale z pewnością przystąpią do ataku, choćby miało im to zabrać dużo czasu.

Pozostali jednak jeszcze czterej inni, którzy szalonym pędem gnali za niczego nieświadomymi Dolgiem i rodzicami.

Villemann popędził wiernego konika.

Rozdział 6

Móri, Tiril i Dolg uznali, że prześladowcy już im nie grożą, i natychmiast się zatrzymali, żeby zaczekać na Villemanna.

- Czy nie mieliśmy się spotkać przy Wielkim Gejzerze? - zastanawiał się Dolg.

- Najpóźniej przy Wielkim Gejzerze - poprawił go Móri. - A do Gejzeru jeszcze daleko.

Dolg kiwnął głową.

- Wobec tego zaczekamy tutaj. Masz rację, konie powinny wypocząć. Ale bardzo chciałbym wrócić, żeby pomóc Villemannowi.

- Ja także - smętnym głosem zawtórowała mu Tiril.

- I ja - przyznał Móri. - Musimy zaufać duchom. Villemann okazał bohaterstwo i nie możemy mu tego odbierać.

Pokiwali głowami, znali wszak kompleks młodszego brata, z którym Villemann nie bardzo umiał sobie poradzić. Teraz natomiast stał przed szansą wykazania się odwagą.

- Usiądźmy tu na zboczu - zaproponował Móri. - Będziemy mieć stąd widok na drogę i sami trochę odpoczniemy.

Tiril rozdzieliła prowiant. Jedząc podziwiali piękno przyrody, co chwila jednak zerkali w stronę Hveravellir. Zajechali wprawdzie na tyle daleko, że nie widzieli tamtych okolic, ale gęste chmury mgły na północy wskazywały, gdzie szukać Hveravellir.

- Nie możemy się go jeszcze spodziewać - oświadczył Móri dość niepewnym głosem. - Powinien długo ukrywać się w ziemiance, żeby się ich pozbyć.

- Oczywiście - odparł Dolg niewyraźnie.

Siedzieli zamyśleni, obserwując, jak Hofsjokuli z wolna kryje się w chmurach. Matka jest zmęczona, pomyślał Dolg. Nie chce tego pokazać, ale widać, że uciążliwa jest dla niej ta podróż.

Kochana mama, zawsze była dla nas opoką, zawsze na miejscu, gotowa wspierać nas, szaleńców. Jakaż rodzina jej się trafiła! Ale mówiła kiedyś, że nie zamieniłaby się z nikim na świecie. Wie, że mogłaby wydać Taran za mąż za kogoś z najwyższych sfer, ale wybór pozostawia mojej siostrze. Mam nadzieję, że Taran nie zawiedzie pokładanego w niej zaufania i nie przyprowadzi do domu jakiegoś szarlatana czy złoczyńcy w charakterze narzeczonego. Villemannowi pozwalano wprowadzać w czyn najdziksze pomysły i wykonywać szalone eksperymenty, oczywiście w pewnych ściśle wyznaczonych granicach, lecz bez upominania i ciągłego grożenia palcem. A ja... Muszę być źródłem jej wiecznego smutku i niepokoju.

Najwspanialsze jednak jest to wzajemne zaufanie ojca i matki, ich oddanie, lojalność i troska. I poczucie humoru.

Nie chciałbym, żeby mama tak się męczyła. Boi się, jak wytrzyma dalszą część tej wyprawy. Akurat teraz najbardziej oczywiście lęka się o Villemanna, ale brakuje jej śmiałości, która zawsze ją cechowała.

A mimo to postanowiła za wszelką cenę jechać na Islandię.

Może nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo ta wyprawa może okazać się męcząca.

Jej uśmiech nie jest radosny, nie płynie z głębi duszy. Stara się nas rozweselić i dodać nam otuchy.

A przecież sama tego najbardziej potrzebuje!

- Czy nie powinniśmy jednak wrócić? - ostrożnie spytała Tiril. - Już teraz?

- Oczywiście - jednogłośnie odpowiedzieli mężczyźni i natychmiast wstali.

Wspaniale, że podjęli jakąś decyzję.

Ale Móri powstrzymał Dolga.

- Nie... ty nie pojedziesz. Wyruszysz dalej w stronę Wielkiego Gejzeru, nie możemy narażać cię na dodatkowe niebezpieczeństwo. Tiril i ja sami sobie poradzimy.

Gwałtowne protesty Dolga w niczym nie pomogły, chociaż próbował się opierać.

To on miał na Islandii wypełnić zadanie, pozostali tylko mu towarzyszyli.

- Potrzebne mi twoje wsparcie, ojcze.

- Do Gjäin i tak masz jechać sam - odparł Móri.

- Skąd wiesz?

- Wczoraj wieczorem powiedział mi o tym Nauczyciel. Jedź teraz dalej. Możesz na nas poczekać w okolicy Gejzeru, byle niezbyt długo. Jeśli nie przybędziemy za... powiedzmy, za dwa dni, wyruszysz sam do Gjäin.

- Dręczony niepokojem o wasz los?

- Nauczyciel tak sobie życzył.

- Skąd będę wiedział, gdzie szukać Gjäin?

- Od Gejzeru w Haukadalur do Gjain w Thjorsardalur nie jest strasznie daleko.

Zapytasz ludzi w pobliżu Gejzeru. Wskażą ci drogę.

Dolgowi z oczu sypały się iskry, lecz rodzice pozostali niewzruszeni.

- Zabierzemy Nera - stwierdziła Tiril. - Może nam się przydać w walce z niecnymi rycerzami.

Dolg tylko kiwnął w milczeniu głową, przygnębiony. Kąciki ust opadły mu w dół.

Dotknął dłonią skórzanej sakiewki z olbrzymią szafirową kulą. Akurat w tej chwili szczerze jej nienawidził. Jego najbliżsi narażali się na wielkie niebezpieczeństwo, a on nie mógł im pomóc tylko ze względu na ten niemądry kamień.

Jakiś głos rozbrzmiewający w jego głowie ostrzegł, że nie wolno mu narażać kamienia na nienawiść ani też nazywać go niemądrym. Dolg wiedział, że to Cień zaprotestował.

Dolg przeszedł na drugą stronę drogi, by wodą ze strumienia nappełnić skórzany bukłak. Nie znał Kjólur, nie wiedział, czy to obszar suchej, niemal pozbawionej wszelkiej roślinności kamiennej pustyni jak Sprengisandur. I jemu, i koniowi być może przydadzą się później zapasy wody.

Strumień spływał w ciągnącą się wzdłuż drogi głęboką dolinę. Dolg z miejsca, w którym stał, nie widział jej dna, zorientował się jedynie, że zbocze najpewniej niemal pionowo opada w dół.

Przykucnął, żeby nabrać do worka przejrzystej wody z lodowca. Podziwiał taniec lśniących kropli na kamieniach, kiedy usłyszał dochodzący z oddali okrzyk.

Wstał.

- To Villemann! - zawołał z radością.

Rodzice, już gotowi do odjazdu, niepomierne się uradowali.

A więc wszystko skończyło się szczęśliwie. Znów nikogo nie brakuje.

Villemann jednak sprawiał wrażenie niezwykle wzburzonego. Pędził konno, krzycząc i wymachując rękami.

Wreszcie usłyszeli słowa:

- Uważajcie! Uważajcie!

Kątem oka dostrzegli jakiś ruch, Dolg krzyknął zdumiony.

W dół zbocza, tuż za plecami rodziców, podążało czterech jeźdźców w kolorowych aksamitnych szatach.

Dwaj wyminęli Tiril i Móriego, odcinając Dolgowi drogę do nich. Dwaj pozostali zaatakowali rodziców.

Dolg usłyszał wściekłe ujadanie Nera, ale przede wszystkim musiał myśleć o sobie.

Cofnął się w stronę doliny, gorączkowo myśląc, co powinien zrobić. Obaj mężczyźni - jeden wyglądał na szlachcica (był to Falco), drugi zaś przypominał szlachetnego drapieżnika (Lupo) - mieli w oczach mord. Nikogo nie zamierzali wypuścić z rąk żywego.

A już z całą pewnością nie teraz, kiedy zorientowali się, kto przed nimi stoi. Oto ten z synów, którego przez cały czas pragnęli schwytać, ten o przerażająco pięknej, lecz nieludzkiej twarzy, ten, który przechowywał niebieski szafir. Drugi z młodzieńców, ścigany przez nich na równinie, nie miał właściwie znaczenia.

Ale to właśnie on spieszył konno na ratunek rodzicom! Jak to możliwe? W jaki sposób zdołał się wymknąć z pułapki Sciacalla, Serpente i Tiburona? I co się stało z nimi?

Dolg na twarzach obu rycerzy wyczytał zaskoczenie.

Obaj, Falco i Lupo, dosiadali koni. W dłoniach trzymali podniesione miecze, gotowe do zadania ciosu. Jeden, ten w ciemnozielonym płaszczu zdobionym złotem, wyraźnie się szykował do ataku na Dolga.

Dolg zdawał sobie sprawę, że obaj napastnicy noszą znak Słońca, a on jest nie uzbrojony.

Miał jednak znak Słońca potężniejszy od ich talizmanów.

Rycerze chcieli zdobyć szafir, a on nie mógł dopuścić, by kula dostała się w ich ręce!

Posiadłszy niezwykły kamień Zakon Świętego Słońca stałby się śmiertelnie niebezpieczny, a jego potęga nie miałaby granic.

Przez mgnienie oka Dolg zobaczył, że Villemann dołączył do Tiril i Móriego, ujrzał, jak Nero zatapia zęby w nodze jednego z jeźdźców i ściąga go z grzbietu wierzchowca. Móriego, który za wszelką cenę starał się osłonić Tiril, drugi jeździec zaskoczył od tyłu.

Więcej Dolg zobaczyć nie zdążył, bo przeciwnicy popchnęli go na krawędź urwiska, a miecz błysnął nad jego głową.

Nie miał czasu na nic, na żadne zaklęcia, żadne czarnoksięskie rytuały, nawet na to, by wezwać na pomoc duchy. Musiał zaufać swemu znakowi Słońca, szafirowi i magicznej sile, jaką obdarzał go przez lata.

I ochronie, której przy chrzcie udzieliły mu duchy.

Z ciężkim workiem z wodą, wciąż przewieszonym przez ramię, Dolg rzucił się tyłem z urwiska.

W tym upatrywał swój jedyny ratunek, chociaż wiedział, że szansę na przeżycie ma niezwykle małą.

Spadał bardzo długo. Bukłak, myślał, na zmianę tocząc się i odbijając od porośniętych mchem zboczy. Ściąga mnie w dół, jednocześnie dając mi ochronę. Zbocze nie wszędzie porastała trawa czy mech, gdzieś wyłaniała się goła chropowata lawa, która boleśnie go raniła. Uparcie jednak trzymał worek z wodą przed sobą, by osłaniać siebie i szafir.

W końcu nastąpiło to, czego najbardziej się obawiał: upadek z dużej wysokości. Przez moment dostrzegł dno doliny, niebezpiecznie bliskie, porośnięte brzoźami, dołem płynęła rzeka. Stromizna nie była jednak tak wysoka, jak przypuszczał. Leciał ku gałęziom drzew, poczuł ból, przekraczający granicę tego, co da się wytrzymać, i stracił przytomność. Ciało miał wolne od ran jedynie w tym miejscu, gdzie osłaniał je bukłak.

Przez cały jednak straszny, długi czas spadania nie zdążył zatwożyć się o własne życie. Myślał głównie o tych, którzy pozostali na górze. W jaki sposób ta trójka wraz z Nerem zdoła poradzić sobie z żadnymi krwi braćmi zakonnymi? Czy Móri zdąży wezwać na pomoc duchy?

Najstraszniejsze koszmary Tiril znów stały się rzeczywistością. Zakon Świętego Słońca zaatakował po raz kolejny.

Tiril nie zauważyła upadku Dolga, całą swą uwagę bowiem skierowała na mężczyznę, który napadł na Móriego. Villemann i Nero zajęci byli drugim z rycerzy, nie mogli więc pospieszyć Móriemu z pomocą.

Długie miesiące upokorzeń na należącym do Zakonu zamku w Pirenejach stanęły Tiril przed oczami jak żywe. Nienawiść, jaką odczuwała na widok tych, którzy, jak wtedy sądziła, zabili Móriego i Erlinga.

Wszystko to powróciło teraz ze wzmożoną siłą. Tiril nie krzyczała, tylko przeciągle zawodziła, kiedy opętana szaleńczym gniewem rzuciła się na atakującego. Był to Ghiottone, Rosomak, który swoim zwyczajem uciekł się do podstępu, od tyłu podkradając się do swej ofiary. Tiril widziała tylko jego plecy w czarnej opończy przybranej zdobieniami w kolorze miedzi.

Tiril nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi, wszystkie myśli uleciały z jej głowy. Powodowały nią wyłącznie nienawiść i lęk o rodzinę, szczególnie o znajdującego się w bardzo trudnym położeniu Móriego. Zdołał się wprawdzie odwrócić i próbował odepchnąć Ghiottone, ale ten mocno go trzymał i nie wypuścił z uścisku, nawet kiedy Móri upadł na ziemię.

Dwoma mocnymi szarpnięciami Tiril zerwała z szyi napastnika znak Słońca, bo dopóki miał go na sobie, nic nie mogło mu zagrozić, a przynajmniej nie w takim stopniu, jak sobie teraz z całego serca życzyła. Potem odruchowo sięgnęła po pistolet. Obiecała sobie kiedyś, że nigdy nie użyje broni, lecz Móri nalegał, by nosiła ją przy sobie naładowaną, zwłaszcza ostatnio, kiedy zrozumieli, że i na Islandii nie uciekną od prześladowań.

Przez moment patrzyła na zwróconą do niej śmiertelnie przerażoną twarz.

Ghiottone zdążył jedynie zrozumieć, że stracił swój znak Słońca.

Krew trysnęła na Móriego, a Tiril osunęła się na ziemię. Zemdląca.

Móri poderwał się akurat w porę, by zobaczyć, że Villemann ma kłopoty, a jeszcze dwaj rycerze zbliżają się od strony drogi.

Dolg? Gdzie Dolg?

Ku jego zdumieniu Villemann zawołał:

- Dziadku, pomocy, co mamy robić?

Rozległ się wyraźny głos Hraundrangi - Móriego:

- Spokojnie, chłopcze, postąpimy tak jak ostatnio. Twój ojciec sprawia wrażenie zajętego, czy mam wezwać resztę naszej gromadki?

- Tak, tak! - zawołał niecierpliwie Villemann.

- Doskonale! A więc zaczynamy.

Pierwszą rzeczą, jaką odczuli nadciągający rycerze, było to, że ich wierzchowce stanęły dęba i zrzuciły ich na ziemię. Jeźdźcy nie mieli żadnych szans na utrzymanie się w siodłach. Konie, rżąc dziko, ruszyły na południe razem z końmi Nibbia i Ghiottone.

- Do czarta! - zaklął Falco. - Ale mamy jeszcze konie tej bandy czarnoksiężnika.

Przejmiemy je później. Potrzebna ci pomoc, Nibbio?

Podniósł miecz, żeby ciąć nim psa, szarpiącego Nibbia za nogę i przeszkadzającego mu w ostatecznym rozprawieniu się z chłopakiem.

Ale ściskany w ręku miecz w jednej chwili zrobił się miękki tak, że nawet muchy nie dałoby się nim skrzywdzić.

- To omamy! - wrzasnął Falco. - Nie zwracajcie na to uwagi!

Móri tuż przy uchu usłyszał głos Nauczyciela:

- Wsadź Tiril i chłopca na konie i odjeżdżajcie stąd jak najprędzej! Natychmiast!

Ze względu na znaki Słońca nie możemy ich zabić, a długo nie zdołamy ich zatrzymać! Prędko! My pomożemy Villemannowi!

Móri usłuchał bez wahania. Nie zwracał już uwagi na atakujących rycerzy, pozwolił, by zajęły się nimi duchy. Sam pomógł wsiąść na konia Tiril, która zaczęła odzyskiwać przytomność. Kątem oka dostrzegł, jak przerażający potwór, cuchnący siarką i dołem kloaczny smok, zagroził drogę szykującym się do ataku na Villemanna. Zastanawiał się tylko, który z duchów uruchomił takie rezerwy. Patrzył, jak Villemann dosiada swego wierzchowca, a jednocześnie jakaś

niewidzialna siła przytrzymała tych z rycerzy, którzy usiłowali ściągnąć na ziemię jego i Tiril. Coś od tyłu złapało w kleszcze ręce oprawców, a ich gniewne wrzaski na nic się nie zdały.

- Chodź, Nero - polecił Móri, chwytając za uzdę wierzchowca Dolga. Tiril zabrała płaszcz Villemanna, który Dolg zostawił na trawie.

Co koń wyskoczy ruszyli na południe, podczas gdy trzej bracia zakonni zostali na wietrzonym Kjölur.

A Ghiottone, który już jako dziecko wywoływał awantury w portowych dzielnicach Genui, a i później nie wyrósł na użytecznego dla społeczeństwa człowieka, leżał bez ducha na wyżynnej równinie Islandii z dala od słonecznej, pulsującej życiem Genui.

Z pewnością nie takiej śmierci się spodziewał.

- Dolg? - zdenerwował się Móri. - Gdzie on jest? Musimy go znaleźć.

- Rzucił się z urwiska - wyjaśnił Villemann. - Trzeba ruszyć w dół.

Dotarli na samą krawędź stromizny.

- Ach, Boże - szepnęła Tiril.

- Tędy nie zjedziemy - ponuro stwierdził Móri. - Ale nie bójcie się, Dolg przeżyje.

Nosi wszak prastary znak Słońca.

- Nie możemy przecież po prostu ot, tak...

- Oczywiście, że nie! Na pewno jakoś się tam dostaniemy, ale wygląda na to, że musimy jechać jeszcze dalej, żeby znaleźć drogę prowadzącą w dół.

- Racja - przyznał Villemann, rozejrzawszy się po wzgórzach. - W każdym razie, Nero, dzięki ci za odwagę. Uratowałeś nas. I wam, duchy, dziękujemy, jeśli wciąż przy nas trwacie.

- Owszem - odparł Nauczyciel. - Wdzięczni jesteśmy za tę odświeżającą walkę, chociaż okazała się żałośnie krótka. Już myśleliśmy, że nigdy nas nie wezwiecie. Jedynie Hraundrangi - Móri miał nieco więcej rozrywki.

- Kto wywołał tego cuchnącego, plującego ogniem smoka?

- Ja - odparł z dumą Nauczyciel. - Popisowa sztuczka. Bardzo chciałem ją wypróbować, dziękuję, że daliście mi taką szansę. A o Dolga się nie bójcie, pozwólcie, żeby doszedł do siebie. Teraz odpowiedzialny jest za niego Cień, nie wy. Jedźcie do Wielkiego Gejzeru i tam czekajcie. Na południe od Gejzeru znajduje się duża zagroda, gdzie przyjmują podróżnych. My zatrzymamy siedmiu rycerzy...

- Sześciu - poprawił go Villemann. Tiril zadrżała.

- No tak, sześciu - przyznał Nauczyciel. - Nie starajcie się odnaleźć Dolga, zmarnujecie tylko czas. Dolg przybędzie, kiedy nabierze dość sił.

Tiril nie mogła się z tym pogodzić.

- Czy on nie pomyśli, że go opuściliśmy? Nie będzie się o nas niepokoił?

- Spokojnie, tylko spokojnie! Teraz, kiedy jesteśmy już tak blisko Gjäin, z pewnością pojawi się Cień. Będzie go informował, co się z wami dzieje.

Tiril kiwnęła głową. Zrobiło jej się trochę lżej na sercu.

- Postąpimy, jak radzicie.

- To zawsze jest mądre.

Cóż, pomyślała Tiril. Miała w pamięci sytuacje, kiedy trudno było zastosować się do rad duchów. Teraz jednak, gdy przed ludźmi i duchami stało wspólne zadanie, powinna raczej im zaufać. Nie wolno być małostkową!

- Ale czy on żyje? - spróbowała po raz ostatni.

- Tak należy założyć.

Nie była to jednoznaczna odpowiedź.

Nauczyciel dodał jednak:

- Dolg już mniej więcej od dziesięciu lat nie rozstawał się z życiodajnym szafirem.

- Prawda - szepnęła Tiril bezgłośnie.

Ruszyli w dalszą drogę. Godzinę później z daleka ujrzeli siedem osiodłanych koni na równinie po prawej stronie.

- Nie mogą się tak wałęsać samopas - stwierdził Móri. - To wierzchowce braci zakonnych. Schwytajmy je i zaprowadźmy do ludzi.

Islandzkie koniki potrafiły doskonale radzić sobie same, ale siodła i uprząże utrudniały im ruchy, dlatego należało się nimi zająć.

Móri i cała jego rodzina zawsze umieli szybko nawiązać kontakt ze zwierzętami, dlatego też konie od razu zareagowały na gwizd.

Dużo później znajdujący się po drodze do Gejzeru wodospad Gullfoss, nad którym unosił się tęczyowy blask, minęła spora grupa: troje ludzi, pies i jedenaście koni.

Wyglądało to doprawdy imponująco, ale ludzie czuli się zmęczeni i przygnębieni.

Tak ogromnie brakowało im Dolga!

Rozdział 7

Halla, samotna wdowa z Rünarstádhir, wczesnie udała się na spoczynek. Nie miała po co dłużej siedzieć. Obrządziła zwierzęta, zakończyła wszystkie codzienne prace. Wieczorem często napływały przykre myśli, lepiej wobec tego wstać z samego rana.

Zasnęła, gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki. Długie noce przepojone smutkiem i lękiem o to, co ją czeka, należały już do przeszłości. Teraz chodziło już tylko o przeżycie.

Prawie od razu coś zaczęło jej się śnić.

Niezwykły sen.

Twarz skryta w cieniu kaptura mnisiej opończy coraz bardziej się przybliżała.

Wielkie, całkiem czarne oczy wpatrywały się w nią bez mrugnięcia.

Surowa twarz. Piękna, choć niemłoda już i nie całkiem ludzka. Te oczy...

Nie poruszała się we śnie, chociaż odczuwała chęć ucieczki. Nie podobał jej się ten sen, wszystko wskazywało na to, że może przerodzić się w koszmar.

Głos... Spostrzegła, że wargi mężczyzny się poruszają, ale wydobywające się spomiędzy nich słowa były niewyraźne. Uplynęła chwila, zanim dotarli do jej świadomości:

“W brzoźowym lasku leży ranny mężczyzna. Za oborą dla owiec, pod urwiskiem”.

“To daleko”, odpowiedziała w myślach.

“Zdążysz dojść jeszcze dziś wieczorem. On może liczyć tylko na ciebie”.

Twarz zniknęła. Gdzieś w domu rozległ się hałas, pies poderwał się z ujadaniem. Halla się obudziła.

Nie mogła spać długo, bo słońce stało dokładnie w tym samym miejscu co wtedy, gdy się kładła.

Sen wciąż wydawał jej się rzeczywisty.

Muszę go zapamiętać, postanowiła zaniepokojona. Nie mogę zapomnieć...

Co też ten człowiek, czy raczej ta istota, powiedziała? Kto pojawił się we śnie?

Gdyby nie był tak mocnej budowy, podejrzewałaby, że to elf. One jednak zwykle przedstawiały się jako bardziej ulotne.

Ech, to tylko sen!

Nie.

“Pod urwiskiem leży ranny mężczyzna”. Czy tak mówił? A raczej: “W brzozowym lasku”.

Właściwie to jedno i to samo.

We śnie zaprotestowała przeciw tak dalekiej wyprawie i teraz w myślach także się oburzyła.

Usiadła jednak, spuściła nogi na chłodną podłogę.

Ranny mężczyzna?

Przekleństwo, nie mogła tego tak zostawić. Niemądrze, przecież to tylko sen, ale poruszył jej sumienie. Narzucił obowiązek.

Nie umiała się od niego wykręcić.

- Musimy iść, Teitur - westchnęła, zwracając się do psa, i zaczęła się ubierać.

Teitur, czyli Wesolek, w pełni zasługiwał na takie imię, nieduży, ruchliwy, o brunatnej sierści, gotów za swą panią skoczyć w wodę i ogień, jeśli zaszłaby taka potrzeba. Samotna Halla bardzo sobie ceniła jego towarzystwo.

Gdy wyszli na dwór w letni wieczór, słońce wciąż jasno świeciło. W blasku jego promieni Hofsjökull lśnił mnogością barw. Miejsce to zostało starannie wybrane,

słońce docierało tu prawie zawsze, tylko wysoka góra za domem czasami sprawiała ponure wrażenie, lecz poza tym położenie zagrody było wprost idealne. Halla zadrżała. Nie przywykła wychodzić z domu o tak późnej porze. Inni ludzie uznaliby, że jest jeszcze dość wcześnie, ale ona mieszkała całkiem sama w zagrodzie, którą zbudował jej mąż Runar. Runar był taki uparty, nie chciał, by ojciec nim komenderował, dlatego postanowił się przenieść do tej odległej doliny na pustkowiu.

Samotne zagrody nie były na Islandii niczym niezwykłym. Osiedlano się tam, gdzie owce i inne zwierzęta domowe znajdowały pastwiska. Przy tak wielkich przestrzeniach, którymi zawiadywali pojedynczy ludzie, sąsiedzkie spory należały do rzadkości.

Runar zmarł przed dwoma laty i od tej pory Halla próbowała radzić sobie sama, nie miała bowiem dokąd się przenieść.

Samotność jednak czasami bardzo jej doskwierała. Ciężka odpowiedzialność, strach przed ostrymi zimami i tęsknota za tym, którego utraciła.

Poza tym nie miała na co narzekać. Wygodny dom, wody pod dostatkiem, dobre pastwiska.

- Weźmiemy konia - oświadczyła psu, bo zawsze przemawiała do niego jak do człowieka. - Lepiej żebyśmy jak najszybciej uporali się z tymi głupstwami i spokój nie położyli się spać.

Teitur okazywał wielkie zadowolenie z nieoczekiwanej wycieczki. Węsząc biegł przodem przed koniem, jak zwykle robią to psy.

Halla widziała z daleka niewielki fragment brzoźowego lasu w odległym krańcu doliny, tam gdzie zakręcała rzeka.

Ranny mężczyzna pod urwiskiem? Widać odezwało się dawne wspomnienie z dzieciństwa i objawiło pod postacią snu. Pewien człowiek z zagrody, z której pochodziła, spadł ze szczytu góry, zabijając się na miejscu. Nie pozwolono jej go oglądać, lecz wypadek i tak wywarł na niej ogromne wrażenie. Z pewnością to

właśnie zdarzenie powróciło w pamięci, chociaż nie przypominała sobie, aby wtedy ktokolwiek wypowiedział przy niej akurat te słowa.

“On może liczyć tylko na ciebie”.

To właśnie zdanie zdecydowało, że postanowiła sprawdzić, jak się sprawy mają. Minęli wielką oborę dla owiec. Zagrodę zostawili daleko za sobą, bliżej teraz było do urwiska.

Kiedy dotarli do niskich, powykręcanych górskich brzóz, Halla zsiadła z konia. Zbocze było tu strome, a las miejscami bardzo gęsty, przywiązała więc konia do drzewa.

- Chodź, Teitur, dalej pójdziemy sami. Zobacz, czy czegoś nie znajdziesz! Szukaj! Teitur nie przywykł do odnajdywania ludzi, zwykle szukał owiec i tym razem także uznał, że o nie chodzi. Pobiegnął między drzewa.

- Nie, powinniśmy iść w górę! - zawołała Halla. - Ku urwisku!

Pies natychmiast zmienił kierunek.

Musieli się wspinać. Halla zatrzymała się na otwartej polanie i popatrzyła na płynącą dołem rzekę. Za jakiś czas jej wody dotrą do przepięknego wodospadu Gullfoss i spadną tęczową kaskadą.

- Ale wy o tym nie wiecie, kropelki - uśmiechając się mruknęła pod nosem. - Co ja tu robię w środku nocy?

Do północy pozostawało jeszcze kilka godzin, ale Halla niezwykajna była wychodzić o tak późnej porze.

Złościła się na siebie za to, że usłuchała postaci ze snu, i wiedziona koniecznością wypełnienia obowiązku wobec bliźniego wypuściła się tak daleko.

Nagle usłyszała ujadanie Teitura.

Nie było to zwyczajne szczekanie, którym oznajmiał: “Znalazłem owcę”. Brzmiał w nim jakiś ton zaskoczenia, niepewności. Przypominał raczej odgłosy, jakie wydawał z siebie, kiedy nocą coś mu się przywidziało.

- Już idę, Teitur! - krzyknęła. - Zostań na miejscu!

Ale pies nie mógł dłużej czekać, musiał ją sprowadzić. Ruszyła za nim, pokonując ostatni odcinek pod górę, aż wreszcie znalazła się bezpośrednio pod urwiskiem.

Teitur pomknął dalej wzdłuż zbocza, poszła za nim.

I wtedy go zobaczyła.

- Dobry Boże - szepnęła. - Co mam zrobić?

Ledwie śmiała podejść, przekonana, że ten człowiek nie żyje, tak strasznie był pokrwawiony i poobijany. Obok leżał pęknięty skórzany worek, woda wyciekła z niego już dawno.

On nie może żyć, pomyślała. Stąpała niemal śmiesznie niepewnie.

Widziała, że to dorosły mężczyzna. Leżał na boku, Halla uklękła przy nim, poruszała się tak wolno, jakby chciała się wycofać. Nie potrzebowała już więcej zmarłych.

Delikatnie obróciła go na plecy.

Dech zaparło jej w piersiach, jęknęła cicho w uniesieniu.

Nigdy nie widziała kogoś tak niezmiernie pięknego, tak w pewnym sensie obcego. Kruczoczarne włosy, pełne teraz ziemi i mchu, falami okalały twarz o cerze barwy kości słoniowej. Widać było, że to twarz o idealnych rysach, chociaż teraz pokrywała je zakrzepła krew. Doskonale w kształcie dłoni bezwładnie leżała na trawie.

Człowiek ten okazał się jednak zaledwie młodzieńcem, liczącym, jak przypuszczała, około dwudziestu lat, a już na pewno nie więcej niż dwadzieścia pięć.

Och, nie, on nie może nie żyć. Tak boska uroda nie może się zmarnować.

Również Halla dostrzegła osobliwą eteryczność leżącej przy niej postaci. Jakby wywodził się z ludu elfów, pomyślała już po raz drugi tego wieczoru. Jednak człowiek, którego ujrzała we śnie, sprawiał wrażenie o wiele potężniejszego niż ten chłopak, mimo że i on miał szerokie ramiona i męskie rysy.

A jednak ta niesamowita delikatność...

Przyłożyła dłoń do piersi rannego i gdy wyczuła oddech, głęboko westchnęła z ulgą.

- Cóż, mój piękny przyjacielu - szepnęła. - Teraz wszystko zależy ode mnie.

Teitur obwąchiwał twarz chłopaka.

- Przestań - cicho poleciła psu. - Musimy go przenieść do domu, dopiero tam będę mogła opatrzeć mu rany. Ale jak mam sobie z tym poradzić? Nie przyprowadzę konia tu na górę, zresztą to by w niczym nie pomogło, bo i tak nie wsadziłabym rannego na koński grzbiet. Nie zdążę też wrócić do zagrody po sanie, których zresztą nie mam, bo zeszlaby mi na tym cała noc. Muszę go ciągnąć, Teitur, a nie mam do tego serca. Przecież on jest ranny.

Wydawało się jednak, że to jedyne rozwiązanie. Halla bardzo nie chciała w tak niegodny sposób potraktować tej szlachetnej istoty, nic innego jednak jej nie pozostawało.

Porwany bukłak przydał się jeszcze raz. Przymocowała go do barków i karku chłopca, aby chronił go przy zetknięciu z ziemią. Potem stanęła tyłem do nieznanego, prawą ręką uniosła prawą nogę, a lewą - lewą i zaczęła go ciągnąć w dół. Od czasu do czasu odwracała się, żeby sprawdzić, czy nieprzytomny bardzo się nie rani, ale wyglądało na to, że wszystko idzie dobrze. Tylko włosami zaczepiał niekiedy o gałązki, a ręce wlokły się bezwładnie po ziemi. Nie potrafiła jednak wyjaśnić, jak to możliwe, że nagle wydał się jej taki lekki. Przecież wiedziała, że waży swoje, poczuła to, kiedy próbowała go podnieść z ziemi.

Tymczasem odnosiła wrażenie, jakby... jakby coś niewidzialnego pomagało jej go dźwigać.

Oczywiście, to niemożliwe.

Dotarli do miejsca, gdzie czekał przywiązany koń.

- Teraz najgorsze, Teitur - mruknęła. - Jak, na miłość boską, zdołam go przerzucić przez siodło?

Wtedy stało się coś niesłychanego. Koń zastrzygł uszami, potem cofnął się odrobinę i...

Halla nie wierzyła własnym oczom. Koń nigdy dotąd tak się nie zachowywał. Nie pamiętała, by w ogóle widziała jakiegokolwiek konia klękającego najpierw na przednie nogi, potem na tylne, by pomóc jeźdźcowi się dosiąść.

Halla oniemiała, ale nie straciła całkiem głowy. Najprędzej jak mogła przełożyła rannego przez siodło i ostrożnie usiadła za nim.

Koń zaraz się podniósł.

- Dziękuję, kochany przyjacielu! - Poklepała go po grzywie. - Wież nas teraz do domu.

Ruszyli. Teitur biegł obok konia, bezustannie próbując zerkać na obcego, którego jego pani wiozła przed sobą. Od czasu do czasu pies podskakiwał, żeby obwąchać zwisające bezwładnie ręce mężczyzny, ale wtedy Halla przywoływała go do porządku.

Ale jakież to ekscytujące przeżycie dla małego psiaka z odludnej doliny na pustkowiu! Przecież to on znalazł obcego, on też czuł się za niego odpowiedzialny.

Halla podprowadziła konia aż do drzwi wejściowych. Obawiała się, że nie zdoła przenieść mężczyzny dalej, ale i tym razem nie mogła pozbyć się wrażenia, że ktoś jej w tym pomaga.

Halla mieszkała na pustkowiu od dwóch lat. To dostatecznie długi czas, by nauczyć się żyć w zgodzie z naturą. Dlatego też kobieta nie odrzucała jednoznacznie myśli, że wokół niej znajdują się ukryte siły. Tak namacalnie jednak jak tej nocy nigdy jeszcze ich nie odczuła, chociaż często zdarzało jej się kątem oka dostrzec jakiś ruch między zabudowaniami.

Teraz było inaczej, jak gdyby nieznajome moce bezpośrednio włączyły się w jej życie.

Ułożyła rannego na łóżku, na tej polowie, która dawniej należała do Runara.

Ostrożnie ściągnęła mu z nóg zniszczone, lecz kiedyś zapewne drogie buty.

Wcześniej już zauważyła, że do paska przymocowaną miał dziwną, ciężką skórzaną sakiewkę. Zastanawiała się, co też może w niej być. Musiała ją teraz odwiązać, żeby zdjąć chłopcu pasek i sweter.

Zdumiona pomacała wielką kulę, którą najwyraźniej skrywała sakiewka. Nie miała jednak czasu jej oglądać, odłożyła ją na stół wraz z paskiem. Potem spróbowała ściągnąć rannemu zniszczony sweter, sztywny od zakrzepłej krwi wszędzie, z wyjątkiem przodu, gdzie chłopak najwyraźniej przyciskał do ciała buklak z wodą. Niezły pomysł, uznała z podziwem.

Nie mogła jednak oprzeć się wrażeniu, że chłopiec przede wszystkim pragnął osłonić dziwną sakiewkę.

Nie chciała rozcinać jego ubrania. Ponieważ ranny i tak był nieprzytomny, uniosła go trochę i jednym ruchem ściągnęła sweter przez głowę.

Cofnęła się na widok wielkiego znaku promienistego słońca, który nosił na piersi.

Wydał jej się w pewnym sensie... boski.

Ale nie, to chyba nie było właściwe słowo. Magiczny? Tak, teraz lepiej.

Z paleniska przyniosła kociołek z gorącą wodą i zaczęła czyścić rany.

Zorientowała się, że są to przede wszystkim otarcia, ale młodzieniec mógł odnieść także wewnętrzne obrażenia. Podczas spadania obijał się zapewne często i mocno, zwłaszcza ostatni upadek z wysoka mógł się okazać tragiczny w skutkach.

Musiał runąć z samej góry. Niesamowite, że w ogóle przeżył.

Nagle drgnęła. Nie zauważyła, że się ocknął i przygląda jej się badawczo, z powagą.

- Takie same oczy! - wyrwało jej się.

- Jak co? - spytał cicho.

- Jak we śnie - odparła.

Miała wrażenie, że te oczy ją hipnotyzują. Takie fascynujące, podłużne, skośne, ogromne i całkiem czarne.

Przyszło jej do głowy, że ma do czynienia z niezmierną istotą.

- Takie same jak u tego, którego widziałam we śnie.

- U Cienia - stwierdził. - Mego opiekuna. Gdzie jestem?

- Chyba spadłeś z urwiska - odparła. - Znajdujesz się teraz w mojej zagrodzie w dolinie, kawałek od tamtej stromizny. Ten, którego ujrzałam we śnie, prosił, bym poszukała rannego mężczyzny. Czy masz jakieś wewnętrzne obrażenia?

Niezwykły człowiek przytknął oczy, a Halla z tego powodu odczuła jednocześnie ulgę i rozczarowanie.

- Nie wiem - odpowiedział szeptem. - Mam wrażenie, jakby przepuszczono mnie przez prasę do kamieni.

- Obawiam się, że mocno uderzyłeś się w głowę - westchnęła Halla. - Lepiej będzie, jak przez kilka dni poleżysz w łóżku.

- Ale ja...

Urwał.

- Nie, nic - dokończył po chwili.

- Co chciałeś powiedzieć?

Widziała, jak bardzo jest wycieńczony.

- Chciałem powiedzieć, że... moi rodzice... bardzo się o mnie niepokoją. Ale otrzymałem informację... od Cienia... że wiedzą... że mam się... Oni także... Głos chłopca zamarł, ale Halla miała nadzieję, że zamierzał powiedzieć "mam się dobrze". U niej.

Z jakiej części świata przybywasz? zastanawiała się w duchu. A może raczej z jakiej części wszechświata?

Czyżby jednak nawiązała kontakt z elfami?

Nie, miała do czynienia z innymi istotami. Ale z jakimi?

Zabrała się z powrotem do opatrywania jego ran i Dolg znów się ocknął. Popatrzył na kobietę, która nie zauważyła, że odzyskał przytomność, rozejrzał się po izbie.

Na pięknej szafie w ścianie przeczytał napis: "Halla córka Egila 1732".

Czy to mogła być ona? Nie wyglądała ani na młodą, ani na starą. Oceniał jej wiek na jakieś trzydzieści siedem lat, z pewnością nie przekroczyła jeszcze

czterdziestki. Miała twarz ani ładną, ani brzydką, włosy ciemnoblonde, niebieskie oczy, tak mu się przynajmniej wydawało, niełatwo było to ocenić przy skąpym świetle w izdebce.

Sprawiała jednak wrażenie, że nosi w sobie wielki spokój i imponującą wewnętrzną siłę. Tu, na takim pustkowiu, z pewnością bardzo się to jej przydawało. A mimo wszystko dostrzegał w niej jakąś bezbronność, zauważył to już, kiedy pierwszy raz wrócił do przytomności. Jak gdyby potrzeba wymusiła w niej tę siłę. Z pozoru jednak wydawała się bardzo spokojna i zaradna.

Natychmiast wyczuł, że jest osobą, której można ufać bez zastrzeżeń.

W jaki sposób tutaj trafiła? Mieszkała tu najwidoczniej całkiem sama.

- Jak się nazywasz? - spytał.

Poderwała się przestraszona, o mało nie wypuszczając z rąk ściereczki, którą obmywała mu łokieć.

- Nie wiedziałam, że... - zająknęła się. - Mam na imię Halla.

A więc to jednak ona. Dolg wiedział, że podwójne "l" na Islandii wymawia się jak "dl". Tego nauczył go ojciec. Dawno też się przekonał, że potrafi się porozumiewać z Islandczykami. Brakujące słowa można przecież zastąpić gestami.

Ciało bolało okropnie. W tyle głowy pulsowało, a kiedy Halla dotknęła jego boku, jęknął, prawie krzyknął z bólu.

- Tutaj cię boli? - spytała, dotykając punktu na plecach poniżej łopatki.

Dolg mógł jedynie skinąć głową.

- Być może masz złamane żebro - stwierdziła. - A jak ty się nazywasz?

- Dolg.

Popatrzyła na niego, przez moment zdumiona osobliwym imieniem, ale on już do tego przywykł. Potem dalej czyściła rany.

Dolg nie miał zbyt wiele do czynienia z kobietami. Nie wiedział, co pocnie, jeśli ona posunie się niżej. Musiałaby też zdjąć mu spodnie. Zakłopotał się już na samą myśl; zdziwiło go to, bo nie podejrzewał się o taką nieśmiałość.

Ale taki właśnie był.

Być może i ona wyczuła jego zaniepokojenie, a może sama czuła się zakłopotana.

- Wydaje się, że... dalej już nie masz skaleczeń - powiedziała niezręcznie. -

Bukłak dobrze cię osłaniał. Ale kolana są poharatane.

Dolg kiwnął głową. Czuł, że tak jest, nie musiał wcale patrzeć na podarte i zakrwawione nogawki.

- Mogę zdjąć spodnie - rzekł niepewnie.

- A ja cię okryję - dopowiedziała z ulgą.

Nie przypuszczał, że ruch sprawi mu tak potworny ból. Uparł się jednak, że sam sobie z tym poradzi. Parę razy bliski był utraty przytomności. Halla odwróciła się plecami i zajęła przygotowaniem jedzenia, wreszcie jednak spodnie leżały na podłodze, a on sam naciągnął nakrycie. Potem był już całkiem wycieńczony.

Teraz Halla mogła się zająć zranieniami na kolanach i stopach.

Sądząc po tym, jak wyglądał Dolg, kiedy zakończyła zabiegi, musiała chyba zużyć całe swoje zapasy płótna. Dolg jednak poczuł się o wiele lepiej i czystiej. Nie był w stanie jeść samodzielnie, kiedy pił, podtrzymywała mu głowę, a dłoń z łyżką drżała mu tak, że musiała go także karmić.

W końcu powiedziała "dobranoc", zabrała psa i opuściła izbę.

Dolg był zbyt zmęczony, by się nad tym zastanawiać.

Halla poszła do stodoły, zwinęła się na sianie i okryła skórą. Teitur dotrzymywał jej towarzystwa, wtulony w zgięcie kolan.

Nie potrafiła ot, tak po prostu, położyć się na tym samym łóżku co ów mężczyzna.

Wydawało jej się to profanacją.

Ale modlitwa, jaką odmówiła tego wieczoru, była nieco inna niż zwykle. Z lekkim uśmiechem na wargach wyszeptwała:

- Dzięki Ci, dobry Boże, że sprowadziłeś go w moją samotność! Dzięki, że pozwoliłeś go uratować. Daj mi siłę, bym mogła mu pomóc w odpowiedni sposób,

tak aby jego życie stało się łatwiejsze przynajmniej przez tę chwilę, przez jaką dane mi będzie go zatrzymać.

Z doliny dobiegał szum rzeki, poza tym żaden odgłos nie zakłócał spokoju nocy. Przez okienko widziała zielone łąki, kilka brzoź rosnących przy domu. Widok w nocnym świetle zdawał się dziwnie płaski i wyraźny, jakby patrzyła na obraz. Po raz pierwszy od wielu miesięcy zauważyła, jak bardzo samotna jest jej dolina. Westchnęła z uniesieniem. Życie w jednej chwili stało się takie ekscytujące. Uczyni wszystko, co w jej mocy, aby przywrócić temu młodemu człowiekowi zdrowie i siły.

Dolg?

Halla nie знаła żadnego języka poza islandzkim, ale rozumiała, że Dolg nie jest Islandczykiem. Jego imię musiało więc wywodzić się z jakiejś obcej mowy, zdawała sobie z tego sprawę, a mimo to uznawała je za osobliwe. Nie brzmiało jak człowiecze imię.

Dolg po islandzku? Takie słowo nie istniało. Najbliższe, z czym jej się kojarzyło, to Duł. Tajemnica.

Poczuła, że rozumuje właściwie.

Rozdział 8

Następnego dnia rano Dolga obudziły nieznośne bóle w boku.

Wtedy dopiero nareszcie sobie przypomniał, co powinien zrobić już dawno.

Ostrożnie obrócił głowę, zakłuło go z tyłu, stęknął cicho.

Izba była pusta. Nigdzie ani śladu tej kobiety, Halli.

Zająłem jej łóżko, odkrył z poczuciem winy, ale zaraz inne sprawy zajęły jego myśli.

Co się stało z szafirem? Gdzie się podział?

Delikatnie, kawałeczek po kawałeczku odwracał głowę, zwiększając pole widzenia.

I zaraz westchnął z ulgą. Skórzana sakiewka leżała na stołku. Wyglądało na to, że jej nie otwierano, ale pewności nie miał.

Wyciągnięcie ręki po szafir okazało się niemożliwe. Najdrobniejszy ruch, a właściwie jego próba, sprawiał ból, jakby w ciało wbijano mu noże.

Wycieńczony osunął się na posłanie.

Nie wiedział, jak długo już tak leży, kiedy weszła Halla. Nie mogło to trwać nieskończoność, ale jasne noce zaburzały poczucie czasu.

Kobieta spostrzegła, że Dolg nie śpi, i zaraz jej zalękniony wzrok złagodniał.

- Jak się czujesz? - spytała przyjaźnie.

Dolg znów odczuł, że warto jej zaufać.

- Kula - powiedział schrypniętym głosem. - Czy możesz mi ją podać?

- Kula? - powtórzyła zdziwiona; zrozumiał, że nie otwierała sakiewki.

Nagle twarz jej się rozjaśniła.

- O to ci chodzi? - spytała, biorąc do ręki skórzany woreczek.

- Tak. Zechcesz go otworzyć? Ja trochę zeszywniałem.

Łagodnie powiedziane!

- To znaczy, że czujesz się dzisiaj gorzej?

- Rzeczywiście tak jest, ale to całkiem naturalne. Człowiek nie ruszając się sztywnieje, a potem najmniejsze drgnienie sprawia ból. Dziękuję - zakończył, kiedy zdumiona podała mu połyskujący niebieski kamień.

- Co...?

Dolg zrozumiał, że sam sobie nie poradzi.

- Muszę ci zawierzyć, Hallo. I ufam ci. Czy mogłabyś... przyłożyć kulę do mego boku? Tak, właśnie w tym miejscu. Chyba rzeczywiście złamałem kilka żeber.

Oszołomiona podniosła skraj przykrycia i na próbę przytknęła kamień do czarnosinego boku Dolga.

Czuł, że winien jest jej wyjaśnienie.

- To szlachetny kamień, obdarzony magicznymi właściwościami.

- Zasinienie znika - oznajmiła zaskoczona, ledwie nad sobą panując.

- To dobrze. Ból także ustępuje. Przytrzymaj go jeszcze chwilę, a potem postępuj podobnie z resztą ran. Coś niedobrego dzieje się w mojej głowie, z tyłu. Czy możesz się tym zająć najpierw?

- Oczywiście.

Po kolei dotykała każdej z ran.

Właściwie się nie odzywała, czasami jednak padały krótkie komentarze.

- Niemal całe plecy miałeś sine. Teraz znów wyglądasz po ludzku. Prawie. Niewielu, jeśli w ogóle ktoś jeszcze, może się poszczycić taką złocistą, jedwabiście matową skórą.

Dolg nic na to nie powiedział. Z rozkoszą obserwował ustępowanie bólu.

Najprzyjemniejsze, że pozbył się wreszcie uporczywego łomotania w głowie, które potrafi najbardziej chyba dokuczyć i uniemożliwić człowiekowi normalne funkcjonowanie.

Ogromnie się cieszył, że znów może się ruszać, normalnie rozmawiać, a nawet żartować.

Dobrze, że Halla nie dopytywała się o szafir, chociaż wyraźnie było widać, że bardzo jest ciekawa.

Przez pierwszą dobę Dolg wypoczywał, przede wszystkim spał. Spał, jadł i nabierał sił. Dopiero teraz zrozumiał, jakie napięcie towarzyszyło podróży przez Islandię. Wywoływało je zarówno oczekujące go zadanie, jak i fakt, że rycerze złego zakonu dopadli ich i tutaj, na samotnej wyspie na Atlantyku.

U Halli naprawdę mógł odzyskać spokój, odetchnąć. Powtarzał jej to za każdym razem, kiedy na chwilę się budził.

Wydawało się, że te słowa bardzo ją cieszą.

Następnego dnia rano wstał.

Pierwszy raz wspólnie zasiedli do stołu i przy śniadaniu gawędzili. Dolg czuł, jak w towarzystwie tej kobiety spływa nań spokój, mówił więcej niż zwykle przy obcych.

Przyzwyczał się, że kobiety próbują go uwodzić, uznając za interesującego, ponieważ tak bardzo różnił się od innych mężczyzn, a poza tym na swój

szczególny sposób był przystojny. Powtarzało mu to zbyt wielu ludzi, by mógł przeczyć albo bagatelizować ten fakt, wyglądałoby to tylko na śmieszny przejaw fałszywej skromności.

Halla jednak była inna. Widziała w nim jedynie o wiele młodszego mężczyznę, którym się zaopiekowała, nic więcej.

Dolg był z tego bardzo zadowolony.

W powietrzu między nimi zawisło wiele pytań.

Rozmowę zaczął Dolg:

- Jak się tu znalazłaś?

Halla westchnęła, odsuwając na bok swoją miskę z łyżką.

- To długa i trudna historia, postaram się opowiedzieć ci ją możliwie najkrócej.

Zaczęła mówić o mężu, o tym, jak postanowił za wszelką cenę sam sobie radzić i popadł w konflikt z ojcem, bogatym gospodarzem. W gniewie wybudował tę zagrodę, chciał udowodnić, że potrafi przeżyć na pustkowiu.

- Wszystko toczyło się dobrze, dopóki Runar żył. - Halla wyrzała przez okno na rzekę. - Był zdolny i robotny, mieliśmy małego synka, Bjarniego. Przez pierwsze lata uważałam, że to cudowne miejsce, układało się nam jak najlepiej... -

Spoważniała. - Ale życie z Runarem nie było łatwe. Duma to jedno, Dolgu, przesadna ambicja to coś innego.

Dolg w milczeniu skinął głową.

- Nie znosił sprzeciwu, dla spokoju w domu musiałam mu we wszystkim ulegać.

Nie chcę źle mówić o zmarłych, ale doprawdy, z wielu rzeczy trzeba zrezygnować, aby małżeństwo układało się pomyślnie.

- Owszem, masz rację, często trzeba iść na ustępstwa. Pytanie tylko, do jakiego stopnia można się ugiąć.

- Tak.

- Mówiłaś, że mieliście także małego synka. Czy on także...?

- Nie, nie, Bjarni żyje, ale nie mieszka tutaj.

Nie powiedziała nic więcej, Dolg poprosił więc:

- Opowiedz mi o nim.
- To tak boli - szepnęła.
- Wobec tego nie będę cię zmuszać.
- Ale ja chcę, żebyś o tym wiedział, właśnie ty. Jestem pewna, że nikogo nie będziesz obwiniać.

Dolg czekał.

- Runar przez nieostrożność zginął w rzece. Bjarni miał wtedy dwanaście lat.
- Dwa lata temu.
- Tak. Teraz musi mieć czternaście.

Do oczu napłynęły jej łzy, otarła je niecierpliwie.

- Chyba źle się wyraziłam, Runar się nie utopił. Wpadł do rzeki, ale zdołał przytrzymać się kamienia. Wyciągnęłam go z nurtu, lecz za długo przebywał w lodowatej wodzie, nabawił się zapalenia płuc i zmarł po kilku dniach.

Dolg nakrył ręką jej dłoń leżącą na stole, zaraz jednak ją cofnął na znak, by mówiła dalej.

- Runar... przed śmiercią zażądał ode mnie obietnicy. Nie pozwolił, bym nawiązała kontakty z jego rodziną. Miałam utrzymywać gospodarstwo w dobrym stanie, dla Bjarniego. Z czasem on miał je przejąć.

- Złożyłaś mu tę obietnicę?

- Musiałam. Tak mocno ścisnął mnie za rękę, że aż jęknęłam z bólu, a oczy płonęły mu fanatycznym blaskiem. Nie śmiałam odmówić.

- Ale nie ułożyło się po jego myśli?

- Nie. Rodzice Runara mieli tylko jednego syna. Spotkaliśmy się na pogrzebie. Ojciec okazał się równie uparty jak Runar. Oświadczył mi, a żona, moja teściowa, całą sobą go popierała, że miejsce Bjarniego jest teraz u nich. Nie mają innego dziedzica i z czasem gospodarstwo przypadnie jemu. Nasza mała zagroda w ogóle się dla nich nie liczyła. Powiedzieli, że jeśli naprawdę pragnę dobra chłopca, to powinnam go od razu po pogrzebie zostawić u nich. W ogóle ich nie interesowało, co ja pocznę, czy zechcę zostać na pustkowiu. Chcieli zatrzymać

chłopca, uważali go za swojego, jemu należało się wielkie gospodarstwo w okolicach Aratunga.

Dolg poczuł narastające wzburzenie, jakie ogarniało go zawsze, gdy zetknął się z rażącą niesprawiedliwością. Głęboko wciągnął oddech.

Halla popatrzyła na niego i podjęła:

- Trzymałam synka za rękę, poczułam, jak jego dłoń ze strachu zaciska się wokół mojej. Powiedziałam "nie". Postąpiłabym tak w każdych okolicznościach, ale gdyby Bjarni chciał przenieść się do dziadków, przyszłoby mi to pewnie z większym trudem. Tymczasem całkiem jasne się dla mnie stało, że on nie chce. Moi teściowie przyjęli to bardzo źle i rozstaliśmy się jak wrogowie.

- Rozumiem.

- Później... niewiele czasu upłynęło... Musieli wiedzieć, kiedy wybieram się na pastwisko po owce i konie. Bjarni tego dnia został w domu sam, dobrze już sobie radził. Właśnie wtedy przyjechali. Kiedy wróciłam do domu, chłopca nie było, zniknęły też jego ubrania i wszystkie rzeczy osobiste. Zostawili mi tylko krótką wiadomość: "Zabieramy go tam, gdzie jego dom". W domyśle: Nie warto, aby tu zostawał.

Dolg uderzył pięścią w stół, aż Teitur poderwał się wystraszony.

- Tak, tak - pokiwała głową Halla. - To był najstraszniejszy dzień w moim życiu, gorszy nawet niż ten, w którym umarł Runar. Oczywiście natychmiast wyprawiłam się do Aratunga, chociaż miałam mało czasu, nie mogłam zbyt długo zostawiać zwierząt samych. Ale nie pozwolono mi nawet zobaczyć syna ani z nikim porozmawiać. Wszystkie drzwi zastałam zamknięte. Słyszałam z głębi domu płacz Bjarniego. Uciszyli go, prawdopodobnie zasłaniając mu usta dłonią. Musiałam jak najprędzej wracać. Później bywałam tam jeszcze trzykrotnie, zawiozłam sweter, który specjalnie dla niego zrobiłam na drutach, i inne rzeczy, ale nigdy nie pozwolono mi się z nim zobaczyć, nie wpuszczono mnie do środka. Musiałam zabrać podarki z powrotem do domu.

Gorycz w głosie Halli stała się jeszcze wyraźniejsza, kiedy dodała:

- Jedyne, co mogłam zrobić, to iść do sąsiedniej zagrody. Dowiedziałam się tam, że Bjarniemu powiedziano, iż matka nie chciała już dłużej się nim zajmować, że to ja odesłałam go do dziadków.

Dolg nie miał słów na taką nikczemność.

- A twoja rodzina? Czy nie mogła ci jakoś pomóc?

- Wszyscy moi bliscy nie żyją. Gospodarstwo przeszło w obce ręce.

- To znaczy, że zostałam całkiem sama? Uwięziona na tym cudownie pięknym pustkowiu, rozdzielona z synem?

- Tak - odpowiedziała i znów wyjrzała przez okno. - Dobrze by tu się żyło, gdyby był tutaj Bjarni, i jeszcze parę zagród, żebyśmy mieli towarzystwo.

Popatrzyła na Dolga. Nie powiedziała tych słów na głos, wyczytał je z jej oczu:

“Cieszę się, że się pojawiłeś, Dolgu, chociaż zostaniesz ze mną zaledwie przez kilka krótkich dni”.

I on się cieszył, że tu trafił.

Teraz przyszła jego kolej na opowiadanie. Halla chciała się dowiedzieć o swoim gościu jak najwięcej, tak wielu łączących się z nim spraw nie rozumiała. Nie wiedziała, skąd pochodził, w jaki sposób doszło do tego, że spadł z urwiska, a przede wszystkim kim był i co oznaczał ten szafir nieprawdopodobnej wielkości? Szlachetne kamienie takich rozmiarów po prostu nie istnieją. W dodatku obdarzone magicznymi właściwościami? Umiejące leczyć rany...

Dolg spojrział na nią uważnie.

- Hallo - rzekł z powagą. - Rano musiałem cię poprosić, abyś wzięła kamień do ręki. Musisz mi to wybaczyć, bo zapewne podziałał także na ciebie.

Kobietę przeniknął strach.

- Co to ma znaczyć?

- Nie bój się, to nie ma nic wspólnego ze złem - rzekł Dolg uspokajająco. - Kamień posiada niezwykle właściwości, którymi chce zawładnąć grupa złych ludzi. To oni ścigali mnie i moją rodzinę w drodze na Kjolur. Oni zmusili mnie, bym cofnął się

do skraju drogi, wiedzieli bowiem, że mam szafir. Nie przypuszczali chyba jednak, że dobrowolnie rzucę się ze skały.

- No właśnie, jak mogłeś uczynić coś tak szalonego?

- Z dwóch powodów: po pierwsze, nie miałem wyboru. Zagrodzili mi drogę na krawędzi urwiska, a gdyby kamień wpadł w ich ręce, konsekwencje tego mogłyby być nieobliczalne. Po drugie, wiedziałem, że zarówno kamień, jak i znak Słońca, który widziałaś, mogą mnie ochronić.

- Rzeczywiście tak się stało. Żaden zwyczajny człowiek nie przeżyłby takiego upadku.

- Ocaliło mnie jedno, a mianowicie to, że od dziesięciu lat niemal codziennie dotykam kamienia. Szafir posiada moc przedłużania ludzkiego życia i za tym właśnie gonią ci nędznicy.

Halla przez chwilę milczała.

- Czy to dlatego wydajesz się taki... taki eteryczny?

- Tak.

- I masz taki niezwykle wygląd?

- Nie, to ma inne przyczyny. Taki się już urodziłem.

- Ale dlatego chcesz mnie ostrzec? Czy ja też będę dłużej żyła?

- Prawdopodobnie, przynajmniej trochę. Moc kamienia dodała ci też zapewne siły fizycznej, a także przekonania o łatwości wykonywania tego, co kiedyś uważałabyś za bardzo trudne.

Halla skinęła głową. Rzeczywiście, już zauważyła, że spełnianie codziennych obowiązków przychodzi jej jakby lżej.

- Czy szafir dał ci życie wieczne? - spytała, uśmiechając się, jakby przepraszała za zadanie tak dziwaczного pytania.

- Nie wiem - odparł szczerze. - Nie chciałbym tego. Ale członkowie zakonu rycerskiego, ci ludzie, którzy nas ścigają, uważają, że dzięki szafirowi mogą je zdobyć, a przynajmniej posuną się kawałek dalej. Aby uzyskać nieśmiertelność, potrzeba czegoś więcej.

- Czy wiesz, że ten kamień to bezcenny skarb?
- O, tak! Aż za dobrze!
- Często powtarzasz "my". Masz na myśli swoją rodzinę?
- Tak, mój ojciec jest...

Urwał. Jakie nastawienie do czarnoksiężników mieli Islandczycy? Spalili wszak Jonssonów, dziada i pradziada Móriego. Na stosie zginęła także jego matka, co prawda jako jedna z ostatnich czarownic, które poniosły taką śmierć, ale...

Dolg ufał Halli.

- Mój ojciec jest magiem z Islandii, wywodzi się z rodu czarnoksiężników i czarownic.
- Ty także jesteś czarnoksiężnikiem - spokojnie stwierdziła Halla.
- Nie wiem. Chyba raczej... czymś innym.
- Może i tak. Ale dobry z ciebie człowiek.
- Mam taką nadzieję.
- Czy wiesz, skąd wzięła się twoja niezwykła, zachwycająca uroda? Twoja i tego drugiego mężczyzny, Cienia, który ukazał mi się we śnie? Czy wy macie coś wspólnego z elfami?
- I tak, i nie. Rzeczywiście, z elfami coś nas łączy, ale ja elfem nie jestem. Cień także nie. On należy do prastarej rasy ludzkiej czy klanu albo ludu, nie bardzo wiem, jak to określić. Oni istnieją a zarazem nie istnieją, nie wiem gdzie. Coś nam podpowiada, że zwano ich Lemurami.
- Lemurami? Nigdy nie słyszałam tego słowa.

Dolg postanowił nie wspominać, że lemury to gatunek małpiatek, a w starożytnym Rzymie także duchy zmarłych. Uważał, że nie brzmi to szczególnie przyjemnie, ponadto nie chciał się popisywać wiedzą przed tą żyjącą w izolacji kobietą, obdarzoną wysoką inteligencją, której niestety nigdy nie miała okazji wykorzystać. Zamiast tego rzekł:

- Widziałem wielu z nich i moim zdaniem Lemurowie istnieją na ziemi, ale w innej formie życia niż my...

- Jako elfy.

- Właśnie! Wiesz, my ludzie, obejmując rządy na Ziemi, usunęliśmy w cień wiele różnych istot, duchów przyrody. Właściwie moi przodkowie należą do wymierającego gatunku. Istnieje jednak tak wiele baśni, legend i podań o dawno zapomnianych krainach, że niektóre z nich z całą pewnością musiały kiedyś istnieć.

- Na przykład Atlantyda.

- Tak, to chyba najbardziej znane królestwo. Ale z pewnością były jeszcze inne! O tym, o czym mówił Dolg, jego siostra Taran wiedziała znacznie więcej.

Dowiedziała się o istnieniu Silinów, jaszczurczego ludu Sigiliona, o Madragach, bawolim ludzie, mieszkającym na wielkich równinach. Dolg jeszcze o nich nie słyszał.

- Najbardziej istotne, Hallo, że wszystkie te półistnienia, z którymi się zetknąłem, gorąco czegoś pragną, czego - nie wiem. Za ich sprawą jestem w połowie człowiekiem, a w połowie jednym z nich, po to, bym mógł ich ocalić. Nie wiem tylko, czy potrafię.

Spojrzenie kobiety powiedziało mu, że ona w to święcie wierzy.

Odpowiedział jej uśmiechem.

Halla spytała z wahaniem:

- Pierwszego wieczoru wspominałeś, na poły we śnie, że twoi rodzice wiedzą, że miewasz się już dobrze. Skąd takie przekonanie?

- Ciebie mi mówił.

Halla rozejrzała się po izbie.

- Czy on tutaj jest? - szepnęła.

- Nie, nie. Porozumiewamy się myślą.

No tak, oczywiście. Ciebie przemówił także do niej, we śnie.

- Ciebie powiedział mi także, że im nic nie zagraża. Czekają na mnie w dużym gospodarstwie na południe od Wielkiego Gejzeru. Muszę tam jechać.

Halla pochyliła głowę. Tak bardzo nie chciała, by ją opuszczał. Po jego wyjeździe poczucie pustki stanie się jeszcze dotkliwsze.

Roześmiał się.

- Dowiedziałem się także, że wszyscy rycerze pozostali w okolicach Kjölur bez koni.

- Ho, ho! - W głosie Halli zabrzmiał ni to śmiech, ni to groza. - To znaczy, że masz sporo czasu.

Dolg jakby nie zauważył jej ukrytej prośby, ciągnęła więc:

- A więc oni pragną nieśmiertelności?

- Tego także. Ale pościg za nami dotyczy nie tylko szafiru, lecz czegoś więcej...

Znów umilkł. Chociaż bardzo chciał opowiedzieć Halli o ich walce z Zakonem Świętego Słońca i jej przyczynach, nie mógł tego uczynić. Historia zabrałaby wiele godzin, a on wkrótce musiał wyruszać.

Zdał sobie sprawę, że ostatnie słowa wypowiedział na głos, dopiero kiedy kobieta spytała:

- Wiesz, dokąd masz jechać?

- Tak, do miejsca, które zwie się Gjäin.

- Gjäin? W Thjorsárdalur?

- Owszem.

- Ujrysz coś naprawdę pięknego! - Halli rozjaśniły się oczy. - Byłam tam kiedyś i zawsze powtarzam, że jeśli gdzieś na Islandii mieszkają elfy, to musi to być właśnie tam.

- Wspaniale! - uśmiechnął się Dolg. - Czy to daleko?

- Nie bardzo. Możesz wziąć mojego konia.

- Twego konia? Nie, o tym nie ma mowy, sama go potrzebujesz.

- Mam dwa - oznajmiła krótko. - A jak inaczej miałeś zamiar dostać się do swych rodziców i brata? Piechotą? Twój wrogowie mogliby okazać się szybsi. Ja niestety nie mogę ci towarzyszyć, bo nie zostawię zwierząt na tak długo.

- Jeszcze o tym porozmawiamy - rzekł krótko Dolg. - Na pewno znajdziemy jakieś rozwiązanie.

Halla kiwnęła głową.

- Co to za zakon was prześladowuje? Nic z tego nie mogę pojąć.

Dolg spróbował wyjaśnić jej w paru słowach, ale to wcale nie było łatwe. Wiedział już o śmierci kardynała von Grabena i o tym, że na stanowisku wielkiego mistrza zastąpił go Lorenzo. Nie otrzymał natomiast jeszcze wieści o tym, że Taran nie zagrażali już dwaj wywodzący się ze Skandynawii członkowie zakonu i Sigilion, gdyż miało to nastąpić później. Taran i Uriel wciąż zmagali się z wrogami.

Wiedział za to, że na Kjölur z siedmiu rycerzy zostało tylko sześciu. Kto i w jaki sposób zgładził siódmego - tego Cień nie chciał zdradzić.

Kiedy zakończył znacznie skróconą historię Zakonu, przez chwilę siedzieli w milczeniu. Prawdę mówiąc Halla nie bardzo potrafiła przyjąć do wiadomości wszystkich tych niesamowitych opowieści, ale sam Dolg wydawał jej się taki niesamowity, jakby wyjęty wprost z baśni, że po prostu musiała się z nimi pogodzić. Komuś takiemu jak on zapewne towarzyszą osobliwe, ba, wprost nadprzyrodzone wydarzenia.

Jakże mogła więc wątpić w poczynania tajemniczego zakonu?

- Zajrzę do zwierząt.

Dolg podniósł się jednocześnie z Teiturem.

- Pójdę z tobą, pomogę ci.

- O, nie! Ty masz odpoczywać.

- Jestem wypoczęty. Pozwól mi przynajmniej w ten sposób podziękować za to, co dla mnie zrobiłaś. Później muszę jechać dalej.

Halla uśmiechnęła się ciepło. Już więcej nie protestowała.

Prawie wszystkie zwierzęta przebywały teraz na pastwisku. W oborze stał tylko jeden koń, czekający na podkucie, i chora owca, której w ranę wdało się zapalenie.

Wspólnie oczyścili koniowi kopyta i "obcięli mu paznokcie", jak ze śmiechem powiedziała Halla. Potem przyjrzeni się owcy.

- Ona się męczy - stwierdził Dolg.

- Tak, zastanawiałam się już, czy nie ukrócić jej cierpień, ale wciąż się wstrzymuję.

Bardzo kocham wszystkie swoje zwierzęta.

Dolg wyjął szafir ze skórzanej sakiewki.

- Nie możesz przecież... - przeraziła się Halla.

- Dlaczego człowiek ma być wart więcej niż owca? - odparł spokojnie. -

Przytrzymaj ją, kiedy będę przesuwając kamień.

Halla nie śmiała już powiedzieć ani słowa, ale wcale się nie zdziwiła, kiedy owieczka podniosła się z ziemi równocześnie z nimi i stanęła na drżących nogach, wpatrzona w Dolga.

- Dziękuję - szepnęła Halla z uśmiechem. - Teraz biedaczka jeszcze długo pożyje!

Dolg pomógł jej wzmocnić drzwi do obory, zniszczone podczas ostatniej zimowej zawieruchy. Halla z radością obserwowała męskie dłonie, zajęte pracą, i zapragnęła, aby to trwało wiecznie. Zdawała sobie jednak sprawę, że nie jest to możliwe.

Wreszcie nie było już odwrotu: Dolg musiał jechać dalej, chciał wyruszyć jeszcze tego samego dnia, by jak najspieszniej oddalić się od zakonnych braci.

- Zrozumiałem, że przeze mnie musiałaś spać w oborze - uśmiechnął się smutno.

- Pewnie z przyjemnością wrócisz do własnego łóżka.

Och, nie, chciała zawołać Halla. Poprzedniego wieczoru przez chwilę oboje się zawahali, kiedy miała wyjść z domu. Obojgu jednak kultura i wychowanie zabraniały dzielenia łoża z osobą przeciwnej płci. Dolg zaofiarował się, że to on się przeniesie gdzie indziej, lecz Halla gwałtownie się temu sprzeciwiła, a on był zbyt zmęczony, by nalegać.

Dolg przed opuszczeniem domu odwrócił się po raz ostatni. Powiódł wzrokiem po prostej izbie, po drewnianych belkach, łóżku wbudowanym w ścianę, pięknie

rzeźbionych szafach. Jeszcze raz wciągnął w nozdrza zapach tego domu, zapach brzoźowego drewna, kobiety i psa.

- Znalazłem tutaj spokój - powiedział cicho.

Halla uśmiechnęła się ze smutkiem.

Opuścili zagrodę. Teitur pobiegł przodem.

Rozdział 9

Ruszyli doliną wzdłuż rzeki w stronę Gullfoss. Najczęściej musieli jechać jedno za drugim, a wtedy rozmowa stawała się zupełnie niemożliwa. Gdy tylko jednak droga była dostatecznie szeroka i dawało się jechać obok siebie, wykorzystywali okazję, by zamienić kilka słów. Właściwie nie bardzo wiedzieli, co więcej mogą sobie powiedzieć, zasmuceni świadomością, że nigdy się już nie spotkają. Gawędzili jednak o tym, co widzieli po drodze. Halla chętnie odpowiadała na pytania Dolga.

Minęli potężny Gullfoss, Złoty Wodospad, nie tak wielki jak Dettifoss, lecz o wiele piękniejszy. Niezwykle załamania światła w obłoku drobniutkich kropelek nadały wodospadowi imię, chociaż właściwe równie dobrze mógł się nazywać Tęczowym Wodospadem.

Wreszcie w oddali ujrzeli Wielki Gejzer.

Był to ten olbrzymi gejzer, od którego nazwę wzięły wszystkie podobne zjawiska przyrody. Z czasem miał usnąć i okazywać swój niezwykły urok tylko w obecności królów i innych głów państw po uprzednim wlaniu do jego wnętrza rozpuszczonego mydła. Kiedy wspinała fontanna przestała tryskać, otworzyła się inna, Strokkur, której pięknem mogli się napawać ludzie z późniejszych stuleci.

Dolg jednak miał szczęście ujrzeć prawdziwy Wielki Gejzer.

Wrząca woda tryskała z wnętrza Ziemi na wysokość sześćdziesięciu metrów, wprawdzie z mniejszą częstotliwością niż ze Strokkura, lecz stanowiło to naprawdę niezwykły widok.

Chociaż mieli mało czasu, zatrzymali się na chwilę, nie zsiadając z koni, by podziwiać niesamowite zjawisko.

Dolg rzekł z uśmiechem:

- Moja rodzina oczywiście też to widziała i słyszę już, jak Villemann obiecuje sobie: "Tutaj na pewno jeszcze wrócę!" Powtarzał to przy każdym cudzie przyrody, który ujrzał na Islandii. Zawsze też dodawał: "Taran musi to zobaczyć, szkoda, że nie ma jej z nami!" Ojciec radował się za każdym razem, kiedy mój brat postanawiał wrócić jeszcze na wyspę. Przypuszczam, że tęsknota za Islandią nigdy nie opuści Villemanna.

- A ciebie? - cicho spytała Halla.

- Mnie? Ja jestem częścią Islandii. Wszędzie, dokąd się udam, zabiorę ze sobą część tego kraju. A część mnie na zawsze zostanie tutaj. Ale teraz muszę ruszać dalej. Weź już konia, resztę drogi przejdę piechotą!

- To o wiele dalej, niż ci się wydaje. Koń jest twój tak długo, jak go potrzebujesz. Dolg się wahał, wreszcie jednak skinął głową.

- Uczynię, co w mojej mocy, żeby do ciebie wrócił. Dziękuję za wszystko, Hallo!

- To ja muszę ci dziękować!

Rozstali się. Teitur cicho popiskiwał, nieszczęśliwy, że miły gość ich opuszcza.

Halla patrzyła za nim, aż koń i jeździec zmienili się w maleńki punkcik oddalający się w stronę gejzeru.

Wyłumaczyła mu, jak ma szukać dużego gospodarstwa na południe od Gejzeru; Dolg spytał też o Aratunga, gdzie przebywał jej syn. Halla jednak tylko pokręciła głową, zdziwiona pytaniem, i wyjaśniła, że to trochę dalej na południowy zachód, nie bardzo daleko, mniej więcej godzina drogi, ale Dolg, jeśli chciał jechać za dnia, powinien się spieszyć.

W końcu jeździec na koniu nie było już widać.

- Chodź, Teitur - powiedziała Halla ze smutkiem w głosie i zawróciła konia w stronę domu do swej samotnej doliny.

Najbliżsi na widok Dolga uradowali się niepomiernie. Duchy wprawdzie doniosły im wcześniej, że przeżył upadek, ale dłużej nie potrafili już czekać w spokoju,

przygotowali się więc, by wyruszyć mu na spotkanie. Akurat wtedy go dostrzegli. Nie przypuszczali, że przybędzie tak prędko.

Nero obwąchiwał go od stóp do głów.

- Tak, tak, Nero, poznałem innego psa - przykucnąwszy szeptał Dolg ze śmiechem psu do ucha. - Ale to był on, nie ona. Nic ciekawego.

Podniósł się i z powagą popatrzył na rodzinę.

- Mogę mieć do was pewną prośbę?

- Oczywiście - odparła Tiril.

- Czy zgodzicie się pojechać trochę okrężną drogą? Przez Aratunga, to niedaleko stąd.

Popatrzyli nań ze zdziwieniem. Poprosił, by usiedli na ławie przed zagrodą, tam opowiedział im o Halli, która go uratowała, i o tym, jak zabrano jej syna.

Móri głośno pochwalił Halle za jej dobry uczynek, Tiril natomiast posłała synowi badawcze spojrzenie.

Mogła sobie tego oszczędzić. Dolg wyrażał się o tej kobiecie ciepło, lecz bez oznak jakiegoś szczególnego zainteresowania.

Nikt nie zauważył, że Tiril odetchnęła z ulgą. Nie potrafiła sobie wyobrazić związku Dolga z kobietą prawie w jej wieku. W dodatku na Islandii, tak daleko od domu!

Przeprowadziwszy jednak szybki rachunek sumienia, musiała samokrytycznie przyznać, że nie potrafi sobie wyobrazić żadnej kobiety w roli towarzyski Dolga na całe życie.

Dolg był wyjątkowy. Na jego barkach spoczywała ogromna odpowiedzialność, niezwykle ważne zadanie.

To musiało wystarczyć.

Kiedy Dolg zakończył opowieść, Móri rzekł:

- Oczywiście, że pomożemy twojej wybawicielce i jej synowi. Niewiele mamy czasu, bo bracia zakonni mogą tu przybyć w każdej chwili, jeśli tylko uda im się znaleźć nowe konie. Ale mamy tyle serca, by im pomóc.

- Oczywiście - powtórzyła Tiril z ulgą, w poczuciu winy za niemądre przypuszczenia, a także z czułością i wdzięcznością dla nieznajomej kobiety. -
Wśród tych ciągłych starć i walki na śmierć i życie musimy znaleźć też miejsce dla zwykłych ludzkich uczuć.

- Ale chyba nie możemy tak po prostu zabrać chłopca dziadkom? - niepewnie spytał Dolg. - Ani też ukradkiem go porwać?

W głosie Móriego pojawiła się surowość.

- Już chciałem powiedzieć, że jeśli im wolno było postąpić tak niecie, to i my możemy zachować się podobnie. Masz jednak rację, Dolgu, ja także o tym myślałem. Pozwól mnie i Tiril podjąć pertraktacje ze staruszkami. Spytamy zaraz naszego życzliwego gospodarza, gdzie leży tamta zagroda.

Okazało się, że bliżej niż przypuszczali, po drugiej stronie rozlewiska, przez które dobrzy ludzie pomogli im się przeprowadzić.

Znaleźli się w okolicach rodzinnego domu Runara. Na pastwisku ujrzeli chłopca jadącego konno wśród stada koni. Taki obrazek często spotykali na Islandii: samotny jeździec, któremu towarzyszy wiele wierzchowców.

- To musi być Bjarni - doszedł do wniosku Dolg. - Jedźcie dalej, ja chciałbym z nim porozmawiać.

- Dobrze - przystał Móri. - Powinien usłyszeć nowiny o swojej matce. Tym razem prawdziwe.

- Właśnie - cierpko przyznał Dolg.

Wkrótce potem spotkał się z chłopcem.

- Dzień dobry, Bjarni - przywitał go.

Chłopiec wstrzymał konie i popatrzył na Dolga z nieskrywanym zdziwieniem.

Widok niezwykłego syna czarnoksiężnika na moment zbił go z pantafelku, zaraz jednak się opanował.

- Nie wolno mi rozmawiać z obcymi - mruknął.

- Przybywam od twojej matki - powiedział Dolg. - Ona za tobą tęskni.

Bjarni się zatrzymał. Był to dobrze rozwinięty chłopiec, wyrosnięty jak na swoje czternaście lat, o spojrzeniu pełnym bezradności, podobnym do spojrzenia matki. Ale w jego słowach dała się słyszeć zawziętość.

- Ja nic ją nie obchodzę.

- Jesteś dla niej całym życiem - cicho rzekł Dolg. - Gdybyś znał jej rozpacz, natychmiast wróciłbyś do domu.

- Dlaczego więc mnie odesłała? Dlaczego nigdy o mnie nie pytała?

Dolg westchnął.

- Ona wcale cię nie odesłała. Zabrano cię jej siłą. Przyjeżdżała, tu wielokrotnie, prosząc, by pozwolono jej się z tobą zobaczyć, porozmawiać i zabrać cię do domu. Nigdy nie wpuszczono jej do środka, zawsze zastawała zamknięte drzwi. Chłopiec odwrócił głowę. Nie chciał uwierzyć w to, co słyszał, bał się, że znów ktoś go zrani.

- Halla zrobiła dla ciebie swetry na drutach, uszyła buty i inne ubrania. Kiedy byłeś młodszy, robiła ci zabawki. Przywoziła tu rzeczy dla ciebie, lecz nic nie mogła ci podarować.

Bjarni milczał. Spuścił głowę, wbił wzrok w końską grzywę.

- Ludzie, u których mieszkasz, powiedzieli ci, że ona nie chce się tobą dłużej zajmować. Powodowała nimi opaczna miłość do ciebie, pragnęli za wszelką cenę cię zatrzymać. Podobne historie rozpowiadali jednak także wśród sąsiadów, a to zły uczynek, którego nie da się usprawiedliwić.

Dolg spostrzegł, że z oczu nieszczęśliwego chłopca skapują łzy, udał jednak, że niczego nie widzi.

- Chcesz pojechać ze mną do matki?

Bjarni nie odpowiedział.

- Wybór należy do ciebie. Jeśli dobrze ci tutaj, w tym wielkim gospodarstwie, które kiedyś odziedziczysz, to twoja sprawa, i nie będę cię dłużej prosić. Lecz jeśli myślałeś o tamtej małej samotnej zagrodzie w górskiej dolinie i o swojej matce, to

moim zdaniem warto ją odwiedzić. Będziecie mogli wszystko sobie wyjaśnić. Ona ogromnie tęskni za tobą, ale ponad własne życzenia przedkłada twoje dobro.

Bjarni odetchnął głęboko, żeby uspokoić drżący głos.

- Czy Teitur jeszcze żyje?

- O, tak. Teitur, oba konie i wszystkie pozostałe zwierzęta.

Troszeczkę było w tym przesady, bo przecież kolejne pokolenia owiec zastępowały stare.

Bjarni otarł nos i oczy.

- Nie mogę ot, tak z tobą wyruszyć, nie mówiąc nic babci i dziadkowi.

- Oczywiście. Moi rodzice i brat pojechali już do nich porozmawiać o tobie.

- Nigdy mi nie pozwolą... - mruknął Bjarni niewyraźnie.

- O ile dobrze znam swego ojca, to ma on środki, aby ich przekonać - spokojnie oświadczył Dolg.

Bjarni popatrzył na niego podejrzliwie.

- Kim ty jesteś? Człowiekiem czy...?

- Hm, no cóż - mruknął Dolg. - Chyba jestem dość ludzki.

- Wrócisz teraz do matki?

- Za kilka dni. Mam najpierw pewną sprawę do załatwienia.

Sprawę? Bardzo zwyczajne słowo na określenie czekającego go zadania.

- Kilka dni? Ile?

- Naprawdę nie wiem, Bjarni. Ale nie tak dużo.

Chłopiec spojrzał na niego z ukosa.

- Skąd znasz matkę? Mieszkasz tutaj? Od dawna się znacie?

Dolg zawahał się.

- Chętnie ci wszystko opowiem. Daleko masz zaprowadzić konie?

- Mogę je wypuścić tutaj.

- Dobrze. Pojedziemy razem do zagrody i po drodze porozmawiamy?

Bjarni kiwnął głową. Zawrócili konie i Dolg jeszcze raz musiał opowiadać o swym krótkim spotkaniu z Hallą i o tym, jak dzielnie uratowała mu życie. Chłopiec chciał wiedzieć więcej, Dolg wspominał więc także o złych rycerzach, którzy ich ścigają. Dotarli na miejsce, z czego Dolg właściwie się ucieszył, nie bardzo bowiem miał ochotę zdradzać, jakie zadanie czeka go naprawdę na Islandii.

- Czy oni są dla ciebie dobrzy? - spytał, kiedy rozmowa zeszła na dziadków chłopca.

- Tak mówią. Twierdzą, że robią dla mnie wszystko, i tak też pewnie jest. Tylko...

- Tak?

- Czasami czuję się, jakbym był więźniem. I cały czas powtarzają, że są tacy dobrzy, a matka jest złą kobietą.

- To nieprawda, Bjarni. Twoja matka jest wspaniałym człowiekiem, jednym z najwspanialszych, jakich spotkałem w życiu.

- Mnie też się tak wydawało - żałośnie przyznał chłopiec. - Dlatego niczego nie mogłem zrozumieć.

- Pojedziesz z nami do matki?

- Jeśli mi pozwolą. Bardzo chciałbym ją jeszcze raz zobaczyć. Ją i Teitura, zagrodę i całą dolinę tam, w domu. Jeśli mi tylko pozwolą...

Po raz pierwszy wyraził się "w domu". Dolg uznał to za najlepszą gwarancję, że wszystko pójdzie dobrze.

W tym czasie Móri i Tiril zajęli się dziadkami chłopca.

Wpuszczono ich do środka po dość długim wahaniu. Tiril zdążyła nawet szeptem zaproponować, aby wezwali na pomoc duchy, ale Móri nie tracił wiary we własne siły.

- Tym razem nie - odszepnął żonie. - Sam sobie z tym poradzę.

Tak też się stało, lecz nie bez walki.

Starsi ludzie, usłyszawszy, z czym przybywają przyjezdni, natychmiast się najeżyli.

- Nie pojmuję, co możecie mieć z tą sprawą wspólnego - twardym głosem oświadczył wieśniak.

- Znamy rozpacz i samotność Halli - odparł Móri. Zabraliście jej dziecko.

W głosie gospodyni zabrzmiał gniew.

- Straciliśmy syna, naszego jedyne go potomka! Obowiązkiem jego syna jest zająć się nami i gospodarstwem. A może mamy zostać całkiem sami z naszym żalem?

Tiril i Móriemu nie zaproponowano, by usiedli. Stali w drzwiach, podczas gdy gospodarze siedzieli przy stole nakrytym do późnego obiadu.

- To was nie uprawnia, by kraść dziecko innej kobiecie - ostro powiedział Móri.

- Kraść? - równie ostro rzekł wieśniak. - Własnej krwi i kości się nie kradnie.

Miejsce Bjarniego jest tutaj, ta kobieta powinna to zrozumieć.

- Ta kobieta, jak ją nazywacie, straciła syna, swoje jedyne dziecko. Wiemy, że chłopiec na początku pobytu u was bardzo cierpiał. Może wciąż nie potrafi się pogodzić ze swoją sytuacją, nic nam o tym nie wiadomo.

Dyskusja się przeciągała. Starsi ludzie dostrzegali jedynie własne kłopoty, przygnębienie Bjarniego uważali za dziecięcą dąsę. Byli przekonani, że kiedy chłopiec zrozumie, jakie korzyści przynosi mu mieszkanie u nich, zapomni o nędznej zagrodzie w górach.

Tiril dostrzegła błyski w oczach Móriego. Znała swego męża i wiedziała, co one oznaczają. Zdawała sobie sprawę, że powinna go powstrzymać, lecz nie chciała. I ją także rozgniewali gospodarze, pozwoliła więc Móriemu znów stać się czarnoksiężnikiem.

Służący wyszli do kuchni, zabierając resztki obiadu. Zostali w izbie w piątkę.

Villemann nie powinien na to patrzeć, pomyślała Tiril. Chociaż właściwie, dlaczego nie? Nie lubi przecież, kiedy staramy się trzymać go z boku.

Móri wyjął magiczną runę. Rozległ się jego głos, cichy i miękki, monotony, na wpół śpiewny. Niezwykłe słowa wypełniły pomieszczenie.

Oczy gospodarzy zrobiły się jakby szklane. Zaczęli się lekko kołysać na krzesłach.

Villemann oniemiały wpatrywał się w ojca.

Dla Tiril scena ta nie była niczym nadzwyczajnym. Wprawdzie Móri od bardzo dawna nie uciekał się do czarnoksiężskich zaklęć, lecz widać wcale o nich nie zapomniał.

Ani na nią, ani na Villemanna zaklęcia nie podziałały, ale bo też i nie na nich były skierowane.

Móri nie czynił nic złego ani niebezpiecznego. Zaklęciami zesłał na staruszków jedynie zrozumienie dla innych ludzi, łagodniejsze usposobienie, współczucie dla bliźnich. Zmusił, by zapomnieli o swych podejrzeniach, że to Halla nakłoniła Runara do odwrócenia się od rodziców.

Móri trochę się spieszył, bo w każdej chwili ktoś obcy mógł wejść do izby, dlatego też nie dotrzymał wszelkich zasad staranności i dokładności.

Ale zaklęcia i tak podziałały!

Kiedy Móri zakończył ich odmawianie i wziął głęboki oddech, dziadkowie Bjarniego mieli łzy w oczach, ze wstydu nie śmieli podnieść wzroku znad stołu. Móri bowiem nie chciał odbierać im wnuka siłą, pragnął jedynie sprawić, by wreszcie wszystko zrozumieli.

- Nie utracicie chłopca - przyjaźnie rzekła Tiril. - Wcale nie! Wszak on wie, że tu jesteście, i najpewniej przejmie kiedyś gospodarstwo. Prawda?

Mocno pokiwali głowami.

Właśnie wtedy w drzwiach stanął Bjarni. Dolg z Nerem czekał na zewnątrz. Nie chciał, by gospodarz i jego żona całkiem stracili głowę.

Chłopiec uzyskał pozwolenie na wyjazd do matki. Dziadek zaproponował nawet, by towarzyszyło mu dwóch ludzi, lecz spojrzenie Bjarniego mówiło, czego on chce.

- Mam przyjaciela. Nazywa się Dolg...

- To nasz syn - wyjaśniła Tiril. - Starszy syn, spotkał się z Bjarnim na łąkach.

- On może mnie zaprowadzić do matki - ciągnął chłopiec. - Za kilka dni i tak będzie tam jechał.

Móri zastanawiał się, czy znów przyjdzie mu uciec się do zaklęć, ale okazało się, że to, czego dokonał wcześniej, w zupełności wystarczy. Dziadkowie niczego już wnukowi nie odmawiali.

- Wobec tego za parę dni przyjedziemy po ciebie razem z Dolgiem - oświadczył Móri.

Ale Bjarni się wystraszył.

- Nie, nie, to niemożliwe. Już teraz mogę jechać z wami. Nie będę wam ciężarem. Bardzo proszę, zabierzcie mnie ze sobą, tak się boję utracić...

- Przyjaciela i okazję? - dokończył Móri. - Nic ci nie ucieknie. Ale jeśli uważasz, że starczy ci sił na jazdę przez bezdroża, po pustkowiach, to nie mamy nic przeciwko temu. Musisz tylko uzyskać pozwolenie dziadków.

- Nigdy się na to nie zgodzą.

Tu jednak się omylił. Babcia otarła łzy i powiedziała zduszonym głosem:

- Drogie dziecko, bardzo byliśmy samolubni. Jeśli obiecasz, że będziesz na siebie uważał, możesz jechać. Ufam tym ludziom. Mam tylko nadzieję, że pierwsza wizyta u matki nie potrwa zbyt długo. Wrócisz tutaj, prawda?

Bjarni milczał, więc Móri postanowił się włączyć:

- Jeśli matka Bjarniego będzie mile widziana tutaj, z pewnością go odwiezie. Ale to sam Bjarni musi zdecydować, czy zechce tu zostać, czy też wróci tylko po rzeczy. Teraz może zabrać tylko to, co najniezbędniejsze, bo w podróży musimy mieć z sobą jak najmniej bagażu.

Chłopiec jednak wciąż był nieufny.

- Czy matka naprawdę będzie tu mile widziana?

- Tak - z powagą odparł dziadek. - Bardzo chętnie się z nią zobaczymy, jeśli zgodzi się odbyć z nami rozmowę dotyczącą twojej przyszłości. Stanie się jednak tak, jak mówią nasi goście: To ty zdecydujesz, gdzie zechcesz mieszkać. Być może...

- Tak?

- Być może twoja matka zechce zamieszkać tutaj? Twoja babka i ja jesteśmy już starzy. Przydałby się ktoś dorosły, kto mógłby zająć się gospodarstwem do czasu, kiedy ty osiągniesz dojrzałość.

- Matka na pewno nie będzie chciała wynieść się z górskiej doliny - stwierdził Bjarni.

- Możecie chyba zatrzymać tę zagrodę jako letnie pastwisko? Sądzę, że twoja matka przystanie na taki plan, zapewne bardzo tam była samotna.

- To prawda - potwierdził Móri. - Dolg, nasz syn, opowiadał nam o tym. Teraz jednak musimy wyruszyć dalej, zanim zrobi się późny wieczór. Jeśli więc Bjarni może się przygotować do podróży...

- Oczywiście!

Móri z rodziną wyszli na dziedziniec, a wtedy Villemann głośno wypuścił powietrze z płuc.

- Uch! Doskonale sobie poradziłeś, ojcze! Pokazałeś prawdziwe mistrzostwo!

Móri uśmiechnął się, dumny z pochwały.

- No, odprawiałem już potężniejsze zaklęcia, ale rzeczywiście muszę przyznać, że tym razem podziałało nadspodziewanie dobrze.

- Dobrze? - wykrzyknął Villemann. - Przecież to zdumiewające, jak zmieniło się ich nastawienie do ludzi! Prawdziwe czary!

- Masz rację! - odparł Móri z udawaną powagą. - Najprawdziwsze!

Rozdział 10

Ponieważ pogoda dopisywała, a wieczorne słońce świeciło jeszcze mocno, postanowili nie nocować w wielkim gospodarstwie przy drodze. Doszli do wniosku, że to może być niebezpieczne, lepiej więc rozbić obóz gdzieś pod gołym niebem. Znajdowali się na równinach, wśród szerokich, otwartych dolin. Dookoła widać było zabudowania, na łąkach pasły się owce i konie.

Bjarni z początku jechał milczący. Może żałował, że wybrał się w drogę z całkiem obcymi ludźmi? Wszyscy członkowie tej dziwnej rodziny troszczyli się jednak o niego, zagadywali go, opowiadali o sobie i dbali, by czuł się z nimi jak najlepiej.

Wszystkim rzucał się w oczy podziw, jaki chłopiec żywił dla Dolga, lecz okazało się, że z usposobienia Bjarni bardziej podobny jest do Villemanna i ci dwaj często jechali obok siebie, rozmawiając. Tiril kojarzyła się Bjarniemu z ciepłem i bezpieczeństwem, Móri był przywódcą i potrafił absolutnie wszystko. Chłopiec zaprzyjaźnił się także z Nerem, chociaż z początku wielki pies trochę go przerażał.

Ponieważ nowi znajomi starali się o to, by chłopiec dobrze się z nimi czuł, Bjarni prędko się wśród nich odnalazł. Fakt, że nie byli zwyczajnymi ludźmi, tylko rozbudził wyobraźnię chłopca.

Raz po raz jednak pytał Dolga o Halle i górską zagrodę. Najwyraźniej tęsknił, choć jednocześnie obawiał się spotkania z matką. Wciąż wszak mu powtarzano, że przestała się nim interesować. W uczuciach Bjarniego zapanował chaos. Czy wierzyć w to, co mówili nowi znajomi, Dolg i jego rodzina? Czy zdąży na czas do matki, by prosić ją o wybaczenie i zapewnić, że wciąż ją kocha?

Ile właściwie dni mieli spędzić w podróży, zanim wreszcie skierują się do ich samotnej doliny?

Pierwszego wieczoru nie dotarli szczególnie daleko. Znaleźli bezpieczne, osłonięte miejsce wśród skał i głazów. Tam się zatrzymali.

Tej nocy Bjarni leżał między Dolgiem a Villemannem.

Nie mógł zasnąć. Cisza panująca w okolicy, chłodny nocny wiatr, dobiegający skądś szum rzeki.

Matka.

Starał się przywołać ją w myślach - taką, jaką on ją znał, a nie jak odmalowywali ją dziadkowie. Wspominał swą samotność i płacz w pierwszym okresie spędzonym na równinach, niemożność zrozumienia zdrady matki i tęsknotę za domem.

Czy w ogóle kiedykolwiek przestał tęsknić? Czy gorycz kiedyś ustąpiła?

Nie.

Akurat w tej chwili do szaleństwa wprost pragnął pojechać prosto do domu, do matki i Teitura, do wszystkich pięknych miejsc w dolinie. Z oczu znów popłynęły mu łzy. Zezłościł się na samego siebie. Przecież miał już czternaście lat!

- Jedno jest pewne - oświadczył Villemann, kiedy następnego ranka zbierali się do drogi. - Rycerze stracili nasz ślad. Albo też nie odzyskali koni.

- Tym lepiej dla nas - stwierdził Móri. - Musimy to wykorzystać. Bjarni, twoje siodło jest już zamocowane. Wygodnie ci?

Bjarni spojrzął w dół na życzliwą wprawdzie, lecz jakże niezwykłą twarz czarnoksiężnika. Tak, wiedział już teraz, że ma do czynienia z czarnoksiężnikiem. Okazało się to znacznie mniej groźne, niż przypuszczał.

Ale twarz Dolga była jeszcze bardziej osobiwa.

Bjarni nauczył się natomiast podczas tej podróży, że budzący grozę wygląd nie oznacza, wcale, iż osoba, z którą ma się do czynienia, jest zła.

Nigdy jeszcze nie spotkał takich dobrych ludzi, poza matką oczywiście.

Ruszyli, rozciągnęli się w orszak na gościńcu.

- Dolgu - rzekł Móri. - Wiesz, że do Gjäin masz jechać sam...

- Tak.

- To konieczne. Nawet Nero nie może ci tam towarzyszyć. Kiedy bowiem nastąpi ów wielki moment, nikomu nie wolno go zakłócić. Będzie to chwila wyłącznie dla tych, którzy nie mogą się już swobodnie poruszać po ziemi, ponieważ my, ludzie, zajęliśmy ich miejsce.

- Czy Cień będzie przy mnie?

- O tym wie tylko Cień. Duchów w każdym razie się nie spodziewaj. One należą do innego wymiaru.

Dolg skinął głową. Na twarzy odmalował mu się wyraz napięcia.

Cień, powtórzył w myśli Bjarni, nastawiając uszu. Wcześniej wspominali mu o jakimś Cieniu i duchach, nie bardzo potrafił to wszystko pojąć.

Trudno mu było także pogodzić się z tym, że jada na południe, podczas gdy jego serce rwało się na północ, do domu matki. Przecież z każdym krokiem coraz bardziej się od niej oddalał, tak być nie powinno, nie powinno!

Ale uprzedzili przecież, że rezerwują sobie kilka dni na własne sprawy.

Prawdę powiedziawszy, wydawało mu się to wszystko bardzo, niezwykle wprost emocjonujące. Nigdy nie odwiedzał okolic, ku którym zmierzali, a opowieści o cieniach, duchach, elfach i głosach karłów rozpały jego ciekawość.

Rozejrzał się dokoła. O wczesnym poranku powietrze było przejrzyste, słońce dopiero wstawało. Jechał wśród przyjaciół, którzy nie chcieli go nadmiernie chronić jak babka i dziadek, chociaż oni także przecież pragnęli jego dobra.

Ale dziadkowie nie zapominali przy tym o sobie, o, nie, tyle zdażył już zrozumieć.

A teraz wyruszał na spotkanie z przygodą. Prawdziwą przygodą!

Gdyby wiedział, co go czeka, być może tak bardzo by się nie radował.

Z czasem wszyscy zauważyli zdecydowaną zmianę nastroju Móriego. Im dalej na południe się posuwali, tym bardziej stawał się milkliwy. Twarz mu pobladła, napięła się, mieli też wrażenie, że Móri nie chce spoglądać na boki.

- Móri - odważyła się wreszcie spytać Tiril. - Powiesz nam, co cię dręczy? Czy też mamy zgadywać?

Czarnoksiężnik milczał, spostrzegli jednak, że zbiera się do mówienia, tyle że przychodzi mu to z ogromnym trudem.

- Tędy jechaliśmy - rzekł w końcu. - Tutaj widziałem matkę po raz ostatni.

Przybyliśmy przez Sprengisandur, które rozciągają się teraz przed nami. Widzicie ten kościół z tyłu, z lewej strony? To Skálholt. Wkrótce wjedziemy w Thjorsárdalur, ciągnącą się na wschodzie. Jadę drogą, która przywiodła mnie do największej tragedii mego życia.

Tiril na moment ujęła go za rękę.

- Rozumiemy. Gdybyśmy mogli ci tego oszczędzić...

Kiwnął głową z wdzięcznością.

- Muszę wskazać Dolgowi, którędy ma jechać. Gdyby nie to, za nic nie zapuściłbym się jeszcze raz do Thjorsárdalur.

Nikt nic więcej nie powiedział. Villemann zastanawiał się, czy ma wystąpić z jakąś zabawną historyjką, by trochę poprawić atmosferę, ale i jego dosięgnął smutek. Przed nimi wznosił się wulkan Hekla, dokoła widać było popiół i ślady licznych wybuchów.

Wjechali w Thjorsárdalur - dolinę rzeki Thjorsä, na szeroką, czarną jak węgiel, całkiem płaską równinę, ciągnącą się aż do niewysokich gór z lawy.

W tym miejscu właśnie Móri w czasach wczesnej młodości podczas upiornej podróży oznajmił: "Pod nami są domy". A Gissur, czarnoksiężnik, który wraz z matką Móriego jechał do Thingvellir, aby tam spłonąć na stosie, odparł: "Masz rację. Pod lawą spoczywa wiele bogatych zagród. Wybuch Piekli w roku tysiąc sto czwartym pogrzebał je na zawsze".

Teraz Móri po niespokojnych oczach syna poznał, że i Dolg odczuwa to samo.

- Masz rację, Dolgu - rzekł krótko. - Jedziemy nad domami.

Opowiedział o wybuchach Hekli. Villemann i Bjarni słuchali z wielkim zainteresowaniem, Tiril ze smutkiem, natomiast wyraz twarzy Dolga pozostawał niezgłębiony.

Wreszcie Móri się zatrzymał.

- Chyba nie starczy mi sił na więcej. Dolgu, dalej musisz jechać sam. Widzisz te wzgórza w oddali, na wschodzie? Tam masz się udać, właśnie tam znajdziesz Gjain. My zaczekamy na ciebie tutaj, przy Bürfell, tak będzie najlepiej. Nie spiesz się, poświęć tyle czasu, ile ci potrzeba.

Villemann poprosił, aby pozwolono mu towarzyszyć bratu.

Móri z namysłem przyglądał się obu synom.

- Chciałbym, abyś pojechał z Dolgiem, lecz twoja obecność, nawet gdybyś czekał w sporej odległości od właściwego miejsca, mogłaby przeszkadzać i jeszcze kogoś przestraszyć. Sądzę, że powinieneś zostać z nami.

Dolg posłał bratu ciepłe spojrzenie.

- Dziękuję, Villemannie! Bardzo chciałbym mieć cię przy sobie. Ojciec jednak wie najlepiej, jak należy postąpić. I wciąż pamiętamy twój bohaterski czyn na Kjölur! Słyszając to Villemann rozjaśnił się i już nie protestował, zresztą dobrze rozumiał tę decyzję. Nikt nie wiedział wszak, co spotka Dolga w Gjäin, a najdrobniejsze zakłócenie równowagi mogło zniweczyć wszelkie wysiłki. Villemann wcale nie chciał, aby stało się to z jego winy.

Cofnąwszy się kawałek, odwrócili się. Zobaczyli samotnego jeźdźca na niedużym rudobrazowym koniku, przemierzającego nie kończące się czarne pole lawy.

Tiril westchnęła cichutko:

- Myślisz, że może mu grozić jakieś niebezpieczeństwo?

Móri długo się zastanawiał:

- Przypuszczam, że jest całkiem bezpieczny. I bardzo wyczekiwany. Oby tylko wszystkiego nie zepsuł. O to tak łatwo.

- No właśnie - pokiwała głową Tiril. - Też się tego obawiam.

Tu się nie da żyć, rozmyślał Dolg, jadąc przez pustkowie. Gdzieniegdzie dzielne, zielone kępki trawy przebijały się przez lawę, lecz nie tutaj. Dolina rzeki Thjorsä była najbardziej jałową ze wszystkich krain, przez jakie jechał dotychczas.

Z wolna zbliżał się do odległych wzgórz. Odwrócił się, próbując wypatrzeć rodziców, ale już dawno temu stracił ich z oczu.

Lekki wiatr owiewał go, ale nie niósł chłodu. Z daleka słyszał szum rzeki Thjorsä, największej rzeki Islandii, ale nie widział jej wody, płynęła głębokim korytem.

Za jego plecami wznosiła się Hekla. Dolg wsłuchał się w ogromną ciszę, wydało mu się, że cała okolica zamarła w wyczekiwaniu. Ale to pewnie tylko on nie potrafił zapanować nad napięciem, on sam na coś czekał.

Nachylił się i poklepał po szyi konia, konia Halli. Wierzchowce braci zakonnych zostawili jakiemuś gospodarzowi z prośbą, aby je zatrzymał. Specjalnie w tym celu wyszukali zagrodę oddaloną od drogi, co zmniejszało ryzyko, że rycerze odnajdą swe konie i być może srodze ukarzą chłopca.

Koń Dolga zaczął kuleć, postanowił więc oszczędzić go przez kilka dni, dlatego jechał teraz na koniku Halli.

Dotarł do wzgórz zamykających dolinę. Drogę zagroziła mu jakaś mniejsza rzeka.

Wiedział, że nie powinien się przeprowiać na drugą stronę, tylko cofnąć kawałek wzdłuż jej brzegu.

Nie było to trudne, bo w pewnej odległości od koryta rzeczki wiodła stara ścieżka dla koni. Momentami oddalał się od rzeki, ale ścieżka, wijąc się, w końcu zawsze dochodziła do wody.

Móri opisał mu drogę tylko w przybliżeniu, raz bowiem kiedyś tędy jechał i wydawało mu się, że wie, dokąd ma dotrzeć Dolg. Halla za to udzieliła mu dokładniejszych wskazówek, wiedziała, gdzie kryje się owo tajemnicze miejsce: "Tam muszą mieszkać elfy, to najbardziej odpowiednie miejsce na całej Islandii".

Takie było jej zdanie, Dolg natomiast wiedział, że można je spotkać niemal wszędzie, w Asbyrgi, w Borgarfjörður na wschodzie, w okolicach Snasfellsjökull i w wielu miejscach na zachodzie wyspy. Teraz miał dotrzeć do Gjäin. Halla musiała mieć rację, skoro elfy i karły prosiły, by właśnie tutaj się udał.

W jednej chwili poczuł, że jest na miejscu.

Ścieżka znów zbliżała się do głębokiego koryta rzeczki. Dolg zбочzył nad jego krawędź. Spojrzał w dół...

Dech zaparło mu w piersiach.

Przed sobą ujrzał niewielką dolinę. Nie bardzo szeroką, wcale nie głęboką.

Niewielkie pagórki porastały maleńkie żółte kwiatki. Środkiem doliny płynął strumyk z dwoma niedużymi wodospadami, a po drugiej stronie strumyka w skale widniało wejście do małej grotty.

Dolg zamarł. Tak baśniowo pięknego miejsca nigdy jeszcze nie widział. Halla miała rację: To musi być miejsce elfów!

Dolina leżała skąpana w blasku słońca. Każdy kwiatek świecił niczym miniaturowe słoneczko w szmaragdowozielonej trawie, otaczającej wodne kaskady i

spokojniejsze miejsca w rzece, w której odbijało się błękitne niebo. Skały miały kolor piasku.

Grota, pomyślał Dolg. Tam mam iść.

Ale jak tam dotrzeć? Dolinę otacza tylko szara jałowa lawa.

Nagle w uszach rozbrzmiał mu głęboki, ochryply głos Cienia:

- Boisz się, Dolgu?

- Czy się boję? - powtórzył zamyślony. - Nie, pełen jestem uniesienia. I pokory.

Czego się ode mnie oczekuje?

- Spotkasz Starca.

- Starca?

- Pradawną siłę Islandii.

- Czy już jestem u celu?

- Dlaczego tak sądzisz? Tu wymagana jest ostrożność, Dolgu! Muszą mieć absolutną pewność, że jesteś tym właściwym.

- A jeszcze tego nie wiedzą?

- Czekają od tysięcy lat. W tym czasie zapewne znaleźli się i inni, którzy także próbowali.

Próbowali? Czego? chciał już spytać Dolg, nie był jednak pewien, czy ma dość odwagi, by usłyszeć odpowiedź.

- Czy ty nie zamierzałeś trzymać się z daleka od tego miejsca? - pragnął wiedzieć Dolg. Czuł, że nerwy ma napięte jak struny.

- Masz całkowitą rację, chciałem się tylko przekonać, czy tu trafisz. Udało ci się. Teraz znikam.

Nie, chciał zawołać Dolg. Przecież ja nic nie wiem! Nie możecie mnie teraz wszyscy opuścić, pozostawić samego w nieświadomości!

Ale stało się tak, jak kiedyś na bagnach. Wszyscy zniknęli.

Została wtedy przy nim tylko Eliveva, jego duch opiekuńczy. Wyszeptał teraz jej imię, lecz nie doczekał się odpowiedzi.

No tak, wówczas był zaledwie dzieckiem. Teraz jest dorosły; spodziewano się, że będzie sobie radzić sam.

Szacunek, jaki odczuwał dla tego miejsca, odbierał mu śmiałość, nie pozwalał zejść na dół do strumyka, czy może raczej rzeczki, nie wiedział, jak nazwać tę wodę.

Usiadł na krawędzi skały, krzyżując nogi niczym świątobliwy hinduski mnich. Znieruchomiał, chłonał atmosferę tego miejsca, przepelnioną spokojem, nastrojową, lecz... Jak wcześniej miał wrażenie, że i tutaj tkwi jakiś element wyczekiwania.

Kiedy nic się nie stało, zawołał stłumionym głosem:

- Elfy Islandii, pozdrawiam was! Przybyłem, aby spróbować pomóc tym, którzy potrzebują mej pomocy.

Jak się tego spodziewał, zapadła cisza, ta cisza, która zapowiada, że coś się stanie.

Dolg czekał.

Wreszcie z doliny rozległa się odpowiedź:

- Przedstaw się, obcy! I zabierz stąd konia! Wibracje, które wysyła, przeszkadzają. Męski głos brzmiał miękko, choć jednocześnie surowo. Nie był młody ani też szczególnie głęboki. Słowa wypowiedziane zostały raczej przeciągłym szeptem, od skalnych ścian odbiły się pełnym skargi echem, ale nie tak potężnym jak w Hljödhaklettar. Dolg wiedział, że się nie myli: to prawdziwe głosy karłów.

Wstał i wyprowadził konia poza obszar doliny, przywiązawszy go, dla uspokojenia poklepał po łbie. Potem wrócił na krawędź skały.

- Jestem Dolg! - zawołał. - Mój ojciec to islandzki czarnoksiężnik Móri z rodu Jonssonów. Moja dobra matka wywodzi się z innego szlacheckiego rodu.

Chwila ciszy.

- To tylko słowa! Kto lub co cię tu sprowadza?

- Przebyłem długą drogę. Jeszcze przed urodzeniem zostałem do tego wyznaczony, ale nie jest to mój ostateczny cel. Sprowadziła mnie tu przede

wszystkim istota z dawnego ludu. Znam ją tylko pod imieniem Ciebie, tak jak wy należy do wymarłego, a zarazem wciąż istniejącego gatunku. Żyje w takiej samej formie istnienia jak wy, elfy i karły. Prawdopodobnie my, ludzie, usunęliśmy z Ziemi jego rasę. Więcej nie wiem, on utrzymuje w tajemnicy prawdę o swym pochodzeniu. Czy taka odpowiedź wystarczy?

Kolejna chwila ciszy.

- Zejdź na dół, Dolgu z rodu czarnoksiężników! Potrzeba innych dowodów.

Dolg rozejrzał się w poszukiwaniu najlepszej drogi. Wygodnego zejścia nie znalazł, zaczął więc spuszczać się w dół tam, gdzie, jak mu się wydawało, będzie najłatwiej. Zbocze było dość strome, ślizgał się na odłamkach lawy, zaraz jednak się prostował i dalej schodził.

Wreszcie znalazł się nad strumieniem. Ponieważ wołanie, jak sądził, rozlegało się z groty po przeciwnej stronie doliny, przeprawił się na drugi brzeg. Zimny nurt obmył mu kolana. Na brzegu wylał wodę z butów, ściągnął też pończochy i zostawił na kamieniach, aby przeschły w słońcu. Dalej poszedł bosy, uważał, że w ten sposób okaże także szacunek.

Czekało go rozczarowanie. Grota okazała się jedynie niedużym zagłębieniem w skale, niczym więcej.

Rozumiał jednak, że już sam fakt udzielenia mu odpowiedzi oznacza, iż nie został odrzucony. Owszem, spodziewano się go, rozumiał jednak, że istoty muszą zachować ostrożność.

Stał na kamiennej płycie u wejścia do "groty".

Głos powrócił, teraz znacznie bliższy, wydobywał się z zagłębienia w skale.

- Czy masz dowód na to, że jesteś owym wytęsknionym, Dolgiem synem Móriego?

Dolg wyjął niebieski kamień ze skórzanej sakiewki. Zapadła głęboka cisza.

Podniósł kamień do góry i czekał. Szafir roziskrzył się w promieniach słońca.

Świat wokół znieruchomiał, jakby i wiatr wstrzymał swą podróż po niebie.

- Tajemnicze imię Dolg mogłeś sobie przywłaszczyć. Drogocenną niebieską kulę, na której ujrzecie czekamy od tysięcy lat, mogłeś sobie przywłaszczyć. Czy masz ostateczny dowód, Dolgu?

Słyszał brzmiać w głosie nadzieję, tęsknotę i rozpacz.

Sam oniemiał ze zdumienia. Ostateczny, decydujący dowód?

O co chodzi?

- Nie wiem, do czego zmierzacie - rzekł niepewnie. - Błękitny kamień znalazłem na bagnach w Europie. Pomogli mi przy tym strażnicy kamienia, tysiącom błędnych ogników umożliwiono przejście do innej formy istnienia. Czy to jest właściwa odpowiedź?

- Błędne ogniki są tutaj, jak również Strażniczka kamienia. Ale odpowiedź nie jest właściwa.

Dolg zmieszał się jeszcze bardziej.

- Moje myśli są puste. Wiem, że jestem tym, na którego czekacie, ale czego żądacie, aby mi uwierzyć?

- Zastanów się, Dolgu!

- Staram się.

Po chwili Głos oświadczył:

- Otrzymasz podpowiedź. Jeśli i ona ci nie pomoże, będziesz musiał stąd odejść.

- Strażniczka z bagien chyba mnie pozna?

- Na bagna przyszło dziecko, dziecko podobne do ciebie. Musimy mieć ostateczny dowód. Spójrz, czy teraz potrafisz nam go dostarczyć?

W kamiennej płycie u stóp Dolga ukazało się niewielkie wgłębienie. Owalne, o lekko zaokrąglonych brzegach i płaskim dnie, mniejsze niż jego dłoń.

Wtedy Dolgowi rozjaśniło się w głowie.

- Przepraszam! Powinienem być od razu o tym pomyśleć.

Słowa Hraundrangi - Móriego podczas chrztu Dolga:

“Chłopiec może ją otworzyć jedynie, kiedy uzna, że nadeszła na to pora”.

Dolg już wyjął szkatułkę, którą otrzymał w podarku podczas chrztu, tę, której nikomu nie wolno było otwierać.

Drewno, z którego zrobiono szkatułkę, wygładziło się i poczerniało ze starości. A więc dziad musiał wiedzieć, przyszło Dolgowi do głowy. Głośno wyraził swe myśli:

- To znaczy, że mój dziad, Hraundrangi - Móri, od którego otrzymałem skrzyneczkę, wiedział o istnieniu tego miejsca? Miał świadomość, że mam tutaj przybyć ze szkatułką?

- Nie - usłyszał w odpowiedzi. - Twój dziad o niczym nie wiedział. Tę skrzyneczkę kolejne pokolenia otrzymywały w spadku, Dolgu, ty, na którego wszyscy czekaliśmy. Hraundrangi - Móri dostał ją od swego ojca, także czarnoksiężnika, który w swoim czasie otrzymał ją od dawniejszych czarnoksiężników. Kiedyś szkatułka należała do Saemunda Uczzonego. Otrzymał ją od nas, ponieważ Saemund potrafił rozmawiać z elfami i karłami, panował zarówno nad dobrymi, jak i złymi mocami. Podarowaliśmy mu ją, aby przekazał temu, który jego zdaniem będzie najbardziej odpowiedni, by znaleźć ukryty przed wiekami kamień.

Nie wyjaśnił, czy ma na myśli niebieski szafir, czy też złote Słońce.

- Dlaczego Hraundrangi - Móri nie przekazał skrzyneczki swemu synowi, mojemu ojcu, Móriemu? - chciał wiedzieć Dolg.

- Hraundrangi - Móri postanowił się przekonać, co przyniesie czas. Wiesz, że zmarł, zanim jego syn się urodził. Twego ojca ścigał Zakon Świętego Słońca, który wszyscy tutaj dobrze znamy. To czyniło los Móriego bardzo niepewnym. Dlatego twój dziad się wstrzymywał. Kiedy jednak na świat przyszedłeś ty, inkarnacja dawnego ludu, Hraundrangi - Móri zyskał pewność, iż słusznie postąpił, czekając. Nikt inny poza tobą nie powinien mieć tej skrzynki.

Dolg pokiwał głową.

- Śledziliśmy twoją podróż przez Islandię, Wybrany. Żywiliśmy nadzieję, chcieliśmy wierzyć, że jesteś tym, na którego czekamy. Ale czas nauczył nas ostrożności. Wybacz wszelkie próby, lecz musimy mieć pewność.

- Doskonale to rozumiem. Co teraz powinienem zrobić?

- Otwórz skrzynkę.

- Nie da się jej otworzyć.

- Wiem. Sprawdź najpierw, czy pasuje. W ciągu tylu lat mogła zostać podmieniona.

Dolg z wahaniem przykucnął i położył szkatułkę we wgłębieniu kamiennej płyty. Kamień zajaśniał, jakby odczuł przyjemność.

- Pasuje idealnie - mruknął Dolg.

- Wspaniale - odparł Głos.

Dolg czekał. Nie wiedział, czego się po nim spodziewano. Wziął do ręki skrzyneczkę i delikatnie powiódł palcem wzdłuż jej krawędzi.

Rozległ się jakiś cichutki odgłos i pokrywa podniosła się do góry, niemal sama z siebie.

W środku leżał przepięknie kuty klucz.

- Znajdź zamek, Dolgu!

Podniósł wzrok. Postąpił o krok w stronę niszy w skale.

Przed oczami ukazało mu się coś, co można było uznać za łukowaty otwór drzwiowy z kamiennymi drzwiami. Dolg przesunął po nich dłońmi, napotkał nierówność.

- Znalazłem zamek - rzekł zdumiony.

- A więc otwórz go - polecił Głos. - Ale nie wchodź do środka. Ja wyjdę do ciebie.

Rozdział 11

Drzwi uchyliły się powoli, jak można się tego spodziewać po kamiennych wrotach, zwłaszcza że być może nie otwierały się przez setki lat. Dolg przez moment dostrzegł panujący wewnątrz mrok, ale widok zaraz przesłoniła mu idąca ku niemu postać.

Cofnął się, by zrobić miejsce kroczącemu z niezwykłym dostojeństwem mężczyźnie.

To musiał być ów Starzec. Dolg głęboko się mu pokłonił i z szacunkiem przywitał po islandzku. Mężczyzna odpowiedział mu w podobnym tonie, Dolgowi spadł kamień z serca, że nie popełnił jakiegoś głupstwa.

Nie był wszak pewien, jak należy zwracać się do istot pochodzących z innych wymiarów.

Niski mężczyzna miał siwiuteńkie włosy i brodę. Zaskoczyło to Dolga, który sądził, że elfy zachowują wieczną młodość. Pomimo niedużego wzrostu nie nazwałby staruszka karłem, raczej wydawał mu się elfem, skurczonym ze starości.

Niebieski, przybrany białym futrem płaszcz z trenem był zniszczony i wyblakły, podobnie jak opończa i pozostałe części stroju.

- Odzyska swój dawny blask, kiedy i my odzyskamy naszą wielkość - tłumaczył się Starzec.

Dolg tylko przyjaźnie skinął głową. Czy to ja mam im wrócić wielkość? zastanawiał się w duchu. To dopiero zadanie!

Starzec gestem wskazał na kamienną półkę.

- Siądziemy tutaj, czy też wolisz zająć miejsce na trawie?

Dolg popatrzył na przepięknie kwitnące łąki.

- Nie chciałbym stąpać po kwiatach.

Starcowi najwidoczniej spodobało się jego nastawienie. Dolg bez słowa siadł na kamieniu, a Starzec przycupnął w niewielkim oddaleniu od niego. Krótkie nóżki zwiesił nad brzegiem, przy bosych stopach Dolga.

Najwyraźniej Dolg nie miał przekroczyć progu kamiennych drzwi.

- Powiedz mi - zaczął Dolg z wahaniem. - W jaki sposób możecie odzyskać wielkość?

Upłynęła chwila, zanim Starzec odpowiedział, jakby długo ważył słowa:

- Właściwie nie jestem elfem...

- Wiem, jesteś pradawną siłą Islandii, prawda?

Małe, przenikliwie spoglądające oczy popatrzyły na niego.

- Kto tak powiedział?

- Hraundrangi - Móri, mój dziad.
 - Dobrze! Oczywiście on o tym wie. Ale walka elfów jest również moją walką i można powiedzieć, że jestem z nimi spokrewniony. Długo czekaliśmy na ciebie, Dolgu. Z dwóch powodów.
 - Z dwóch? Czy to znaczy, że czekają mnie dwa zadania?
 - Myślisz szybko i poprawnie. Stoi przed tobą wielkie zadanie, na którego wypełnienie z niewypowiedzianym bólem czekają wszystkie elfy świata, karły, skrzywdzeni zmarli, porzucone dzieci, a przede wszystkim twoi pobratymcy.
 - To zadanie, które rozpocząłem na bagnach?
 - Właśnie! Jednocześnie zaś elfy Islandii mają do ciebie oddzielną prośbę...
 - Pragną odzyskać dawną postać? Znow włądać tutejszą ziemią?
 - Nie, nie. Nasze niewidzialne istnienie całkiem nam się podoba, dopóki zbytnio się nie wdzieracie na nasze obszary. Islandczycy potrafią dbać o swoją wyspę, żyjemy z nimi w pokoju. Nie, Dolgu, czego innego pragniemy... Wesprzemy cię w twoim życiowym zadaniu, jeśli ty najpierw pomożesz nam.
 - Oczywiście - zapewnił Dolg. - Zrobię, co w mojej mocy.
- Starzec uśmiechnął się zimno.
- Nie ty będziesz narażać się na niebezpieczeństwo. Ale pozwól mi opowiedzieć o wszystkim od początku.
- Dolg usadowił się wygodniej na znak, że jest gotów, by słuchać.
- Mówiłem już, że musimy zachować ostrożność - rozpoczął Starzec. - Mamy ku temu powody. Wspominałem także, że być może inni usiłowali zawładnąć naszymi skarbami. Oszuści. Przed kilkoma stuleciami pojawił się tu jeden taki, przyniósł ze sobą tę maleńką skrzyneczkę...
- Starzec zatopił się w myślach. Dopiero po dłuższej chwili podjął znowu:
- Gdybyśmy zdołali odzyskać dawną siłę, wiele moglibyśmy uczynić dla Islandii. Wróciłaby moja młodość, a elfy przestałyby rozpaczać i znow tańczyłyby we mgle na łąkach w księżycowe noce. Ale ograniczono nam swobodę.

- Jak do tego doszło? Ponieważ szkatułka przechodziła na kolejne pokolenia czarnoksiężników, wnoszę, że ów oszust był jednym z nich. A może skradł skrzyneczkę?

- Był czarnoksiężnikiem, jednym ze złych. Miał powiązania z owym strasznym zakonem rycerskim, który i ty znasz aż za dobrze. W jakiś sposób wywęszył, do czego można użyć skrzynki, i na krótko przed swoją śmiercią przybył tutaj. Król elfów wziął go za właściwego człowieka, wkrótce jednak się przekonał, że popełnił błąd i cofnął swą dobrą wolę. Czarnoksiężnik wpadł w gniew, doskonale znał się na magicznych zaklęciach, posiadał znajomość wielu strasznych czarnych run, które na szczęście przepadły wraz z nim. Mszcząc się na królu, porwał go i powiódł w miejsce, do którego nie mamy dostępu. Nic nie możemy zdziałać. Rzucił urok, którego moc tylko człowiek może zniweczyć i tym samym oswobodzić króla elfów. Dlatego elfy płaczą, a ja wraz z nimi, moimi pobratymcami, jak ich nazywam.

Dolg z powagą kiwał głową.

- Uczynię, co tylko będę mógł, by uwolnić waszego króla.

Starzec położył mu rękę na ramieniu, Dolg odniósł wrażenie, że przenikają z niej wszelkie troski i melancholia Islandii.

- Ty nie możesz tego uczynić, Dolgu, jesteś bowiem nie tylko człowiekiem, należysz po części także do dawnego ludu. Możesz jednak przygotować zadanie dla tego, kto je wykona. Wspierać go, tak, jego, bo to musi być mężczyzna.

- Mój brat?

- On jest tylko w połowie Islandczykiem.

- Mój ojciec?

- To czarnoksiężnik, w dodatku podczas wędrówki przez krainę zimnych cieni ściągnął wiele na siebie. Nie jest już czystym człowiekiem.

Umysł Dolga gorączkowo pracował. Tak bardzo pragnął dopomóc, nawet gdyby elfy nie wsparły go w zadaniu, które na niego czekało.

- Dziecko? - spytał na próbę.

Starzec zawahał się.

- Młody chłopak, czternastoletni - dodał Dolg.

- Czy jest dzielny?

- Tego nie wiem. Przed dwoma laty odebrano go matce, oboje bardzo z tego powodu cierpieli. Odwagi pewnie mu nie brakuje, ale czyż mamy prawo tak go obciążać? Wiele już przeszedł.

- Jest z wami, prawda? - spytał Starzec.

- Tak, uznaliśmy, że najlepiej się stanie, jak go zabierzemy. Dziadkowie i tak już zbyt długo go zatrzymywali. Teraz kolej, by był razem z matką.

- Wobec tego wiem, o kim mówisz. Znam kobietę, u której przebywałeś, ponieważ samotna mieszka w naszych dolinach. Tyłu jest was, ludzi, na ziemi, gromadzicie się w miastach, nie potrafimy was rozróżnić. Ale ją znamy, to dobra kobieta.

Potrzebuje twojej pomocy bardziej, niż ci się wydaje, ale o tym nie chcę teraz mówić, bo jeszcze ci przeszkodzę w wypełnieniu zadania. Wciąż masz czas, by się nim zająć, zanim ona będzie cię potrzebowała. Dobrze, przyprowadź chłopca, zobaczymy, czy nam się uda. Ale wszyscy z was naprawdę muszą mu pomóc.

- Wiecie chyba, że towarzyszą nam również Duchy.

- Owszem, znam je na wylot, kiedyś więcej w nich było zła niż jest teraz. Twój ojciec ma na nie dobry wpływ.

- Dzięki za te słowa, naprawdę cieszą.

- Poproś je o pomoc! Pamiętaj jednak: Jediną osobą, która naprawdę może coś zrobić, jest człowiek z Islandii.

Czternastoletni chłopiec?

- Czy zadanie jest trudne?

- Wymaga wielkiej odwagi. Ale jeśli mu się powiedzie, on i jego matka do końca życia mogą liczyć na nasze wsparcie.

Dolg zadrzał z przejęcia. Opieka elfów na Islandii nie mogła się równać z niczym.

- Jak już mówiłem, planuję zabrać chłopca do jego matki. Czy wasza dostojność uważa, że tak właśnie powinienem zrobić?

- O tym zdecydować musi chłopiec.

- Oczywiście! To samo powiedzieli moi rodzice. A więc postąpiliśmy słusznie.

Nagle Dolg coś poczuł, a raczej zauważył. Drzwi za nimi pozostały uchylone. I...

- Nie jesteśmy sami - rzekł cicho.

- To prawda. Nie odwracaj się.

Siedzieli bez słowa, Dolg słyszał, a raczej wyczuwał gromadę, która opuściwszy grootę rozprzestrzeniła się po zboczach za ich plecami. Setki istot rozsiadły się tam, by się im przysłuchiwać.

Elfy. Elfy Islandii, a może jeszcze jakieś inne? Przedstawiciele nieznanymi istot?

Wyczuł ich milczące zaufanie.

Może były wśród nich także błędne ogniki?

Nie śmiał się odwracać, w dodatku wcale nie miał pewności, że w ogóle cokolwiek zobaczy, a poza tym Starzec go przestrzegał.

Starca należało słuchać.

Dolg nabrał powietrza w płuca.

- Jestem gotów wysłuchać waszych wskazówek, panie. Najpierw tylko jedno pytanie. Ów zły czarnoksiężnik, któremu nie udało się odnaleźć tego, za czym goił... Czy jego imię brzmiało: Gottskalk? Gottskalk Zły?

Staruszek zerknął na niego z ukosa.

- Nie znam jego imienia - oświadczył po chwili wahania. - Ale to my zatroszczyliśmy się, aby dosięgła go, śmierć wkrótce po jego nikczemnym uczynku wobec nas. Aby nikomu nie mógł już zaszkodzić.

- Wasz król... Przebywa w niewoli gdzieś w pobliżu?

- Nie, ale otrzymacie pomoc w odnalezieniu właściwej drogi, starej Landmannaleidh.

- Dziękuję - rzekł po prostu Dolg. - Nie jestem pewien, czy mój ojciec zna tę drogę.

- Drogę być może zna, ale zapewne nigdy nie był przy wodospadzie, przy Ófserufoss.

- Tam więc zły czarnoksiężnik ukrył waszego króla?

- Tak. Macie mało czasu na działanie, z różnych przyczyn, które uświadomicie sobie dopiero z czasem. Najważniejsze, abyście dotarli tam podczas pełni księżyca...

Dolg zastanowił się.

- Teraz mamy pełnię.

- Pełnia przypada jutrzejszej nocy. Wracaj do swej rodziny i jedźcie tak daleko, jak tylko zdołacie. Jeśli uda wam się dotrzeć do Landmannalaugar, znajdziecie dobre miejsce na nocleg. Rano wyruszyście w dalszą drogę. Czeka was trudna przeprawa przez dzikie pustkowia.

- Do tego już przywykliśmy.

- Doskonale! A teraz dowiesz się, co należy uczynić, aby uwolnić naszego ukochanego króla od zaklęcia.

Starzec machnął ręką za plecami, podano mu cieniutką, delikatną linkę. Wręczył ją Dolgowi. Chłopak zdumiał się lekkością sznura, który jednocześnie wyglądał na bardzo wytrzymały.

- Towarzyszy wam duch, który będzie służył chłopcu wielką pomocą - oświadczył starzec. - Bardzo się cieszymy, że macie takich dobrych opiekunów. Ale nie zdążyłem ci jeszcze powiedzieć, że równie dobrze ty sam możesz wspierać chłopca podczas najtrudniejszych chwil. Możesz mu pomagać na wszelkie sposoby, lecz twój udział liczyć się nie będzie. To chłopiec swoim uczynkiem może uwolnić naszego króla. Tobie nie wolno posunąć się do końca, król nie może cię zobaczyć.

Dolg zamysłony pokiwał głową.

- Rozumiem. Nie mogę brać bezpośrednio udziału, lecz za to mogę ułatwić?

- Tak, potrafisz bowiem o wiele więcej niż młodziutki chłopiec z ludzkiego rodu.

Twoje zdolności są nieprawdopodobne. Ze względu jednak na swe pochodzenie nie nadajesz się do wypełnienia tej misji. Zły Gottskalk - a więc powiedziałem ci jego imię - wiedział, co robi, stawiając warunek, że tylko człowiek ocalić może

króla elfów. Bo człowiek nie ma żadnych możliwości, by poradzić sobie z tym zadaniem, a nam nawet nie wolno próbować. Gdybyśmy się o to pokusili, nasz król skazany by został na uwięzienie przez całą wieczność.

- Ale Bjarni otrzyma wsparcie innych mocy - pokiwał głową Dolg. - Dobrze, na pewno damy sobie radę.

- Wierzymy w to, Dolgu. Ty i twoi towarzysze jesteście naszą ostatnią, jedyną nadzieją. Posłuchaj uważnie...

Rodzina spostrzegła, jak nadjeżdża przez czarne pola lawy w dolinie rzeki Thjorsa.

- Dzięki Bogu - Tiril odetchnęła z ulgą. - Wrócił, i to nawet dość szybko. Zaraz się dowiemy, co się stało.

Tylko Móri dostrzegł coś jeszcze.

Dobry Boże, zastanawiał się, co to może być? Nie potrafił nazwać tego, co widzi. Miał wrażenie, jakby Dolga spowijała jakaś tajemnicza materia, a raczej jakby ciągnął się za nim szeroki obłok mgły, jakby tysiące przezroczystych istot pędziło za nim i jego koniem.

Czy coś mu grozi? zląkł się Móri.

- Spokojnie - szepnął mu Nauczyciel prosto do ucha. - Wszystko jest tak, jak być powinno. To gromada elfów towarzyszy swej jedynej nadziei. Musimy im pomóc.

- Tak, to oczywiste.

- Co powiedziałaś? - chciała wiedzieć Tiril.

- Nic takiego.

Dolg dotarł do nich, zsiadł z konia i posiliwszy się nieco, zaczął opowiadać. Móri oczu nie mógł oderwać od towarzyszącej mu, niewidzialnej dla innych gromady. Rozróżniał teraz mgliste kontury istot i zastanawiał się, czy Dolg także je widzi. Nie chciał pytać wprost, młody chłopak, który im towarzyszył, mógł się przestraszyć.

Już widać trochę zapomniał, jaka jest natura Islandczyków.

W zdumieniu słuchali opowieści Dolga.

- Szkoda, że ja tam nie byłem - westchnął Villemann.

- Może uda nam się wrócić do Gjäin, kiedy wykonamy już zadanie, o które poprosiły nas elfy - pocieszył go Dolg. I on bardzo chciał pokazać swym bliskim tę niezwykle urokliwą dolinę.

Móri oświadczył po namyśle:

- Starzec przecenił nasze możliwości. Nie zdążymy zajechać dzisiaj do Landmannalaugar, chociaż pora jeszcze wczesna. Byłem tam kiedyś, jechałem, by umknąć przed prześladowcami.

- Którędy jechałeś? - spytała Tiril.

- Fjallabaki. Za górami. Droga, Landmannaleidh, zaczyna się właśnie tutaj, przy Burfell. Jeśli wszyscy są gotowi, natychmiast wyruszamy. Postaramy się zajechać tak daleko, na ile pozwolą nam siły.

Dodał z ponurą miną:

- Naprawdę mam nadzieję, że zdołamy dotrzeć do Landmannalaugar. Ta droga to prawdziwie piekielna pustynia.

- Znasz Ofasrufoss? - dopytywał się Dolg.

- Nie, nigdy tam nie byłem, ale to podobno bardzo szczególne miejsce.

- W jaki sposób więc tam trafimy? - zastanawiał się Bjarni.

- Możemy liczyć na pomoc - zwięźle odparł Dolg.

Bjarni dowiedział się, że właśnie jego wyznaczono, by wyruszył na ratunek królowi elfów. W jaki sposób miał tego dokonać, wiedział tylko Dolg, który jednak przynajmniej na razie niczego nie chciał zdradzić.

To mogło przerażać.

Móri podniósł rękę do góry.

- Zanim wyruszamy... chciałbym zapytać duchy, czy zechcą nam pomóc.

- Doskonale! - Dolg i Villemann jednogłośnie pochwalili pomysł.

Wszyscy usłyszeli głos Nauczyciela:

- Ze względu na chłopca nie ukażemy się. Ale przysłuchiwaliśmy się wam i bardzo się cieszymy, że będziemy mogli się do czegoś przydać. Ten z nas, który

najbardziej pomoże chłopcu, jest już w pełni gotowy. Nie mamy nic przeciw elfom Islandii. Chociaż należymy do innych wymiarów, uważamy możliwość przyjscia im z pomocą za zaszczyt.

- Czujemy podobnie - odparł Móri, a potem zawołał: - Słyszałyście, elfy?

Bjarni drgnął przerażony, kiedy przez równinę poniósł się zwielokrotniony szum. Wyczuwało się w nim zadowolenie.

Przez czarną równinę ciągnącą się ku szczytowi Hekli Dolg jechał obok Bjarniego. Podczas drogi prowadził z chłopcem spokojną rozmowę, wtajemniczał go, co będą musieli zrobić - czekała ich naprawdę ciężka przeprawa. Uprzedzał Bjarniego też, że jeśli nie chce podjąć tej próby lub nie czuje się na siłach, musi o tym od razu powiedzieć.

Chłopiec odetchnął drżąco.

- To rzeczywiście brzmi dość strasznie. Ale jeśli ty będziesz ze mną... - Bjarni popatrzył z podziwem na swój ideał.

- Będę, i ja, i pani wody. Kiedyś przeprowadziła naszego najlepszego przyjaciela przez całą Szwajcarię, powiodła go przez rzeki i jeziora, przez cały czas utrzymując go ponad powierzchnią.

- Tak, lecz...

- Wiem, teraz będzie inaczej. Ale możesz czuć się bezpiecznie.

- Bardzo bym chciał - westchnął Bjarni. - I fantastyczne też, że matka i ja będziemy w przyszłości mogli liczyć na wsparcie elfów. Ale jak, na miłość boską, zdołam sobie z tym poradzić?

- Musisz się zdecydować już teraz - oświadczył Dolg, kiedy zaczęli wspinać się w górę zbocza. - Bo jeśli się boisz, należy szukać innego. To może potrwać i...

- Nie! - jęknął Bjarni. - Nie trzeba nikogo innego, pozwólcie mnie spróbować! Ale chyba trochę mogę się bać?

- Nawet powinienes, gdyby było inaczej, oznaczałoby to, że niczego nie rozumiesz. Usłyszysz i zobaczysz takie rzeczy, o których ci się nie śniło.

Przeniesiesz się w inny świat, taki, którego zwyczajni ludzie nie widzą.

Słysząc było, jak Bjarni głośno przełyka ślinę. Wreszcie podniósł głowę.

- Jestem gotów.

Jakież on podobny do Halli, pomyślał Dolg z uśmiechem. Silny i dumny, chociaż taki jeszcze młody.

Wjechali na Fjallabaki, czyli na Fjadlabaki, jak wymawiali tę nazwę Islandczycy. Otworzył się przed nimi niezwykły krajobraz, symfonia czerni, szarości i szarych brązów.

Chwilę później dotarli na, jak się wyraził Móri, piekielną pustynię.

Biały szczyt Hekli na tle błękitnego nieba stanowił jedyny element przerywający monotonię czerni. Ziemię grubą warstwą pokrywał popiół i lawa. Wyrastały z niej kamienne szpiczaste formacje, czarne i lśniące niczym skrzydła kruka, niezwykle kolumny niby skamieniałe olbrzymy z pradawnych czasów i trolle, ponure, lecz nadszadziewanie piękne.

Czarniejszego krajobrazu nigdy dotąd nie mieli okazji spotkać.

- Nieprawdopodobne - szepnął Villemann. - Niespotykane, fantastyczne, niebywałe!

Tiril odnosiła się do okolicy mniej entuzjastycznie, a prawdę powiedziawszy była nawet przestraszona. Ukradkiem zerknęła na Hekłę, jak gdyby chciała sprawdzić, czy potężny wulkan nie zaczyna ożywać, ale z białego szczytu nie unosiła się najmniejsza nawet smużka dymu.

Jakich straszliwych zniszczeń potrafisz dokonać, Heklo, mówiła w duchu Tiril.

Wszystko to jest twoim dziełem, a potrafisz sięgnąć jeszcze dalej. Aż do

Thjorsárdalur rzuciłaś swe czarne ozdoby.

Czy to przemawia do twego zmysłu estetycznego? Uwielbiasz to, co ponure, makabryczne? Po części potrafię to zrozumieć, nigdy nie zapomnę tej drogi obok ciebie, Heklo.

Im głębiej się zapuszczali w tajemnicze doliny Landmannaleidh, tym bardziej pogłębiało się wrażenie piekielnej czeluści, nasuwały skojarzenia z dniem Sądu Ostatecznego. Nawet Villemann i Bjarni umilkli, przybici osobliwym charakterem

krajobrazu. Nie dziwiło ich wcale, że dolina, przez którą akurat jechali, nosiła miano Dómadalur, czyli Dolina Sądu.

Wreszcie jednak dookoła pojaśniało. I jakież kolory się pojawiły! Wzgórze za wzgórzem, kolejne wzniesienia w kolorze piasku, złota i miedzi, niebieskie, zielone i ostro fioletowe. Czasami pośród bardziej przytłumionych barw pojawiała się jadowicie żółta plama lub pas, lub nagle przecinały je połyskliwe odcienie czerni, z jakimi zetknęli się wcześniej.

Znajdowali się na południu Islandii. Słońce na pewien czas kryło się tu za horyzontem, ale ciemność nie zapadała nigdy. Jechali przez cały dzień, a zanim dotarli do Landmannalaugar, upłynęło też pół nocy.

Rozbili obozowisko w pobliżu gorących źródeł i łąk zsypanych żółtymi kwiatkami, rozjaśniającymi tak pięknie szmaragdowozieloną trawę.

Na Landmannaleidh nie spotkali żywej duszy, tutaj także nikogo nie było.

Pięcioro ludzi i pies zasnęli natychmiast, gdy tylko się położyli.

Nad wielobarwnymi górami Landmannalaugar z niezwykłą Górą Miedzianą zawisł błądy księżyc, niemal idealnie okrągły.

Następnej nocy miał osiągnąć pełnię.

Rozdział 12

Wstał kolejny piękny dzień, ale po nieprzerwanie siąpiącym deszczu na północy Islandii uważali, że w pełni na to zasługują.

- Nie wiem, jak daleko do Ófaerufoss - stwierdził Móri. - Ani też gdzie go szukać.

Dlatego musimy wyruszyć w drogę najwcześniej jak się da.

Niebawem znów jechali, z przykrością opuszczali piękne Landmannalaugar, ciepłe jeziora i strumienie, w których rankiem urządzili sobie kąpiel. Villemann nie rezygnował z żadnej okazji gorącej kąpieli pod gołym niebem. Landmannaleidh ciągnęła się na wschód, ruszyli dalej tym szlakiem.

Okolica była tu bardziej pofałdowana, droga wiała się ku szczytom pokrytych lawą wzgórz i znów schodziła w doliny, gdzie pokonywali rzeki w bród. Do tego jednak zdążyli już przywyknąć podczas tej podróży.

- Tylko tyle, że się człowiek zmoczy - śmiał się Villemann i podniósł obie nogi do góry. Na nic się to jednak nie zdało, bo koń rzucił się w pław przez wodę i Villemann o mało przy tym nie spadł. W ostatniej chwili przy wtórze śmiechów i plusków zdołał się utrzymać w siodle.

We wzgórzach o barwie wszystkich odcieni ziemi pojawiało się coraz więcej minerałów i metali. Dla Villemanna było to prawdziwe eldorado, ale nie mieli czasu, by zatrzymać się tu na dłużej.

Móri westchnął.

- Niczego nie wiemy - poskarżył się. - Możemy minąć drogę prowadzącą do wodospadu. Jeśli w ogóle taka droga istnieje, osobiście bardzo w to wątpię.

- Odnajdziemy wodospad - rzekł Dolg spokojnie.

- Skąd masz taką pewność?

- Ponieważ...

Dolg ugryzł się w język. Nie chciał zdradzać, co przeżył. Nieco wcześniej poczuł jakiś ruch u swego boku. Ktoś szedł przy nim. Potem zauważył lekkie, nie wiadomo skąd się biorące drgnienie cugli, a kiedy przesunął wzdłuż nich ręką, natknął się na jakąś dłoń, która przytrzymała wodze.

- Ponieważ nami pokierują - odparł krótko.

Cugle drgnęły leciutko, jakby na znak podziękowania, że się nie zdradził.

Dłoń, której dotknął, była drobna i chłodna, o miękkiej skórze.

Kobieca dłoń.

Dolg domyślał się, kto prowadzi jego konia.

Pozwolił, by inni go wyprzedzili, a kiedy został sam, szepnął cichutko:

- Niedobrze, że idziesz piechotą, pani. Nie zechcesz usiąść w siodle razem ze mną?

Koń się zatrzymał. Dolg poczuł na ręku dotyk miękkiej dłoni i po chwili zorientował się, że nie siedzi już sam. Przed nim usadowiła się drobniutka istota, której nie widział, lecz wyczuwał jej obecność.

Myślami wrócił do wszystkich opowieści islandzkich o ludziach, którzy wpadli w sidła zastawione przez królową elfów, zwabieni na zatracenie, i nigdy nie powrócili do świata ludzi.

Tym razem jednak było inaczej. Okoliczności zdecydowanie się różniły.

- Na pewno odnajdziemy twego męża, pani, i uwolnimy go - szepnął Dolg.

I znów dotyk delikatnej rączki, przypominający tchnienie wiatru.

Nastąpiło już popołudnie, wciąż jechali wzdłuż Fjallabaki, kiedy spostrzegli, że Móriego nagle ogarnęło drżenie. Wstrzymał konia i zapatrzył się na północ. W pobliżu twarzy płonęły tylko czarne oczy.

Powiedli wzrokiem za jego spojrzeniem, lecz spostrzegli jedynie niskie ośnieżone szczyty, nad którymi z prawej strony górował Vatnajökull. Ale Móri nie patrzył wcale na lodowiec.

- Co się stało, Móri? - spytała Tiril. - Kolejne bolesne wspomnienia? Ale przecież nigdy chyba nie podróżowałaś przez te dzikie góry?

Móri wypuścił powietrze z płuc, ale nie mógł dojść do siebie.

- Nie, to nie wspomnienie - rzekł udręczony. - Przeciwnie, zupełnie przeciwnie.

Dolg, którego myśli krążyły zwykle podobnym torem jak myśli ojca, zapytał:

- Chcesz powiedzieć, że... zobaczyłeś coś, co jeszcze się nie zdarzyło?

- Tak, chyba tak. Coś tak okropnego nie mogło się stać, inaczej wszyscy by o tym wiedzieli.

- A co takiego? - dopytywał się Villemann. Zatrzymali konie i spoglądali ku białym szczytom. Nero zdziwiony obserwował ludzi.

- Ujrzałem, jak tamta góra rozrywa się, powstaje w niej potworna, długa szczelina. Wzdłuż całego otworu ukazał się ogień, wylała się lawa, poleciały kamienie i popiół, i z tego, co zdążyłem zobaczyć przez minutę, wybuch musiał dokonać ogromnych spustoszeń.

- Przecież tu dookoła wszędzie są tylko pustkowia - zauważyła Tiril.

Móri spojrział na nią udręczony. Wszyscy, nawet młodziutki Bjarni, zorientowali się, że wizja bardzo go wzburzyła.

Popędzili koniki i ruszyli naprzód w milczeniu. Nawet Villemann przestał żartować. Wizja, jaka ukazała się Móriemu, zapowiadała wybuch wulkanu Laki w roku 1783. Potężniejszej erupcji wulkanu nigdy na świecie nie było. Ziemia pękła na długości dwudziestu pięciu kilometrów, a spod niej wyłoniło się sto dziesięć kraterów.

Szczelina, wyglądająca obecnie jak długi szereg stożków wulkanicznych, zwie się Lakagigar. Wybuch, który Móri przewidział, miał tragiczne następstwa. Wyginęła wówczas większa część islandzkiej fauny, wliczając w to również zwierzęta domowe. Niemal całą wschodnią część wyspy pokryła lawa. Śmierć poniosło tysiące ludzi, przy czym wielu zmarło z głodu. Ruszyła fala emigracji. Sądono, że Islandia po takiej klęsce nigdy już się nie podniesie. Wielkie obłoki popiołów z Lakagigar dotarły aż do Kanady.

Kiedy jednak grupa ludzi prowadzona przez elfy spoglądała na Laki, widziała tylko spokojne, pokryte śniegiem wyżyny.

Niedługo później Dolg poczuł wyraźne, znacznie mocniejsze szarpnięcie za cugle. Królowa elfów przejęła od niego kierowanie koniem.

- Wjeżdżamy w tę dolinę! - zawołał Dolg.

Prosto ku szczytowi Laki, pomyślał przygnębiony Móri. Przerazająca wizja jednak już minęła, czuł także, iż nie była wcale ostrzeżeniem dla nich. Tragiczne wydarzenia miały nastąpić dopiero w przyszłości.

Skąd Dolg wie, że mamy jechać właśnie tędy? zastanawiał się, kiedy skręcili w szeroki wąwóz, którego środkiem płynęła spokojna rzeka. Czy podpowiada mu to tylko intuicja, czy też może coś więcej?

Móri, leciutko urażony, zrozumiał, że jego pierworodny ma o wiele bliższe powiązania z elfami niż on sam.

Trochę mu się zrobiło przykro, lecz prędko o tym zapomniał. Przecież taki był dumny z syna!

- Jedziemy właściwą drogą? - spytał Dolga, kiedy zagłębili się w dolinę.

- Tak - odparł Dolg i uśmiechnął się nieśmiało. Od tego uśmiechu zawsze cieplej się ludziom robiło na sercu. - Już niedaleko.

Wkrótce na lewym zboczu doliny ujrzeli wodospad. Sami podążali prawą stroną. Jadący przodem Villemann wstrzymał konia.

- Nie wierzę własnym oczom - oświadczył zdumiony.

Pozostali także się zatrzymali. Zorientowali się, że dalej konno nie pojedą, będą zmuszeni zostawić zwierzęta tutaj na popas.

Kolejno podjeżdżali do Villemanna i zatrzymywali się oniemiałi.

- Ófaerufoss - mruknął Móri.

- Czy ja naprawdę widzę to, co widzę? - zastanawiał się Villemann.

- Chyba tak - odpowiedziała Tiril. - Bo wszyscy widzimy to samo.

Z krawędzi wzgórza wodospad spadał niemal pionowo w dół na rodzaj skalnej półki, a stamtąd dalej ku dnu doliny. Był to więc podwójny wodospad.

A z półki, wsparty na niej, wznosił się nad wodospadem piękny, łukowato wygięty most.

Pierwsze pytanie, jakie zadał Villemann, postawić mogło właściwie każde z nich:

- Czy po tym moście da się przejść?

- Pewnie tak - odparł Móri.

- Chcę to zrobić! Natychmiast!

Dolg rzekł spokojnie:

- Będziesz miał na to czas. Bo właśnie z mostu będziemy szukać króla elfów.

- Z mostu? Chcesz powiedzieć... w wodospadzie?

- Pod nim. W jaki więc inny sposób moglibyśmy się tam dostać?

Villemann powiódł wzrokiem po dolnej części wodospadu. Rzeczywiście, starszy brat jak zwykle miał rację. Ale jak na miłość boską...?

Bjarni wyraźnie pobladł.

- Dolg... - szepnął. - To przecież niemożliwe!

- Owszem, Bjarni. Zobacz, co dostałem od Starca. Ten sznur jest niezwykle mocny.

- Ale pod wodą? W takim silnym prądzie? Nie!

- Damy sobie radę, Bjarni. Towarzyszyć ci będę nie tylko ja, lecz także duchy mego ojca, może nawet sam Cień. Bo tak jak mówił Starzec: nic nie zostało powiedziane o tym, że człowiek, który uratuje króla elfów, musi być sam. Okrutny czarnoksiężnik sprzed wieków nie miał pojęcia, że możesz mieć tak potężnych współtowarzyszy. I nie myślę wcale o sobie ani o moim ojcu.

- Chodzi ci o niewidzialnych.

- Tak. Ale elfy nie mogą nic uczynić. Inaczej zrobiłyby to już dawno.

Bjarni zapatrzył się na wodospad i most po drugiej stronie. Sytuacja wydała mu się beznadziejna.

- Cóż za diabelska przebiegłość u tego Gottskalka! Zwyczajny człowiek nigdy sobie z tym nie poradzi. A elfy są bezsilne, nie wolno im działać.

- Oczywiście już wcześniej podejmowały próby oswobodzenia króla, lecz przekleństwo czarnoksiężnika zamknęło im drogę. Mój ojciec bardzo chętnie by ci towarzyszył, bo zna wiele magicznych run, lecz Starzec życzył sobie, abym to był ja. Ojciec i Villemann muszą stać na moście, żeby nas spuścić na dół.

- Rozumiem - powiedział Bjarni, nie skrywając strachu.

Nero podszedł do chłopca, obwąchał jego rękę i zamierdał ogonem.

- Tęsknię za Teiturem - westchnął Bjarni. - Twój pies jest naprawdę wspaniały.

- Nero właściwie jest stróżem mojej matki, jeszcze od czasów jej dzieciństwa. Ale ostatnio trzyma się mnie. Doskonale się porozumiewamy.

Dopiero kiedy Bjarni wbił weń zdumione spojrzenie, Dolg zdał sobie sprawę z sensu swoich słów.

- Przepraszam, Bjarni! To duchy przedłużyły Nerowi życie w podzięce za życzliwość, jaką okazała im moja matka. Nero i ja umrzemy jednocześnie.

- Stroisz sobie ze mnie żarty?

- Wcale nie! Spytaj innych, potwierdzą moje słowa.

Bjarni z trudem przyjmował nowinę.

- Ale przecież on wygląda tak młodo! Nie ma wcale siwych włosów ani zeszywniałych stawów... - zamyślił się na chwilę. - Dolgu - spytał wreszcie przejęty. - Czy mógłbyś poprosić duchy, aby przedłużyły życie także Teiturowi? Dolg zawahał się.

- Zobaczymy - uśmiechnął się niezobowiązująco.

Pozostali już zaczęli przeprowiać się przez rzekę, Pospieszyli więc za nimi.

- Przekonamy się, czy Villemann znów nie wpadnie do wody - mruknął Dolg. Przejście na drugą stronę okazało się jednak bardzo łatwe. W największym miejscu rzeki leżały dwa wielkie kamienie, na które dało się stanąć, a potem wystarczył ostatni nieduży skok wprost na przeciwległy brzeg.

Na ten sam, na który spadał wodospad.

Wolno wędrowali przez płaski teren ze wzrokiem utkwionym w oba wodospady i most, niesamowity, majestatyczny most, którego nie wybudowały ludzkie ręce.

Móri uważnie przyjrzał się okolicy.

- Stąd nie przedostaniemy się do dolnego wodospadu - mruknął. - Zły czarnoksiężnik dobrze wiedział, co robi. Musimy wejść na most.

- To prawda - przyznał Dolg.

Bjarni nie czuł się do końca przekonany. Elfy, elfy i duchy, myślał z przekąsem.

Nie ma żadnego króla elfów pod wodospadem, w ogóle nie ma żadnych elfów!

Ale babka i dziadek nie pozwalali, by sprzeciwiał się dorosłym.

Nogi nie bardzo chciały go słuchać. Został z tyłu, jakby za wszelką cenę chciał odsunąć straszny moment, który miał nastąpić. Za nim szła tylko Tiril, mężczyźni pospieszyli naprzód.

“Lanjelin!”

Dolg zatrzymał się gwałtownie.

Rozejrzał się po niezwyklej dolinie o stromych zboczach i szerokim, płaskim, równinnym dnie. Rzeka była płytka, wiła się między usypiskami kamieni i zielonymi wysepkami trawy. I tutaj rosły żółte kwiatki, typowe dla wyżynnego

krajobrazu Islandii. Dolg w przypiływie rozczulenia wspomniał przepiękne łąki Gjäin.

“Lanjelin!”

Imię zabrzmiało niczym wołanie z oddali, lecz właściwie był to szept z bardzo bliska.

Zdawał sobie sprawę, że oto usłyszał głos królowej elfów.

Lanjelin? Niemal zapomniał o tym imieniu. Na życzenie babci Theresy nosił także imię Matthias, lecz nie powinien go używać, mając do czynienia z niewidzialnymi istotami.

Ale Lanjelin? Nikt nigdy tak go nie nazywał. W dodatku zostało wymówione poprawnie, z akcentem na pierwszą sylabę. Babcia chciała, by je nosił, było to imię jednego z pierwszych legendarnych królów z rodu Habsburgów. Czyż to nie Lanjelin wznosił twierdzę Habichtsburg, Gród Jastrzębi?

Dlaczego ktoś teraz wzywał go tym imieniem?

Odpowiedź napłynęła niczym szept rozlegający się tylko w jego głowie: “Lanjelin to imię elfów, nie wiedziałeś o tym? Twój przodek otrzymał je od elfów w swej ojczyźnie za to, że kiedyś im pomógł. Dla nas jesteś Lanjelinem”.

Starzec nazywał go Dolgiem. Ale on nie był elfem.

Bez trudu dało się przyjąć, że łagodnie brzmiące imię Lanjelin wywodzi się z królestwa elfów.

“Wzywacie mnie?”, spytał w myślach.

“Tak. Dobrze ci życzymy. Strzeż się, Lanjelinie! Miej oczy i uszy otwarte! Kiedy sam nie będziesz mógł sobie poradzić, zwróć się o pomoc do ojca!”

Poczuł, że rozmowa dobiegła końca.

Kiedy nie będę mógł sobie sam poradzić, powtórzył w myślach. Ale przecież ojciec nie zejdzie ze mną w głąb wodospadu?

“Dzięki, królowo elfów! Zapamiętam twoje słowa!” dodał, nie bardzo wiedząc, co to może znaczyć.

Drobna, chłodna rączka na moment zacisnęła się na jego dłoni.

Bjarni przeżywał swoje własne rozterki.

Zaczekał na miłą matkę Dolga, Tiril.

- Co się stało, Bjarni? Tak ciężko wzdychasz? - życzliwie zainteresowała się Tiril.

- Pewnie jestem głupi - powiedział szczerze, czuł bowiem, że musi się komuś zwierzyć. - Szedłem, modląc się do Boga...

- To chyba nie jest niemądre?

- Nie, ale pomyślałem sobie, że... Modliłem się: "Boże, bądź teraz przy mnie, bo chyba sobie z tym nie poradzę. Zemdleję na moście albo utopię się w wodospadzie i rzeka poniesie mnie dalej". Ale czy naprawdę mogę Boga o to prosić? A jeśli się ode mnie odwróci, ponieważ chcę uratować elfa? Elfy obiecały pomagać w przyszłości mnie i mojej matce, ale jak Bóg to przyjmie? - Znowu westchnął. - To niebezpieczne, bardzo niebezpieczne! Z wielu powodów.

Zamyślona Tiril popatrzyła na chłopca.

- Rozumiem, o co ci chodzi.

Noc zajęła już nieboskłon, księżyc wygrał ze słońcem. Zawisł na niebie, wciąż blady, bo słońce w tę jasną letnią noc wciąż nie chciało opuścić swego królestwa, ale został po nim zaledwie poblask między niebem i ziemią, wspomnienie minionego dnia i zapowiedź tego, który nadejdzie.

- No i duchy - ciągnął wzburzony i przejęty Bjarni. - Oczywiście ich nie widziałem, ale wy tak naturalnie o nich mówicie.

Umilkł. Nie chciał głośno dodać tego, co jeszcze przyszło mu do głowy. "Albo jesteście rodziną głupców, albo też posiadacie niesamowity dar przekonywania. Bo kiedy zaczynacie mówić o duchach, elfach, karłach i wszystkim, czego ja nie widzę, wierzę w każde wasze słowo", dopowiedział w myślach ze wstydem.

Czasami tylko ogarnia mnie sceptycyzm. Zwłaszcza tutaj, gdzie mam...

Boże, nie! Znow ogarnęła go panika.

- Wydaje mi się, że Bóg nie zaakceptuje tej przygody - stwierdził w końcu z wahaniem.

Tiril zatrzymała się na równinie, gdzie huk wodospadu jeszcze nie zagłuszał ich słów. Ujęła lodowate dłonie chłopca. Zmarznięte od nocnego chłodu, czy też ze strachu?

- Bjarni - zaczęła ostrożnie. - Znasz legendę o Tannhäuserze?

- Nie.

- To słynny poeta liryczny, który odkrył podziemne wejście do grotty Wenery i tam spędził długi czas z boginią na rozkoszach miłosnych; ogarnięty skrucą pospieszył do Rzymu, aby prosić papieża o absolicję. Papież jednak nie chciał o tym słuchać. "Prędzej moje berło zakwitnie, niż ty otrzymasz rozgrzeszenie!" wykrzyknął gniewnie. Tannhäuser odszedł, a trzy dni później berło biskupie wypuściło zielone listki. Pewna szwedzka legenda opowiada o bracie Martinie, opacie klasztoru, który w lesie napotkał jakieś maleńkie istoty. Poprosiły go one, by pozyskał dla nich spokój duszy. "Opacie, opacie, odpraw za nas mszę", błagały, ale mnich odmówił. "Myślicie, że was nie poznaję, szare karzelki?" zawołał. On także się omylił i musiał zawstydzony schylić czoło przed dobrocią Pana. Nie pamiętam początku tej legendy, ale wiem, że tak właśnie się zakończyła.

Bjarni zamyślony pokiwał głową.

- Są także islandzkie baśnie na ten sam temat, o wielkich trollach, które chciały posłuchać bicia kościelnych dzwonów i uczestniczyć we mszy, albo żeby je pogrzebano w poświęcanej ziemi, by mogły pójść do nieba. Księża tego zabraniali, lecz Bóg je do siebie dopuścił.

- No widzisz - łagodnie rzekła Tiril. - W całej Skandynawii, myślę, że na całym świecie, istnieją podobne podania i legendy o surowości ludzi Kościoła wobec elfów trolli i upiorów i Bożym miłosierdziu. Kościół wyklina także ludzi, którzy są inni i nie pasują do stworzonego przez duchownych wzorca. Widzisz, Kościół zawsze musi znaleźć sobie wroga, inaczej nie mógłby krzyczeć. Ale Chrystus nikogo nie osądzał.

We wzroku Bjarniego pojawiła się nadzieja. To wspaniały chłopiec, pomyślała wzruszona Tiril. Nie jest tak przystojny jak moi synowie - która matka uważałaby inaczej! - ale czystość spojrzenia przydaje mu szczególnej urody. Jest też silny i wysoki, wyższy ode mnie.

- Módl się więc do Boga, kiedy się boisz, Bjarni! Moja matka jest bardzo religijna i my to akceptujemy. Ona jest katoliczką, ty chyba nie, ale to przecież nieistotne.

Największe znaczenie ma szczerza modlitwa. - Tiril się uśmiechnęła. - A nie zaszkodzi mieć po swojej stronie i Boga, i elfy, i duchy, prawda?

Bjarni uśmiechnął się z ulgą.

- Myślę, że Bóg nie będzie się za to gniewał - powiedział nieśmiało.

- Ja też tak uważam. Spróbujemy teraz ich dogonić? Ależ, wielkie nieba... Co się dzieje z Dolgiem?

Jej starszy syn zatrzymał się, stał zwrócony w stronę doliny. Twarz zasłonił dłońmi, zdrętwiały, znieruchomiały, jakby ujrzał coś, czego ona dostrzec nie mogła.

Tiril jednak nie miała czasu się nad tym zastanawiać, przywoływali ją bowiem, musiała iść naprzód, Villemann już wspinał się po stromym zboczu, które należało pokonać.

- Co poczniemy z Nerem? - spytała Tiril. Musieli teraz wołać, by przekrzyczeć szum wodospadu.

Móri zatrzymał się i odwrócił.

- Masz rację. Nie chciałbym zabierać go na mostek. Jeszcze przyjdzie mu do głowy skoczyć za Dolgiem prosto na zatracenie.

- Mogę zostać tu i trzymać go na smyczy - zaproponowała Tiril. - Wcale nie mam ochoty patrzeć, jak chłopcy znikają w wodzie. Ty i Villemann poradzicie chyba sobie sami ze spuszczeniem ich w dół?

- Powinno nam to pójść gładko. Będą mocno przywiązani, jedyne, co będziemy mieli do zrobienia, to opuścić ich z odpowiednią prędkością.

Jedyne, co oni mają do zrobienia, powtórzył w myślach wstrząśnięty Bjarni. Czuł, że ze strachu bliski jest płaczu. A my, Dolg i ja?

My tylko powinniśmy pozwolić się spuścić prosto w huczący wodospad, zawisnąć między niebem a ziemią, dać się porwać mokrym ramionom wody, wessać wirom. A potem przedostać się za wodospad. Nie wiem, jak zdołamy pokonać prąd i wiry, w dodatku zejść pod wodę!

I ja się na to zgodziłem?

Chyba oszalałem, ale muszę przyznać, że poza strachem odczuwam trochę dumy.

Jak można być tak niemądrym?

Tiril miała rację: Z Dolgiem jest coś nie w porządku.

To mnie chyba najbardziej przeraża. Spokojny, silny Dolg, mój najlepszy przyjaciel, stoi bezradny, chwieje się na nogach, zapatrzony w coś, czego nie widzimy, zasłania dłońmi twarz.

Pozostali także już zwrócili uwagę na dziwne zachowanie Dolga. Tiril i Móri znaleźli się na tej samej wysokości na zboczu, co on, Villemann schodził na dół.

- Co się stało, synu?

Dolg ocknął się i popatrzył na nich.

- Ojciec... Zapomnieliśmy o czymś. Nie wzięliśmy pod uwagę niezwykle istotnego elementu!

Rozdział 13

A więc przed tym ostrzegła go królowa elfów!

Dolg westchnął ciężko. Nie potrafił rozpoznać niebezpieczeństwa.

- Co się stało, Dolgu? - spokojnie i cierpliwie powtórzył pytanie Móri.

- Nie wiem, co to jest. Nie słyszycie?

- Czego? - spytał Villemann. - Wodospadu?

- Nie, nie! Takiego niezwykłego, ponurego pomruku, jakby śpiewał olbrzymi chór smutnych mnichów.

Móri nie spuszczał z niego oczu.

- Co ty wygadujesz, chłopcze?

Dolg wciąż stał zwrócony w stronę doliny.

- Nie chcę tego mówić, nie chcę się odwracać, ale... Musicie o tym wiedzieć. Na moście ktoś stoi. Nie ma zamiaru nas przepuścić.

Móri pobladł.

- Gottskalk! Przybył spod ziemi, z chóru złych, nieczystych czarnoksiężników, wśród których kiedyś wędrowałem, nawet dwukrotnie. Co teraz zrobimy?

- Królowa elfów mnie ostrzegła. Mówiła, bym prosił cię o pomoc, ojcze.

Twarz Móriego wykrzywiła się w grymasie.

- Niechętnie wdam się w walkę ze zmarłym czarnoksiężnikiem tak potężnym jak Gottskalk Zły, ale nie zostawię cię samego, synu.

Tiril rzekła łagodnie:

- Czy i ty nie masz po swojej stronie zmarłych czarnoksiężników?

- Oczywiście - uśmiechnął się Móri. - Hraundrangi - Móri! Nauczycielu! Jesteście tam?

- Jesteśmy gotowi - rozległ się głęboki głos. - Gottskalk was nie powstrzyma.

- Dobrze! Tiril, Bjarni i Villemann, wy zaczekacie tutaj razem z Nerem.

Villemann zwykle w podobnych wypadkach narzekał, że odsuwa się go na bok, ale tym razem się nie obraził. Co prawda nie widział postaci na moście, ale czuł, że nie chce jej spotkać.

Czasami lepiej nie posiadać nadprzyrodzonych zdolności!

Dolg i jego ojciec pięli się dalej w górę, aż ujrzeli powierzchnię mostu.

Nieprawdopodobne, co potrafi stworzyć przyroda! Trudno było uwierzyć, że żaden człowiek nie przyłożył ręki do tego dzieła. Most był dostatecznie szeroki, by mógł nim przejechać wóz konny, ale nic więcej, jak gdyby to islandzkie elfy zbudowały go na swój własny użytek. To cudo natury porastał szarozielony mech charakterystyczny dla pól lawy, ten, który w deszczu i słońcu całkowicie zmienia barwę.

Pod nimi huczał dolny wodospad, nad nimi szumiał górny. Całość stanowiła prawdziwie urzekające arcydzieło przyrody.

Obraz zakłócał ten, który stał na moście.

Teraz Móri także zobaczył postać utkaną z mgły, lecz o wyraźnych konturach, ubraną w biskupie, haftowane złotem szaty, w mitrze, z pastorałem. Spod pachy wystawała złemu biskupowi "Rödskinna".

Móri rozgniewał się.

- Nie jesteś godzien, by nosić ten strój, Gottskalku, nędzna kreaturo! - zawołał, chcąc przekrzyczeć huk wody.

Widzieli, jak twarz Gottskalka tężeje. Wyciągnął w ich stronę zakręconą część pastorału, jakby chciał rzucić przekleństwo, lecz jego gest nie odniósł żadnego skutku.

- Sam się przekonałeś - rzekł Móri. - Jedyne biskup uznany przez niebiosy może uciekać się do takich sposobów.

Móri wypowiedział te słowa trochę zbyt pochopnie, gdyż Gottskalk dysponował także innymi środkami. Był wszak czarnoksiężnikiem z Czarnej Szkoły, a poza tym rycerzem Zakonu Świętego Słońca.

- Żaden człowiek nie oprze się mej sile - ryknął zły biskup sprzed stuleci. -

Myślisz, że cię nie poznaję, Móri z rodu Jonssonów? Stałeś się przyczyną wielu kłopotów dla mnie i moich współpracowników z Zakonu Świętego Słońca!

Dolg zafascynowany przysłuchiwał się starodawnej mowie, chociaż starzec budził w nim odrazę.

Móri nie zrażony ciągnął:

- Zawsze chciałeś sobie przywłaszczyć to, co należy do innych, ty, który splamiłeś historię Kościoła na Islandii. Wiemy, jak okradałeś spójność, ludzi karałeś surowo za drobne wykroczenia, a sam dopuszczałeś się znacznie poważniejszych przestępstw. Nie sądzę, abys miał teraz nade mną jakąkolwiek władzę.

- Byłeś w kościele w Hólar, kiedy Mag - Loftur podjął żalostną próbę odebrania mi "Rodskinny", wyczułem twoją obecność. Starczy jeden mój oddech, by zdmuchnąć cię do wodospadu...

Dolg miał już dość:

- Może i tak, bo okropnie cuchniesz.

Gottskalk natychmiast zwrócił przenikliwe spojrzenie na syna Móriego.

Najwyraźniej wobec Dolga czuł się mniej pewnie.

- Cóż za potworka spłodziłeś, Móri z rodu cudaków? Zadałeś się z jakąś piekielną istotą? I tobie się wydaje, że twą duszę czeka zbawienie?

Za plecami ojca i syna rozległ się grzmot. Zły czarnoksiężnik cofnął się wystraszony. Ujrzał Cienia, przytłaczającego teraz swym ogromem i całkiem wyraźnego, dostrzec się dało nawet szczegóły jego stroju.

- Nikczemniku - rzekł cicho, acz dobitnie Cień do upiornej postaci. - Jak śmiesz tak mówić o najszlachetniejszym przedstawicielu ludzkiej rasy? Dolg nie przybywa z piekielnej otchłani, stoją za nim moce potężniejsze niż wasz mizerny Szatan.

Nasze moce bowiem są dobre. Ale ty, podobnie jak twój nędzny Zakon, sądzisz, że aby czegoś dokonać, należy koniecznie odwoływać się do zła?

Gottskalk kilkakrotnie otworzył i zamknął usta, nie znajdując żadnej kąśliwej repliki. Machnął za to pastorałem w kierunku Cienia, jakby chciał na niego rzucić urok.

Cień skrzywił się tylko pogardliwie i jednym skinieniem posłał biskupią laskę do wodospadu. Zły biskup o mały włos także nie wpadł do wody, tak mocno trzymał oznakę swej godności. Dawna Jego Eminencja wychylił się niebezpiecznie poza krawędź mostu, zanim zdołał wreszcie wypuścić pastorał z rąk i odzyskać równowagę.

Dolg nie potrafił zachować powagi, co jeszcze bardziej rozwścieczyło Gottskalka. Uciekł się do czarnej magii, wymówił straszliwe zaklęcie, które powinno zesłać chłopaka w najgłębszą czeluść piekieł.

Cień nagle miał towarzystwo. Po jego bokach stanęli Hraundrangi - Móri i Nauczyciel.

- Chcesz walki? - zawołał Nauczyciel. - Chcesz się z nami zmierzyć na zaklęcia?

- Nie możemy tracić czasu - zauważył Hraundrangi - Móri. - Czekają na nas ważniejsze sprawy.

- Właśnie, co tu robicie? Dobrze wiecie, że żaden z was nie jest w mocy uwolnić bezbożnego króla elfów, mego więźnia! - wrzasnął Gottskalk.

- Owszem, my nie - odparł Dolg. - Ale jest z nami ktoś, kto może tego dokonać.

Takie oświadczenie wywołało wybuch niepokonanej złości złego czarnoksiężnika.

- Zabiję go! - uniósł się. - Ja...

- Dość już tego! - nakazał Cień, obawiając się o losy młodego Bjarniego. -

Przyjaciele, co zrobimy z tym łajdakiem?

- Wyślijmy go do miejsca, z którego przybył - zaproponował Nauczyciel. - Niech dołączy do chóru złych czarnoksiężników.

- Złych! - stęknął Gottskalk, ze złości ledwie mogąc dobyć głosu. - A jeśli wezwę mych braci z chóru? Są tutaj, gotowi w każdej chwili się włączyć.

- Doprawdy, nie mam już sił wysłuchiwać tych bredni - oznajmił Cień, sprawiający wrażenie śmiertelnie znudzonego. - Nauczycielu, Hraundrangi - Móri, zniszczmy go już na zawsze, tak aby nie mógł nigdy powrócić nawet do chóru w grocie wielkiego oczekiwania. Nie, Dolgu, ty nie. Przed tobą stoi inne zadanie.

Gottskalk zaczął odmawiać potężne zaklęcie, pewien swych umiejętności w dziedzinie czarnej magii.

Ale jego mocy nie dało się porównać z mocą czterech niezwykle silnych czarnoksiężników. Wprawdzie Cienia nie można było nazwać czarnoksiężnikiem, lecz on posiadał przecież ogromną wiedzę dawnego ludu. W końcu Gottskalk krzykiem błagał o litość, oni jednak nie mieli zamiaru jej okazać komuś, kto za życia bezwzględnie dręczył bliźnich, mieszkańców parafii, spisał złą księgę, "Rödskinnę", był także członkiem Zakonu Świętego Słońca. Ponadto oszukał elfy i

uwięził ich króla na wieki; taki przynajmniej miał zamiar. Okazało się jednak, że przybyłe tu istoty chcą zniweczyć jego dzieło, zniszczyć je.

Gottskalk posługując się magicznymi runami postanowił wyminąć czarnoksiężników i dotrzeć do młodego Bjarniego, który stanowił w tej sytuacji największe, bezpośrednie zagrożenie. Tiril i Villemann także jednak dostrzegli niebezpieczeństwo i wzięli Bjarniego między siebie, wyczuli również, że nie są sami.

Przed Bjarnim stał Nero z zębami wyszczerzonymi, we wściekłym warczeniu, skierowanym do istoty na moście. Towarzyszyło mu jeszcze jedno zwierzę. Spozstrzegł je nawet Bjarni i zrozumiał, że to owo osławione Zwierzę, o którym wcześniej słyszał. Przed nim pojawiły się także inne istoty, niesamowite, rozplywające się upiorne postacie, na szczęście ich obecność jedynie wyczuwał. Duchy Móriego, a więc jednak istniały! I chroniły jego, Bjarniego, całkiem zwyczajnego chłopca z odludnych islandzkich dolin.

Ale najgroźniejszy atak na złego biskupa przypuściła Pustka.

Bjarni nie mógł zobaczyć tego ducha, zresztą nikt inny nigdy go nie widział.

Pustka jednak przybyła, a zesłane przez nią poczucie nicości ogarnęło Gottskalka, w jednej chwili pozbawiając sensu wszelkie jego poczynania. Pustce pomógł w tym Duch Zgasłych Nadziei, straszliwa postać odbierająca człowiekowi wszelką nadzieję, tęsknotę za przyszłością.

Gottskalk nagle nie mógł zrozumieć, co robi na moście. Utracił chęć do walki, zabrakło mu celu.

To okazało się dla niego naprawdę fatalne w skutkach. Nie potrafił się bronić przed atakiem czarnoksiężników i Cienia.

Na koniec pomyślał jeszcze: Mogę ich pokonać! Z moją znajomością czarnej magii i starych magicznych run, tajemnych ksiąg zakonu rycerskiego i "Rödskinny" ... Mam wszak wszystko!

Ale oni wygrywają. Czuję, że moje siły gasną, nie chciałbym na zawsze zniknąć ze świata, ale prawdę mówiąc akurat w tej chwili jest mi to obojętne! Jakim że sposobem...?

Ludzie i duchy patrzyli, jak kontury jego sylwetki z wolna się zamazują, głos cichnie, magiczne runy padają na ziemię i znikają.

Most stał pusty. Droga dla Bjarniego i jego przyjaciela Dolga była wolna.

Móri i Dolg popatrzyli po sobie. Odetchnawszy z ulgą, powrócili do czekających przyjaciół.

- Dziękujemy wam, duchy, dzięki, Cieniu! - zawołał Móri, a Dolg powtórzył jego słowa.

- Cała przyjemność po naszej stronie. - W głosie Nauczyciela dała się wychwycić nuta wesołości.

- Chętnie wrócimy - zawtórował mu Hraundrangi - Móri.

- Wróćcie? - uśmiechnął się Móri. - Cieszylibyśmy się bardzo, gdybyście teraz zostali z nami. Obawiam się, że potrzebna nam będzie wszelka pomoc, jakiej tylko możecie nam udzielić.

- Oczywiście - powiedział Cień. - To nasze zadanie, tak samo jak wasze.

Bjarni słyszał głosy, lecz nic niesamowitego już nie widział, nawet w postaci Cienia. Nero był teraz sam, przed nim, Bjarnim, nikt już nie stał.

Dolg uśmiechnął się rozmarzony.

- Co wywołuje twój uśmiech? - zapytała Tiril.

Ocknął się.

- Nazwali mnie Lanjelin. Królowa elfów tak się do mnie zwracała.

- Bardzo dobrze - zdecydowanie oświadczyła Tiril. - Zawsze uważałam, że to najpiękniejsze z twoich imion.

- To imię elfów - wyjaśnił Dolg. - Mnie także się podoba. Jeśli więc chcecie...

- Nie - przerwał mu Móri. - Duchy nadały ci imię Dolg, aby poprzez nie dodać ci sił. Ale dobrze, że elfy nazywają cię swoim imieniem. Sądzę, że dzięki temu twoja moc się zwiększy.

- Doskonale! A kiedy będę miał do czynienia z Kościołem, mogę używać imienia Matthias. Bardzo praktyczne!

Pozwolili sobie na żarty, bo kiedy pozbyli się zagrożenia w postaci Gottskalka Złego, napięcie nieco opadło. Wciąż jednak czekały poważne sprawy. Wszyscy razem przeszli na most, Tiril trzymała Nera na krótkiej smyczy.

W podwójnym blasku, księżycy i słońca, które już zaszło, pozostawiając po sobie zaledwie poświatę, wodospady lśniły niczym srebro.

Bjarni na pewien czas zapomniał o swych obawach, ale teraz znów zadrzał śmiertelnie przerażony. Och, nie, nie zdobędzie się na skok do wodospadu, trzeba znaleźć jakieś inne rozwiązanie.

Ale innego rozwiązania nie było.

Trzęsąc się ze strachu obserwował mężczyzn dyskutujących, w jaki sposób przywiązać sznur. Chłopcu wydawało się to kompletnie niemożliwe, przecież nie było nic, do czego dało by się go przymocować.

Mężczyźni jednak podjęli najwidoczniej jakieś decyzje. Villemann na końcu sznura zawiązał pętlę i rzucił ją ku dolnemu wodospadowi!

Oszalał, zdenerwował się Bjarni. Co on chce zrobić?

Pętla zaczęła opadać, sznur niczym wąż przesuwiał się między dłońmi Villemanna. Potem zatoczył szeroki łuk.

Bjarni nie mógł uwierzyć własnym oczom. Lina, nie przestając poruszać się po łuku, wsunęła się pod most! Pętla ukazała się po jego drugiej stronie, gdzie Móri i Dolg ją złapali.

Przewiązali liną most w jego największym odcinku, tuż nad szalejącym wodospadem!

To nie stało się ot, tak, samo z siebie, uznał Bjarni.

Tiril napotkała jego wzrok.

Uśmiechnęła się.

- To pani powietrza - wyjaśniła. - Naprawdę dobrze jest mieć takich przyjaciół.

Bjarni westchnął przeciągle. Być może jednak ich śmiałe poczynania nie okażą się tak zupełnie pozbawione sensu?

Mężczyźni sprawdzili, czy umocowanie sznura wokół mostu jest dostatecznie silne, podeszli do Bjarniego. W rękach trzymali drugi koniec liny.

- Bjarni - z powagą zwrócił się do niego Móri. - Nie możemy dłużej czekać, noc mija. Nie bój się, Dolg będzie ci towarzyszyć przez cały czas, nie zostaniecie też sami!

- Dziękuję - wyjąkał Bjarni. - Ale pani powietrza nie może przecież...?

- Jest z nami także władczyni wody. Dopilnuje, abyś nie utonął wśród wirów. Ty i Dolg macie się skupić tylko na tym, żeby dostać się pod wodospad. Zapomnijcie o wszelkich niebezpieczeństwach, pozostawcie je duchom.

Bjarni pojął wreszcie: tylko ta drużyna mogła oswobodzić króla elfów z niewoli.

Przestał się już tak bardzo bać, chociaż serce waliło mu mocno, kiedy zerkał na otchłań wodospadu.

Dolg coś do niego zawołał. Wprawdzie stali tuż obok siebie, ale ledwie się słyszeli.

- Elfy są tutaj! - wołał Dolg. - Są tu ich tysiące. I z większą nadzieją patrzą na nasze poczynania teraz, kiedy Gottskalk Zły został unicestwiony.

- Czy przekleństwo, jakie rzucił na króla elfów, nie przestało istnieć wraz z nim? - zastanawiał się Bjarni. Teraz kiedy musiał mówić tak głośno, własny głos wydawał mu się piskliwy i dziecinny.

- Niestety, nie - odpowiedział Dolg. - Przekleństwo utrzyma swą moc po wsze czasy, o ile nie uda nam się go złamać. Czy wiesz, że jeszcze przed chwilą Gottskalk dowiedziawszy się, kto będzie ci pomagał, usiłował je zmienić? Ale mój ojciec i pozostali czarnoksiężnicy udaremniili to i nie udało mu się wyrządzić większej szkody.

- Czy ten upiór w biskupich szatach chciał nie dopuścić do tego, abyście mi pomogli?

- Oczywiście! Duchy są wszak ogromnie niebezpieczne dla jego planów.

- Ty i twój ojciec także, prawda?

- Owszem - uśmiechnął się trochę zażenowany Dolg. - Chyba tak, a teraz chodź już, zwiążemy się razem.

Bjarni starał się odpędzić wszelkie złe myśli, kiedy obwiązywali ich w pasie i wokół barków. Tiril odsunęła się na "ład" razem z warczącym w podnieceniu Nerem.

Pies dziko protestował, bo oto nie pozwalano mu wziąć udziału w kolejnej przygodzie, do której szykował się jego pan.

Bjarni dostrzegł za Dolgiem wielki, ponury cień. Cień jest z nim. A ze mną?

No, z nim byli wszyscy pozostali.

Mimo to jednak czuł się samotny. Był wszak jedynym człowiekiem w grupie, który miał się wyprawić w podróż w dół wodospadu. Tiril i Villeman się nie liczyli, oni tylko pomagali, nie uczestniczyli bezpośrednio w tym wszystkim.

Jeszcze raz musiał wysłuchać dokładnych instrukcji, tym razem udzielonych przez zachrypniętego Móriego. Przekrzykiwanie dwóch wodospadów nie za dobrze wpływało na struny głosowe.

Bjarni tylko kiwał głową. Znow poczuł, że płacz ściska go w gardle.

Dolg przyjrzał mu się badawczo.

- Bjarni... Stanę za tobą i obejmę cię za ramiona. Będziesz mógł patrzeć moimi oczyma.

Bjarni niewiele z tego rozumiał, ale kiedy poczuł na ramionach uścisk dłoni Dolga, ujrzał nagle coś, czego nie widział wcześniej!

Jego oczom ukazał się całkiem nowy obraz. Miejsce było to samo, lecz po obu stronach wodospadu, na zboczach, aż gęsto było od drobnych, delikatnych istot. Czekały, niespokojnymi oczyma obserwując jego, Bjarniego!

Były wszędzie, na równinie, na brzegach rzeki. Istoty tak kruche i drobne, że na ich widok serce mu się ścisnęło. Na twarzach wszystkich malował się ten sam wyraz, nadzieja pomieszana ze smutkiem, prośba o zmiłowanie, żal nad losem ukochanego króla.

Elfy.

Ale nie tylko. Znalazły się wśród nich dziwne istoty z tajemniczych światów Islandii, a także gromady postaci wyglądem przypominające Dolga!

W takim więc otoczeniu przebywali na co dzień Dolg i Móri?

Ujrzał stojącą obok Cienia przepiękną panią powietrza, otoczoną błękitną poświatą, i... uśmiechniętą dziewczynę. Dolg wyjaśnił, że to osobisty duch opiekuńczy Bjarniego.

- Dziękuję! - wydusił z siebie. - Myślę, że to mi wystarczy. Zrobimy, co w naszej mocy, Dolgu!

Wszyscy uśmiechnęli się ucieszeni. Obrazy zniknęły.

W następnej chwili ziemia usunęła się spod stóp Bjarniego. Poczuł, że opada ku spienionym, lśniącym kaskadom wody.

Śmiertelnie przerażony zaczął głośno krzyczeć.

Rozdział 14

Móri i Villemann zamocowali linę na tyle przemyślnie, że Dolg i Bjarni w ogóle nie musieli się ze sobą stykać, dla pewności jednak kiedy spuszczano ich na dół, Dolg mocno objął chłopca od tyłu, na wypadek gdyby Bjarniego ogarnęła panika.

I rzeczywiście Bjarni wpadł w panikę, kiedy tylko porwały ich potworne masy wody. Wcześniej uprzedzano chłopca, by starał się przez cały czas mieć zamknięte usta, lecz kto zdoła o tym pamiętać, kiedy wodospad chwyta go w objęcia, a dookoła jest tylko dławiąca woda, ściągająca w dół, w głąb.

Rozbijemy się o skały, zdążył jeszcze pomyśleć Bjarni i zaraz lodowata woda zalała mu usta, kaszlał i krzyczał na przemian. Wkrótce jednak zrozumiał, jak ważne jest zamknięcie ust, ale z kolei zaciskając je zapominał o oddychaniu w tych momentach, kiedy było to możliwe. Krótko mówiąc robił wszystko inaczej niż powinien.

Poczuł wreszcie, że są już na dole. Wielki wir pod wodospadem ściągał ich w głąb, okręcał, to znów wynosił do góry.

Teraz umrę, pomyślał Bjarni.

W następnej chwili poczuł, jak jakaś siła wynosi go ponad spienioną powierzchnię. Odsunęli się trochę od spadających kaskad i huczące masy wody nie leciały im już na głowę. Ale nie taki był ich cel. Mieli zejść w głąb toni i przedostać się do skały pod wodą.

Jakie to dziwne! Bjarni unosił się na wodzie i prąd wcale go nie porywał, chociaż on nie czynił nic, by mu się przeciwstawić. Dolg go puścił, kołysał się na fali tuż obok i prawdę powiedziawszy, nawet się uśmiechał! Wprawdzie wyglądało to raczej jak ociekający wodą grymas, lecz w zamierzeniu zdecydowanie miało być dodającym otuchy uśmiechem!

Dolg wyraźnie czekał, aż Bjarni dojdzie do siebie po pierwszym wstrząsie.

Bjarni czuł, że prąd szarpie go, chce porwać w dół rzeki, ale to było bez znaczenia, wodospad nie miał nad nim żadnej władzy.

Wtedy właśnie zrozumiał, że znajduje się pod opieką pani wody.

Bjarni niepewnie odwzajemnił uśmiech.

Dolg wskazał ręką kierunek: w dół i w głąb. Czy Bjarni jest gotowy?

Chłopiec skinął głową. Czuł się o wiele spokojniejszy.

Zerknął jeszcze na górę i ujrzał trzy zalęknione twarze wychylające się poza krawędź mostu, a także otwierający się i zamykający pysk Nera, ale żaden dźwięk nie docierał do chłopca, huczące masy wody zagłuszały przerażone szczekanie psa.

Zanurkowali. Jednocześnie skierowali się w obszar za wodospadem.

Dolg, co było naturalne, prowadził, lecz Bjarni już się nie bał. Zaczepnął powietrza w płuca i postanowił zaufać pani wody.

Płynął za przyjacielem, wpatrzony w jego nogi. Kierował się wprost ku skale pod wodą. Co my tu będziemy robić, zastanawiał się, przecież tutaj jest tylko lita ściana.

Okazało się jednak, że jest inaczej. Dolg zniknął, jakby wtopił się w górę, ale kiedy Bjarni podpłynął dalej, spostrzegł wielki otwór w skale. Znów ogarnął go lęk, na jak długo wystarczy mu powietrza w płucach?

Pokonał jeszcze pewien odcinek, mając nad sobą ciężki kamienny masyw, gdy spostrzegł, że Dolg kieruje się w górę. Poszedł w jego ślady i nagle znów mógł nabrać powietrza. Znaleźli się w wydrążonej w skale grocie za wodospadem. Poruszył kilkakrotnie rękami, wyrównując oddech usiłował zorientować się w nowym miejscu.

W grocie panował mrok. Dookoła pluskała woda, a ryk wodospadu docierał tylko w postaci podziemnego szumu. Ściany jaskini ledwie mógł dostrzec. Jej rozmiary usiłował poznać za pomocą słuchu. Okazała się niezbyt duża; echo odbijające się od ścian miało jakby bardzo mało miejsca.

- Dolg? - zawołał ściszym głosem.
- Jestem tutaj - tuż obok rozległa się odpowiedź.
- Widzisz coś?
- Nie. Poprosimy o światło.
- Kogo poprosimy?

Dolg zaśmiał się, nieco speszony.

- Rzeczywiście, nie wiem. Żaden z duchów nie mógł nam towarzyszyć aż tutaj. Musimy sobie radzić sami.

- Dolg... mam pod stopami stały grunt.
- Doskonale. Podchodzę do ciebie.

Razem wspięli się na wystającą z wody dość płaską półkę. Usiedli na niej, żeby choć chwilę odpocząć. Ociekali wodą, Bjarni drżał z zimna.

- Pamiętaj, Bjarni: więcej nie mogę ci pomóc. Jesteś człowiekiem i ty, tylko ty możesz ocalić króla elfów. Pomogłem ci się tu dostać, pomogę ci się też wydostać, ale teraz... Zachowuj się, jakby mnie nie było. Myśl sam i działaj sam.
- Rozumiem. W każdym razie dziękuję za dotychczasową pomoc. Bez ciebie nie dałbym rady.
- Beze mnie i bez pani wody.
- To prawda. Dziękuję ci, Wodo, jeśli mnie słyszysz. Teraz muszę się zastanowić.
- Dobrze.

Umilkli. Bjarniego ogarnęło poczucie nierzeczywistości. Głuchy grzmot wodospadu, poza tym cisza.

Bjarni przesuwiał dłońmi po ociekających wilgocią występach, dotykał chropowatej skały. Przypadkiem natknął się na rękę Dolga, przyjaciel uścisnął go, dodając otuchy. Wreszcie Bjarni zrezygnował z szukania.

Nabrał powietrza, a potem z największym spokojem, na jaki było go stać, powiedział grzecznie:

- Królu elfów Islandii! Przybyliśmy, by uwolnić cię od przekleństwa, nic jednak nie widzimy. Czy możesz dać nam trochę światła? Albo przynajmniej powiedzieć, gdzie jesteś, byśmy cię przypadkiem nie skrzywdzili? Nazywam się Bjarni, jestem z ludzkiego rodu.

Ponieważ Dolg się nie odzywał, Bjarni doszedł do wniosku, że podobała mu się jego przemowa.

Ale żaden promień światła nie rozjaśnił groty.

Cisza i ciemność jak w grobie.

- Czyżby go tu nie było? Może zabłądziliśmy? A może przybyliśmy za późno? - denerwował się Bjarni.

Dolg nie odpowiedział, ale jego lęk stał się w ciemnościach wyczuwalny niczym ściana.

Nagle coś usłyszeli. Słabe wołanie, dochodzące z wnętrza góry.

- Cicho - szepnął Dolg. - Słuchaj!

Bjarni nie śmiał odetchnąć. Wołanie się powtórzyło, tym razem mogli rozróżnić słowa, wypowiedane bardzo słabym głosem, jakby w ostatnim stadium wycieńczenia:

- Bjarni z ludzkiego rodu! Tutaj! Chodź!

- Tak daleko - szepnął Bjarni.

Dolg już obmacywał skalną ścianę.

- Tutaj - stwierdził wreszcie. - Tutaj jest wejście. Przedtem go nie zauważyliśmy, bo znajduje się dosyć wysoko. Musisz się wspiąć, ja nie mogę iść z tobą.

Zaczekam na ciebie. Odwiążę sznur. Teraz dobrze, jesteś swobodny.

Bjarni, nękany wątpliwościami, był jak jeden wielki kłębek nerwów.

- A jeśli mi się nie powiedzie?

- Ja nic nie będę mógł zrobić. Jestem tylko w połowie człowiekiem. To ty możesz go uratować, pamiętaj o tym!

- Boże - szepnął Bjarni.

Nie bał się już wymawiania imienia Bożego w obecności elfów. Opowieść Tiril o Tannhäuserze pomogła mu pozbyć się lęku, że popełnia bluźnierstwo. Uważał, że Bóg go zrozumie.

Ta myśl była mu wielką pociechą.

Przez ciasny otwór wsunął się do wąskiej groty, wiodącej dalej w głąb. Otwór w skale wydrążyły zapewne przed wiekami prądy wodne.

Teraz został sam.

To przerażało, paraliżowało zmysły.

Ale świadomość, że ktoś na niego czeka, i to już od stuleci, najpierw z nadzieją, potem w rozpacz i rezygnacji, dodała mu spokoju, którego tak bardzo potrzebował.

Idę, królu elfów, spieszę, by cię uwolnić!

Kiedy już wydawało mu się, że czołga się przez dobrych kilka mil, zatrzymał się i jeszcze raz zawołał, cicho, nieśmiało, jakby nie wierzył, że usłyszy odpowiedź:

- Hop! Hop! Królu elfów? Jesteś tam?

- Jestem - słowa napłynęły z przerażającej bliskości, wypowiedziane w dziwnym języku islandzkim, jakby król pierwszy raz się nim posługiwał. Bjarni nie miał pojęcia, jak elfy porozumiewają się między sobą. Ale jedno wiedział na pewno: istota była śmiertelnie zmęczona.

Bjarni nie śmiał się poruszyć.

- Powiedz mi, królu, jak mogę cię uwolnić? Mam zaledwie czternaście lat i niewiele wiem. Nie otrzymaliśmy żadnych wskazówek, a chciałbym postąpić właściwie, tak abym wszystkiego nie zepsuł.

Melodyjny głos odparł:

- Nie mogę ci pomóc, młody Bjarni.

Chłopiec westchnął. Widać nie będzie to łatwe.

- W każdym razie udało się nam pokonać ducha złego biskupa, który cię tu uwięził, królu - rzekł z otuchą w głosie. - Upiór chciał nas zatrzymać na moście, ale Móri i jego duchy zniszczyły go potężnymi zaklęciami.

- To bardzo budująca wiadomość.

Bjarni zawahał się.

- Królu... czy mogę cię dotknąć?

W głosie dała się słyszeć wesołość:

- Chyba nawet powinienes. Nie bój się, nie rozsypię się na kawałki.

Dotknąć elfa? Jakie to uczucie? Czy to niebezpieczne? A może już na zawsze pozostanie we władzy elfów? Ale przecież matce i jemu obiecano...

Bjarni postanowił zapomnieć o strachu i zamiast tego skupić się na swym zadaniu. To sen, myślał, żeby się pocieszyć. A we śnie nie jest się za nic odpowiedzialnym, można robić, co się chce.

Prędko się przekonał, że to słuszne nastawienie. Pozbył się wszelkich zahamowań. Wszystko to mi się śni, i już. Śnię, że dokonuję bohaterskiego czynu.

Doszedłszy do tego przekonania, nareszcie zdobył się na sprawdzenie, co jest koło niego, przestał się bać, że zrobi coś niewłaściwego. Podczołgał się jeszcze dalej i nagle zorientował się, że korytarz się rozszerza.. Mógł wstać.

- Jestem tutaj - rozległ się głos tuż obok, tak blisko, że wystarczyło sięgnąć ręką.

Chociaż piękny głos brzmiał stosunkowo spokojnie, Bjarni wychwytał w nim niesłychane napięcie, drżącą nadzieję po tak długim czekaniu bez widoków na przyszłość. Trudne do wyobrażenia zmęczenie istoty, która się poddała.

Nareszcie czekanie dobiegło końca.

Ale gdyby Bjarni popełnił jakiś błąd... Co by się wówczas stało?

Nie było nikogo innego, kto mógłby uratować króla elfów.

- Wszystkie elfy czekają na zewnątrz - powiedział Bjarni królowi na pociechę. - A teraz przepraszani, ale mimo ciemności muszę zorientować się w sytuacji.

- Oczywiście!

Bjarni wyciągnął rękę, poczuł delikatny, miękki materiał. Klatka piersiowa, barki. Król elfów był znacznie mniejszy od niego.

- Powiedz, co mam zrobić? - spytał, cofnąwszy rękę. - Chciałbym postąpić właściwie.

- Znasz się na czarach?

- Nie, wcale.

- Wielka szkoda!

- Ale ci, co są ze mną, potrafią czarować - pospiesznie zapewnił Bjarni. - W grocie koło wodospadu czeka Dolg. Może on...

- Dlaczego sam tu nie przyszedł?

- Ponieważ nie jest człowiekiem czystej krwi.

Człowiek czystej krwi? Cóż to znowu za określenie? Ale król nie reagował na głupstwa, jakie plótł Bjarni.

- Zły czarnoksiężnik wiedział, co robi - rzekł król elfów z nie skrywaną goryczą. - Żaden człowiek nie zdołałby tu wejść, a nawet gdyby mu się to udało, musiałby znać się na czarach. Kto jednak dzisiaj to potrafi?

- Ojciec Dolga jest czarnoksiężnikiem, ale on czeka na moście, nie przypuszczam więc...

- Oczywiście, nie możesz iść tam i wrócić, nie ma na to czasu. Możesz podjąć tę jedną jedyną próbę. Ale tylko biała runa może znieść działanie złego zaklęcia, którym mnie spętał.

Bjarni jeszcze raz obmacał króla, wyczuł na nadgarstkach metalowe okowy, którymi przykuto go do skały. Podobne obręcze miał wokół kostek i szyi.

- Mój Boże, cóż za barbarzyństwo - szepnął chłopiec. Ojej, znów wymieniłem imię Boże, ale najwidoczniej nic to nie zaszkodziło.

- Mogę spytać Dolga - powiedział niepewnie. - Jeśli mi wolno?

Król elfów zawahał się.

- Nie mamy wyboru. Dowiedz się, czy ma runę, która chroni przed czarną magią i znosi moc złych zaklęć. Pamiętaj tylko, jemu nie wolno tu przychodzić, musisz załatwić to sam. Ale kto nosi w kieszeni taką runę?

- Ojciec Dolga na pewno. Miejmy tylko nadzieję, że sam Dolg... ale to zbyt wielkie wymagania. Idę od razu i zaraz wracam.

- O, tak, chłopcze, na wszystkie dobre moce, wróć! Jesteś niczym promyk słońca w wiecznym mroku!

Bjarni usłyszał niezwykłą rozpacz w głosie elfa, bezbrzeżny strach, że maleńkie światełko nadziei zupełnie zgaśnie.

Gorzej chyba dostrzegać nadzieję i patrzeć, jak ona niknie, niż nigdy jej nie widzieć, myślał Bjarni, czołgając się z powrotem przez ciasny korytarz.

Muszę mu pomóc, muszę! On jest taki słaby!

Dotarł wreszcie do Dolga i zasapany wydusił swoją prośbę.

- Wiem, o którą runę mu chodzi - rzekł Dolg z namysłem. - Jest bardzo skomplikowana, ale niebywale potężna. Niestety, nie mam jej przy sobie, nie przypuszczam nawet, by ojciec ją miał, taka jest okropna. Należy ją wyrycić na kawałku ludzkiej skóry, narysować krwią dziewicy. Skóra także musi być skórą dziewicy.

- Ojej! - zafrasował się Bjarni. - Rzeczywiście brzmi to strasznie. A więc to koniec. Nie uda nam się ocalić króla elfów. Ogromnie mi przykro, wydał mi się taki piękny i miły, to znaczy chyba duszę miał piękną, bo przecież go nie widziałem. Dolgu, on jest kompletnie wyczerpany, nie ma sił na nic więcej!

- Co my zrobimy? - martwił się Dolg.

Nagle twarz Bjarniego się rozjaśniła, dało się to poznać nawet po głosie.

- Dolgu! A jeśli... jeśli wryjemy... Chodzi mi o to, czy ktoś powiedział, że to musi być luźny kawałek skóry zdartej z człowieka? No i jeśli istnieje coś takiego, jak męska dziewica, to chyba właśnie ja?

Dolg mocno złapał go za rękę.

- Tak, Bjarni! Jesteś geniuszem! Narysujemy runę na twojej dłoni, moją krwią!

- Czy tak można?

- Nie - po namyśle przyznał Dolg. - W moich żyłach płynie nie tylko ludzka krew.

- Ale jeśli wryjesz znak na mojej dłoni, na przykład nożem, będzie to wtedy moja krew, jeśli tylko zadrapiesz dostatecznie głęboko.

Dolg w mroku utkwiał wzrok w chłopcu. Oczywiście nic nie zobaczył, lecz Bjarni czuł przenikliwe spojrzenie.

- Bjarni, to będzie bolało!

- Wcale się tym nie przejmuję, muszę uwolnić tego nieszczęśnika. Ale czy uda nam się to zrobić po ciemku? I czy masz nóż? Bo ja nie.

- Mam - odparł Dolg i głęboko wciągnął powietrze w płuca. - Dobrze, tak zrobimy, to nasza jedyna szansa. Chyba zapamiętałem czarnoksięską runę, mówiłem ci już, że to bardzo skomplikowany znak. W dodatku nic nie widzę. Ale podaj mi rękę, spróbujemy!

Bjarniemu wydawało się, że pierwsze ukłucie będzie najgorsze, kiedy jednak Dolg nie przestawał nacinać skóry na jego lewej dłoni - doszli do wniosku, że prawej może potrzebować - błagał, by wreszcie się to skończyło. Ból można znosić do pewnej granicy, lecz kiedy wciąż jest odnawiany...

Wreszcie Dolg był zadowolony.

- Znak gotowy, prawdopodobnie bardzo krzywo i nieporadnie narysowany, ale lepiej nie umiałem. Byłeś wyjątkowo dzielny, Bjarni, to przecież musiało ci sprawić wielki ból. Wracaj teraz jak najprędzej do króla i staraj się nie zabrudzić rany! Weź moją chusteczkę, jest czysta, i obwiąż nią rękę!

- Dziękuję!

- Zaczekaj chwilę! - wstrzymał go jeszcze Dolg.

Chłopiec przystanął. Dolg sprawiał wrażenie bardzo niepewnego.

- Bjarni... weź tę skórzaną sakiewkę. Nie otwieraj jej, jeśli nie poczujesz, że to absolutnie konieczne. W środku jest...

- Wiem, co jest w środku - przerwał mu Bjarni. Z uniesienia głos mu drżał. -

Niebieski szafir. Dolgu, będę na niego bardzo uważał, nie wiesz nawet jak. I użyję go tylko w razie absolutnej konieczności.

- Dobrze. Jeśli ta niezgrabnie narysowana runa nie pomoże, będziesz musiał spróbować wykorzystać moc kamienia. Nie mam pojęcia, jaką władzę nad złą czarną runą ma szafir, obawiam się, że żadną, bo przecież nie może nawet zbliżyć się do zła. Ale będziesz musiał zdecydować sam. - Dolg westchnął. - Chciałbym móc iść z tobą!

- Ja także bym tego chciał - cicho powiedział Bjarni. - Ja także.

Poczuł lzy palące w oczach i pospiesznie wcisnął się w ciasne przejście. Oby poszło dobrze, mieli przecież tylko tę jedną jedyną szansę. A Bjarni tak serdecznie współczuł nieszczęsnemu, udręczonemu królowi.

Ten zakon rycerski musi być naprawdę straszny, przeokropny, pomyślał po dziecinnemu.

- I co? - spytał król elfów, kiedy Bjarni stanął przed nim.

- Wymyśliliśmy naprędce rozwiązanie - oświadczył zdyszany chłopiec. Co najmniej dziesiąty raz sprawdzał, czy kiedy czołgał się przez korytarz, skórzany woreczek z szafirem nie doznał uszczerbku. - Musiałem się nauczyć kilku koniecznie potrzebnych słów. Zacznę od ręki, królu. Zobaczymy, jak nam pójdzie. Król znieruchomiał, gdy Bjarni przyłożył lewą dłoń do masywnych okowów i wyszeptał słowa, których nauczył go Dolg.

Czekali.

Czyżbym musiał wykorzystać szafir? zastanawiał się Bjarni. Przecież nie należy go brukać złem, nie chcę tego. Nie widziałem go wprawdzie, ale tyle mi o nim opowiadali. Szafir zawsze ma do czynienia tylko z dobrem.

Niepokoilo go to, tak samo jak sytuacja króla elfów.

W jęczącym, zgrzytliwym proteście okowy puściły, wolno podzieliły się na pół. Jedna ręka króla elfów została oswobodzona.

Dzięki Ci, dobry Boże, pomyślał Bjarni z ulgą. Na razie nie muszę używać kamienia.

- Prawie nie mogę ruszyć ręką - niecierpliwił się elf rozgorączkowany. - Jakim potworem musiał być ten, który mi to zrobił. Druga ręka, prędko!

Kiedy krew Bjarniego dotknęła metalowych okowów na drugiej ręce, i one musiały puścić. Tak samo stało się z więzami na jednej nodze, ale potem było gorzej.

Obu ogarnął strach. Znalezli się już tak blisko celu i nagle takie niepowodzenie!

- Może nie masz krwi na dłoni? - zasugerował król elfów. - Runę trzeba przecież narysować krwią.

- Chyba masz rację. Zaczekaj, spróbuję wycisnąć więcej.

- Rzeczywiście nie jesteś zwyczajnym chłopcem - pochwalił Bjarniego król. -

Winien ci jestem ogromną wdzięczność.

Bjarni nie miał czasu na odpowiedź. Czuł ciepłą krew spływającą po nadgarstku i myślał tylko: Jak ja właściwie wyglądam? Zakrwawiony i brudny, najlepsze ubranie przemoczone do suchej nitki. Co powie babcia?

Zaraz jednak przypomniał sobie, że nie wraca do babci, i uznał swoje troski za nic nie znaczące w tej dramatycznej chwili. Skupił się na swym zadaniu. Jeszcze raz przycisnął wrytą na dłoni magiczną runę do metalowych więzów, tym razem poszło lepiej. One także musiały ustąpić.

Pozostawała ostatnia obręcz, na szyi. Zgrzytała wprawdzie, lecz nie puszczała.

Bjarni nie chciał teraz używać szafiru, niszczyć przepięknego kamienia Dolga. Nie rezygnował jednak, wycisnął więcej krwi i raz po raz wygłaszał magiczne formuły, niezwykle słowa powtarzały się w nich w rozmaitych kombinacjach, rytmicznie, dźwięcznie, monotownie.

Prawą ręką musiał jednocześnie podtrzymywać króla elfów, nieszczęsny bowiem nie był w stanie utrzymać się na nogach. Przykucie do ściany na wiele stuleci może okazać się brzemienne w skutki nawet dla elfa.

Bjarni zatracił rachubę czasu, nie wiedział, jak długo już odmawia zaklęcia, aż wreszcie rozległ się przeciągły zgrzyt i okowy puściły.

Król elfów odzyskał wolność, lecz była to drogo okupiona swoboda. Osunął się na skałę. Bjarni usiłował go podtrzymać.

- Ja... nie mam siły. Jest już... za późno - szepnął elf.

- Nie, to niemożliwe - przestraszył się Bjarni. - Zaczekaj! Wytrzymaj, chyba mogę... Zła moc, jaka tutaj panowała, została już pokonana, prawda?

Wyczuł, że król elfów lekko skinął głową.

- Wobec tego mam coś, co... Zaczekaj, zaraz wyjmę kamień Dolga.

W rozpaczy jedną ręką sięgnął do skórzanego woreczka, drugą podtrzymywał głowę elfa. Wreszcie zacisnął palce na olbrzymiej kuli, tak wielkiej, że nie zdołał jej utrzymać jedną ręką. Dlatego musiał ułożyć króla na kamiennej posadzce.

Przyłożył kamień do jego głowy, potem do piersi, prosząc, by do wycieńczonego ciała powróciła siła.

Król elfów poruszył głową.

- Co robisz, Bjarni? Wyczuwam coś...

Jego głos ucichł, a Bjarni bliski był rozpaczy.

- Proszę, nie umieraj! Nie przypuszczałem, że elfy mogą umrzeć.

- Bo... tak nie jest. Ale możemy... stracić moc... Zwiędnąć... zmienić się w nicość.

Ale wyczuwam... życiodajną siłę... wzmacniającą, nie wiem, co to jest. Od niepamiętnych czasów... nie czułem takiego... przyływu dawnej mocy. Chłopcze, co tak iskrzy i lśni w ciemności? Mgliste błękitne promienie ciepła docierają do mego serca.

- To błękitny szafir, panie królu. Należy do Dolga.

- Niebieski kamień? Dolg ma niebieski kamień? - spytał zdumiony król, jego głos brzmiał teraz znacznie żywiej. - Oddaj mi go, oddaj na zawsze!

Bjarni odsunął szafir od rąk elfa.

- Nie mogę, on jest własnością Dolga, tylko Dolga, wszyscy tak mówią.

Król elfów cofnął ręce, spuścił głowę.

- Oczywiście, wybacz mi chciwość, to niegodne króla elfów. Kiedy po tych latach spędzonych w pólśnie znalazłem się nagle tak blisko cudownego kamienia, myśli mi się zmaciły. A więc to Dolg... A przecież zrozumiałem, że ten, który znalazł niebieski kamień, nosi inne imię? Czy to naprawdę...

Nie dokończył zdania i Bjarni się zdziwił. Zdumiało go jeszcze inne zjawisko: nagle poczuł się spokojny i bezpieczny, wszystko w życiu wydało się proste. Czyżby to wpływ niebieskiego kamienia? Kiedy rodzina Dolga opowiadała mu poprzedniej nocy swoją historię, wspomnieli, że nikomu nie wolno dotykać kamienia. Szafir mógł wydłużyć życie człowieka, przydać siły, zdrowia i mądrości. Dolg powierzył mu ów skarb, okazując tym samym niesłychane zaufanie. Bjarni musiał dowieść, że jest tego godzien.

Oczywiście, odczuwał wpływ kamienia! Wiedział, że od tej chwili nie będzie już taki sam jak przedtem.

Spostrzegłszy, że elf jest już o wiele silniejszy, schował kamień do skórzanego węzełka i pomógł z dawna wytęsknionemu przez elfy królowi wstać.

- Dziękuję - szepnął oswobodzony więzień.

Bjarni ostrożnie go podpierał.

- To imię, o którym myślałeś, królu... Imię właściciela szafiru... Czy to przypadkiem nie Lanjelin?

- Tak! Skąd to wiesz?

- Ponieważ Dolg nosi także imię Lanjelin. Królowa mówiła, że nosi je właśnie dla elfów.

- A więc on jest jednak tym właściwym. Dobrze to wiedzieć. Chodź! Pomóż mi stąd wyjść, młody bohaterze!

Bohaterze? Bjarni w myślach smakował to słowo i musiał przyznać, że bardzo mu się podoba.

Rozdział 15

Wyszli z korytarza do mrocznej groty, gdzie czekał na nich Dolg.

- Udało się?

- Tak! - z zapalem odparł Bjarni. - Król elfów jest ze mną, nie widzisz go, ale on tu jest. A oto węzełek z kamieniem, dziękuję, że mi go pożyczyłeś.

- Bądź pozdrowiony, Lanjelinie z dawnego ludu! - powitał Dolga król wszystkich elfów Islandii.

- Bądź pozdrowiony, królu! Weź mnie za rękę, pójdziemy do światła. To nie jest miejsce, w którym warto zostawać dłużej.

Dolg na powrót opasał liną siebie i Bjarniego, wszyscy trzej dali nurka. Zdaniem Bjarniego był to najtrudniejszy moment, ale mocno zacisnął usta i wytrzymał.

Wkrótce ujrzeli światło dnia, lśniąca w blasku słońca kaskady kropli. Bjarni wiedział, że właściwie wciąż trwa noc, to tylko latem słońce wstawało tak wcześnie.

Wodospad z hukiem opadał w dół. Dolg postanowił, że nie zostaną wciągnięci na most, lecz pozwolą się ponieść prądowi płynącej przez równinę rzeki. Dość trudno było nie dać się pochwycić wirom, Bjarniego parę razy olbrzymi lej wessał pod wodę, zanim towarzysze zdążyli go złapać.

Chłopiec widział teraz króla elfów. W podziękowaniu za bohaterski czyn oczy Bjarniego uczyniono widzącymi.

Stał się teraz jednym z nich!

Unosząc się na spokojniejszej wodzie, i później, wchodząc na ląd, zadumał się nad tym, jaki to zaszczyt spotkał człowiecze dziecko. Ciekaw był, czy i Villemann widzi króla i całe gromady elfów oraz innych duszków przyrody, tłoczące się na zboczach, by ich powitać. Jasne było, że Dolg widzi elfy, podobnie Móri, ale dwoje pozostałych, Villemann i jego matka Tiril?

Tego nie wiedział.

Spotkanie króla z elfami wypadło naprawdę wzruszająco. Ludziom pozostawało jedynie stać i czekać na swoją kolej. Ta chwila nie należała do nich.

W oślepiającym blasku słońca o świcie powrócili do Landmannalaugar; ludziom towarzyszył orszak szczęśliwych istot przyrody. Villemann, któremu podobnie jak Tiril dane zostało tej nocy widzieć to, co zwykle bywa ukryte, oddał swego

wierzchowca królowi elfów i jego królowej. Sam przesiadł się na konia Dolga. Nero szczęśliwy podskakiwał obok nich. Niewiele z tego wszystkiego rozumiał, ale widział, że jego państwo się cieszą i dużo śmieją. A kiedy maleńki elf wskoczył mu na grzbiet, Nero uznał to za wesołą zabawę, taką, w jakiej i oni biorą udział. Z dumą niósł leciutkiego jeźdźca, nie zatrzymując się nawet, żeby podnieść nogę przy kamieniach i co ciekawszych zapachach. To przecież nie uchodzi, kiedy już przypadł w udziale taki zaszczyt.

Zatrzymali się przy Landmannalaugar i w trakcie postoju omówili dalsze poczynania. Tiril chciała zaproponować elfom poczęstunek z własnych, dość już skąpych zapasów podróжных, lecz elfy ze śmiechem podziękowały, mówiąc, że takie sprawy załatwiają same.

Król elfów, piękny tak jak powinna być romantyczna baśniowa postać, westchnął szczęśliwy:

- Pomyśleć tylko, że naprawdę istnieje taka rodzina! I że przybyliście nam na ratunek, zgodziliście się stawić czoło trudom i niebezpieczeństwom tylko ze względu na mnie. I to dzielne ludzkie dziecko, dokonało bohaterskiego czynu, wówczas gdy wy z uwagi na swoje pochodzenie nie mogliście nic zrobić! Moja wdzięczność nie ma granic!

Drobniutkie, kruche dziewczęta z rodu elfów obsiadły Bjarniego i w podziwie chciały go dotknąć.

Chłopiec śmiał się zażenowany.

- Wcale taki dzielny nie byłem. Szczerze mówiąc, zmoczyłem się, kiedy razem z Dolgiem wpadliśmy do wodospadu, ale w tamtej sytuacji nie miało to większego znaczenia.

- Po prostu dolałeś trochę wody do rzeki - wytłumaczył Villemann.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Śmiech elfów brzmiał, jakby wiatr trącał srebrne listki.

Nie tylko Bjarni stał się obiektem zachwyty maleńkich elfów. Dolg i Villemann także musieli poddawać się uściskom, pieszczotom, wytrzymywać głębokie

spojrzenia w oczy. Villemann z radością je odwzajemniał, Dolg jednak zachowywał większą wstrzemięźliwość. Kiedy delikatne rączki stawały się zbyt natrętne - bo przecież elfy są w zasadzie bardzo zmysłowymi istotami - odsuwał je zdecydowanie, choć z przyjacielskim uśmiechem.

Nie wszystkie elfy były malutkie, wśród nich znajdowały się również całkiem spore istoty. To te, które były przywiązane do jakiegoś miejsca. Minionej nocy, kiedy wszystkim obecnym dano możliwość widzenia tego, co zwykle ukryte, zobaczyli, że nad każdą skałą, nad każdą górą i rzeką, a także prawdopodobnie nad każdym domem, czuwa elf. Ich rozmiarów ludzie nie potrafili określić, każdego elfa otaczała bowiem jaśniejąca poświata, która sprawiała, że trudno było na dłużej zatrzymać na nich wzrok.

Szkoda, że mama tego nie widzi, pomyślał Bjarni, wzdychając uszczęśliwiony. Ale może by się przestraszyła?

O dziwo, jego myśli krążyły wyłącznie wokół matki, nigdy nie wspominał dziadków, chociaż byli przecież dla niego dobrzy. Ale czy na pewno...? Czy dobry człowiek wciąż opowiada o swej dobroci i poucza wnuczka, jak bardzo powinien być im wdzięczny za to, że uratowali go przed obojętnością, niedbałością i nieodpowiedzialnością matki?

Dolg przecież mówił co innego. Opowiadał o matce, która przywoziła synowi podarki, lecz nie pozwolono jej mu ich przekazać. Która błagała, by wolno jej było go zobaczyć, ale i na to nie dostawała zgody. Która tęskniła i płakała w samotne noce daleko, w bezludnej górskiej dolinie.

Bjarni bardziej wierzył Dolgowi niż dziadkom. Ich "dobroć" przestała mieć jakiegokolwiek znaczenie. Nie chciał do nich wracać, pragnął jechać do domu do matki i powiedzieć, jak bardzo ją kocha i jak za nią tęskni.

Z zamyślenia wyrwały go krzyki i śmiech. Usłyszał głos Tiril:

- Och, Nero, znowu! Na pewno znalazł coś zgniłego, cuchnącego, zobaczcie tylko, jak się tarza, aż sapie z zadowolenia. Świnka!

- Nie rozumiecie, że on się perfumuje? - zaśmiał się Villemann. - Nero, przestań, nie chcemy wlec ze sobą śmierdzącej kupy gnoju na czterech łapach. Wchodź do wody! Szybciutko!

Nero jednak wcale nie miał zamiaru pozbywać się wspaniałego pachnidła, informującego, gdzie przebywa i jaki to z niego pies, lecz elfy potraktowały słowa Villemanna serio. Chichocząc zagnały Nera do przyjemnie ciepłego źródła i opryskały wodą. Dopiero po wyszorowaniu do czysta wyciągnęły go na ląd, Nero zaś uznał, że takie troskliwe zabiegi są właściwie bardzo przyjemne.

Królowa elfów wstała.

- Ludzie potrzebują snu - wyjaśniła. - Prześpijcie się, wszyscy pięcioro, i pies także. Potem, kiedy was obudzimy, przekonacie się, jak prędko my, elfy, potrafimy jeździć konno. Wrócimy do domu, do Gjäin.

Dolg podniósł głowę.

- Ale na mnie czeka zadanie, które mam wykonać. Później chciałbym jak najszybciej odprowadzić Bjarniego do matki.

- Lanjelinie, zadanie czeka na ciebie właśnie w Gjäin, nie zrozumiałaś tego jeszcze? A i tak zdążysz odwiedzić naszego młodego przyjaciela do domu. Teraz śpij, przed tobą ciężki dzień.

Dolg popatrzył na nią pytająco, lecz nic już nie dodała.

- My zaczekamy - powiedziała.

- Obiecujcie, że wkrótce nas zbudzicie! Potrzeba nam zaledwie paru godzin snu, a znów będziemy rześcy.

- Co to znaczy parę godzin? - uśmiechnęła się rozmarzona.

Rzeczywiście, czyni były dwie godziny w porównaniu z epokami czasu elfów?

Nigdy jeszcze nie jechali tak prędko! Konie wprost szybowaly nad ziemią. Ludzie nie rozumieli, że elfy wykluczyły czas i w ten sposób odległość, na której pokonanie potrzeba całego dnia, przebywali błyskawicznie. Jechali w "czasie elfów", nie w normalnym, ludzkim.

Tym razem towarzysze podróży Dolga mogli odwiedzić Gjäin, baśniowo piękną dolinę, którą tak bardzo chciał im pokazać. Później jednak mieli się wycofać i czekać na niego po drugiej stronie Thjorsardalur, oddzieleni od Gjäin czarnymi, pokrytymi popiołem wulkanicznym obszarami.

Po pierwszym etapie ratowania króla elfów duchy zachowywały się biernie.

Najwidoczniej pozostawiły elfom kontakty z Drugim Światem.

Dolg także ich nie widywał. Wiedział, że Cień niespokojnie go obserwuje, wkrótce wszak Dolg miał przystąpić do wykonania swego głównego zadania, które w najwyższym stopniu dotyczyło także Cienia.

Ale potężny duch opiekuńczy trzymał się z boku. Nie włączał się nawet teraz, kiedy wiadomo już było, że sytuacja naprawdę robi się poważna.

Dolg zrozumiał więc, że musi tego dokonać sam.

Wiedzieli już, że elfy różnią się wielkością. Niektóre były tak maleńkie, że ludzie obawiali się, by ich przypadkiem nie zdeptać.

Kiedy Dolg schodził w dół do strumienia w dolinie Gjäin, do ucha podfrunął mu taki właśnie maleńki elf.

- Wsuń mnie do kieszeni - szepnął.

Dolg nie mógł się zorientować, czy to on, czy ona.

Przez moment się zawahał, ale kiedy wyglądało na to, że nikt akurat na niego nie patrzy, rozchylił kieszeń opończy. Elf szybciotko się schował.

Przeprawili się przez strumień i stanęli przed grotą.

Król elfów trzykrotnie uderzył w skałę.

We wnętrzu góry zahuczało, ukazały się kamienne drzwi i za chwilę wyszedł z nich Starzec.

Po długiej, radosnej ceremonii powitania zwrócili wreszcie uwagę na Dolga, grzecznie trzymającego się z tyłu.

- Musimy to uczcić - oświadczył Starzec. - Ty i twoi towarzysze zasłużyliście na szczególne podziękowania, wróciliście bowiem cześć światu elfów.

- Najpierw jednak chyba powinienem wypełnić moje zadanie?

- Tak będzie rzeczywiście najlepiej - przyznał po namyśle Starzec. - Chociaż być może cię utracimy.

A kiedy Dolg popatrzył na niego pytająco, dodał:

- Jeśli ci się nie powiedzie.

Zabrzmiało to doprawdy złowieszczo. Ale maleńki elf delikatnie stuknął go w pierś, jakby na pociechę.

- Wolno ci tu być? - szeptem spytał istotkę Dolg, kiedy nikt na niego nie patrzył.

Elf odszepnął:

- Królowa elfów o tym wie. W ten sposób pragnie ci podziękować. Ale nic nie mów Starcowi!

Dolg uśmiechnął się. Postanowił nie zdradzać tajemnicy, bo nie mógł pozbyć się paskudnego uczucia, że bardzo będzie potrzebował pomocy.

Uprzejmym gestem zaproszono Dolga do groty za kamiennymi drzwiami.

Elfy, które dotychczas tłoczyły się wokół niego, ucichły i pozwoliły, by ruszył jako pierwszy zaraz za Starcem i parą królewską.

Starzec góruje nad elfami, uświadomił sobie Dolg. Ależ oczywiście, przecież on symbolizuje całą Islandię.

Przeszli przez mroczny korytarz, którego istnienia Dolg się domyślał, kiedy ostatnio tutaj był. Wkrótce potem znaleźli się w uroczyscie przystrojonej sali.

Czekały tu stoły nakryte do wielkiej uczty, co oznaczało, że Starzec i jego tajemniczy pomocnicy, których dawało się dostrzec wśród cieni, otrzymali już wcześniej wieści o powrocie króla elfów.

Starzec zwrócił się do Dolga:

- Czy wiesz, na czym będzie polegać twoje zadanie?

- Nigdy mi o tym nie mówiono, ale mam swoje przypuszczenia.

- Z pewnością, z pewnością - pokiwał głową Starzec, a w jego mądrych oczach zapaliły się iskierki wesołości. - Zacznij więc od razu, masz niewiele czasu.

Dlaczego? zastanawiał się Dolg. Kolejna księżycowa noc.

Nie, to się nie zgadza. Starcowi chodzi o co innego, lecz o co - tego Dolg nie wiedział.

- Niestety, nie mogę ci towarzyszyć w tej przeprawie - oświadczył Starzec. - Udzielę ci jednak wskazówek. Musisz wejść przez te drzwi. Za nimi ujrzysz troje innych drzwi, należy wybrać jedno. Jeśli się omylisz, wkrótce umrzesz. Jeśli natomiast wybierzesz dobrze, staniesz przed kolejnym wyborem. Będziesz musiał walczyć z właściwą bestią. Gdy twój wybór okaże się trafny i pokonasz przeciwnika, dotrzesz do samego jądra, do komory, w której zobaczysz trzy szkatułki. I tu także będziesz musiał wybrać tę właściwą. Pamiętaj, że jeden błąd, bez względu na to, w którym miejscu go popełnisz, wcześniej czy później oznacza śmierć dla ciebie i dla wielu, wielu innych.

Dolg kiwnął głową. Ciekaw był, skąd stary wie o tym wszystkim.

Jakby odgadując jego myśli Starzec oznajmił:

- Nikt nigdy nie przeszedł przez drzwi, które ci teraz wskażę, nawet ja, ale od dawnego ludu usłyszałem legendę o tym, co się za nimi znajduje. Opowiedziano mi ją w zaraniu dziejów. Tylko jeden człowiek może otworzyć te drzwi. Mamy nadzieję, że znalazł się on dzisiaj wśród nas.

Uśmiechnął się chytrze.

- A więc ma dla was znaczenie, czy poradzę sobie z zadaniem?

- Owszem, dla wszystkich niewidzialnych jest to bardzo ważne.

Dolg skierował wzrok w kąt, na który przelotnie padło spojrzenie Starca.

W mrocznym świetle dojrzał coś na kształt niskich drzwi, prastarych, rzeczywiście od wieków nie otwieranych.

- Czy z zamkiem przy tych drzwiach wiąże się jakaś szczególna tajemnica i dlatego trudno je otworzyć?

- Tak. Nie potrafi tego nikt z nas. Tobie prawdopodobnie może się udać.

Potrzebne są odpowiednie środki.

Dolg długo patrzył prosto w oczy Starca, a on nie uciekał ze wzrokiem. Chłopak miał wrażenie, że widzi dzieje Ziemi na przestrzeni niepojęcie długich czasów.

Dotknął skórzanego woreczka zawieszzonego u paska.

- Tak - rzekł powoli. - Przypuszczam, że mam odpowiednie środki.

Starzec skinął głową.

- Słyszałem opowieść króla elfów o tym, co zdarzyło się przy Ófasrufoss.

Korzystasz z mocy kamienia mądrze i nigdy jej nie nadużywasz. Słusznie postąpiłeś, pożyczając go dziecku.

Dziecku? Bjarniemu nie spodobałoby się, gdyby usłyszał, że tak się o nim mówi.

Nowe zadanie... W pewnym sensie wydało mu się znajome. Troje drzwi, trzy bestie, trzy szkatułki.

Dolg spojrział na drobne, przezroczyste eteryczne istoty, krążące po wielkiej sali.

Ich obecność w połączeniu ze wskazówkami Starca sprawiła, że zawirowało mu w głowie.

Trzy etapy, trzy zadania, które musiał wykonać...

- Przecież to baśń! - wykrzyknął. - Nie jakaś konkretna, ale ta troistość...

- Oczywiście. Wy, ludzie, uważacie, że należymy do świata baśni. I macie rację, w naszym świecie zachowujemy się tak, jak myślicie. Ale... nie różnimy się tak bardzo od was, chociaż jesteśmy bardziej racjonalni, bardziej konsekwentni. Ludzie także muszą dokonywać wyborów, nawet o wiele częściej niż my. Jeśli w trudnej sytuacji dokonacie niewłaściwego wyboru, możecie zniszczyć całe swoje życie. Nie chcielibyśmy mieć przed sobą takich alternatyw, wobec których wy stajecie.

- To prawda - przyznał zgnębiony Dolg.

Skierował wzrok w inną stronę i drgnął. Wśród elfów i innych istot krążących po sali i przygotowujących ucztę spostrzegł znajomą twarz.

"Ty tutaj?" wargi ułożyły słowa.

Istota uśmiechnęła się ze smutkiem i zaraz odwróciła.

Dolg zrozumiał, jak wiele się od niego oczekuje. Wciągnął głęboki oddech. Przez miękką skórę sakiewki ścisnął mocno szafir.

- Jestem gotów! - oznajmił Starcowi.

Zgiełku z wielkiej sali nie było już słycać.

Dolg znajdował się w wewnętrznej grocie o wygładzonych, miękko zarysowanych ścianach, nie miał jednak wątpliwości, że to jaskinia we wnętrzu góry. Odłożył szafir, którego promienna moc otworzyła przed nim bramę w skale.

Troje drzwi? Owszem, widział je, oprócz tych, przez które wszedł. Wszystkie czworo były identyczne, różniły się jedynie wielkością, i to w sposób bardzo znaczny.

Poza tym wszystkie pokrywał identyczny skomplikowany, prawdopodobnie magiczny wzór o takich samych barwach, wśród których przeważał kolor żółty i niebieski. Najmniejsze drzwi znajdowały się pośrodku.

Dolg się namyślał. Starzec uprzedzał, że jeśli Dolg dokona błędnego wyboru, wkrótce umrze.

Jak to zwykle bywa w baśniach?

Właściwego wyboru dokonywał ten, kto decydował się na rzecz najmniej okazałą.

Ten, kto wybierał bogactwo, kończył źle.

Ale Dolg miał w pamięci przebiegłe spojrzenie Starca.

Czyżby miał do czynienia z chytryością "trzeciego stopnia"? "Uważasz mnie za głupca, który wybierze największe i najwspanialsze drzwi. Ale, widzisz, ja nie jestem taki głupi. Rozumiem, że powinienem zdecydować się na najmniejsze". I właśnie dlatego właściwymi są największe drzwi? Ale uważasz, że jestem taki mądry? Tak, że w zasadzie...

Nie, to zbyt skomplikowane.

Ruszył ku średnim drzwiom.

Ponieważ maleńki elf nie dawał mu żadnego znaku, przypuszczał, że się nie myli.

- Powiedz mi, co mam zrobić - szepnął. - Nie, przepraszam, to by było zbyt proste.

Ale zasygnalizuj mi przynajmniej, czy nie idę prosto na zgubę.

Delikatne stukanie w okolicę żeber powiedziało mu, że elf pojmuje jego słowa i że się z nim zgadza.

- Dziękuję, przyjacielu - mruknął Dolg. - I tobie, królowo elfów!

Rozumiał władczyńię. Po wielu stuleciach odzyskała męża. Pragnęła się teraz odwdzięczyć.

Miał szczęście, że tak się stało, inaczej mógłby źle skończyć w tej pustej grocie we wnętrzu góry, w której za tajemniczymi drzwiami czaiła się Śmierć.

Nabrał powietrza w płuca i otworzył średnie drzwi. Nic się nie stało. Mógł swobodnie przejść do znacznie większej sali.

Mrok. Cisza.

Stał przy drzwiach, które się za nim zamknęły.

Pomimo swoich dwudziestu jeden lat czuł się jak małe dziecko. W jednej chwili zrozumiał, jak bardzo jest samotny i bezradny, młody i niedoświadczony. Tylko dlatego, że był najstarszy z rodzeństwa, zawsze uważano go za dużego, takiego, na którym można polegać.

Bardzo chciał, by ktoś mógł teraz mu towarzyszyć. Najchętniej ojciec, on przecież wszystko potrafi.

Ale ojciec też musiał kiedyś być młodym chłopcem, wystraszonego i niepewnego; wtedy gdy mieszkał w lodowatej Surtshellir, grocie wyjętych spod prawa.

Ciężki wiatr powiał przez salę, zawył wzdłuż niewidocznych ścian.

Powoli gdzieś w dole zajaśniało migotliwe światło, z wolna pełzło ku górze, niewyraźne, zaczarowane, upiorne.

Dolg wiedział teraz więcej.

Stał w rogu czworokątnej groty. W każdym z pozostałych rogów ukazały się olbrzymie stwory. Nabrały kształtów, objawiły swą budzącą grozę postać.

Rozległo się sapanie, pochrząkiwanie, warczenie.

Bestia, znajdująca się naprzeciwko Dolga, stała na dwóch łapach. Olbrzymi łeb, nie przypominający głowy żadnego spotykanego na ziemi zwierzęcia, powoli z jękiem kołysał się z boku na bok. Płonące oczy uparcie wpatrywały się w Dolga, jakby zwierzę szykowało się do ataku.

Po obu stronach stały czworonożne zwierzęta, jedno ciężkie i niezgrabne, o małych, smutnych oczkach, drugie miało w sobie coś wężowego, ale obie bestie nie przypominały żadnego ze znanych stworzeń. Podobnych im na Ziemi nie było.

- Ach, mój ty świecie - mruknął Dolg, przede wszystkim do elfa, lecz także do siebie. - Czy naprawdę mam z nimi walczyć? Z jednym z nich? Przecież ja nigdy nie walczę ze zwierzętami, nie chcę tego. Mam któreś pokonać. Dlaczego? Przecież one nic mi nie zrobiły.

Nagle zorientował się, że bestie go słuchają. One rozumieją moje słowa, pomyślał zdziwiony.

Przenosił wzrok z jednego potwora na drugiego. Każdy z nich mógł go zabić jednym ciosem łapy czy też kłapięciem paszczy. Jak miał pokonać je człowiek, nie sięgający im nawet do łba?

- Nie mam broni! - zawołał. - Jedynie mały nóż, do czego mam go użyć? Nie chcę go użyć przeciwko wam, pragnę jedynie waszego dobra! Powiedzcie mi, co mogę dla was zrobić?

Nie odpowiadały. Może nie mogły. Elf milczał.

- Macie takie smutne oczy - ciągnął Dolg. - Jeśli tylko mogę ukoić wasz ból, pozwólcie mi na to! Czego chcecie ode mnie?

Wciąż nie odpowiadały, słychać było jedynie ohydne parskanie i sapanie.

- Czy naprawdę muszę wybrać jednego z was? Tak, wiem, że tak się musi stać, jeśli chcę iść dalej, ale to sprzeczne z moimi przekonaniem. Ja nie zabijam zwierząt, to by było straszne!

Dolg poczuł, że ogarnia go rozpacz.

Ale muszę wybrać jednego potwora, nie mam innego wyjścia.

Przyglądał się im po kolei. Wszystkie sprawiały wrażenie równie niebezpiecznych. Wysoka bestia stojąca naprzeciwko niego miała ostre, twarde szpony, które w jednej chwili mogłyby rozerwać go na kawałeczki. Wężowy potwór wysuwał jęzor, wypuszczając z paszczy cuchnące chmury, ociężały stwór jednym kłapięciem zębów zgniótłby Dolga na miazgę.

Chłopak zatrzymał wzrok na ostatnim, okropnie brzydkim stworze o smutnych oczach.

Nie, nie mogę, nie mogę, powtarzał w duchu.

- Pomóż mi, ja nie jestem w stanie tego zrobić - szeptem poprosił elfa.

Tym razem elf odezwał się i Dolg zorientował się, że ma do czynienia z panienką.

- Królowa elfów powiedziała mi: "Przy zwierzętach nic nie rób. Musi sam zdecydować".

Dolg zacisnął szczęki. Przecież właśnie tutaj naprawdę potrzebował pomocy.

Dopóki będę stał spokojnie, nic się nie wydarzy, ale gdy tylko skieruję się ku któremuś z nich, rozerwą mnie na strzępy.

Powiódł wzrokiem po wyczekujących potworach. Światło w grocie pojaśniało, a może raczej jego oczy przywykły do ciemności.

Głęboko nabrał powietrza w płuca.

Zauważył coś...

Jeszcze raz popatrzył na wielką, ciężką bestię o strasznej paszczęce. Jeszcze raz spojrzął jej w oczy.

Ślepia pozostałych były podobne, ale tutaj ujrzał to najwyraźniej.

- Dobry Boże - szepnął. - Powinienem być to wiedzieć już wcześniej. Zrozumieć.

Przecież to całkiem jasne!

Bez wahania ruszył ku stworowi, który ledwie zdolny był dźwignąć własny ciężar z kamiennej posadzki.

- Wybacz mi - rzekł, nisko się kłaniając. - Okazałem się taki krótkowzroczny.

Wyjął z sakiewki szafir i podniósł go na wysokość głowy bestii, która wcale nie usiłowała go zaatakować.

- Szlachetny kamieniu - szepnął. - Uwolnij strażnika od długiego oczekiwania!

Oczy. Nareszcie to zauważył. Całkiem czarne jak u większości zwierząt. Ale także skośne.

Jak u dawnego ludu. Ludu Dolga.

Z oczu zwierzęcia popłynęły wielkie łzy. Całkiem osunęło się na ziemię, opadła zewnętrzna powłoka i przed Dolgiem stanęła kobieta, niezwykle podobna do Strażniczki, którą jakiś czas temu zauważył w sali. Do Strażniczki z bagien.

- Dziękuję - szepnęła, uśmiechając się promiennie. Dziękuję, że nie chciałeś zabijać! Że rozumiałeś. I że jesteś tym właściwym, tym, który ma niebieskie cudo.

Dolg nie wiedział, co odpowiedzieć.

Nagle zorientował się, że za jego plecami stanął drugi potwór, bo buchnął kłęb cuchnącego dymu i ciężkie, ostre szpony opadły mu na ramiona.

Odwrócił się.

Już się nie bał. Owe straszne istoty prosiły o pomoc. One także.

Dolg podniósł kulę najpierw w stronę jednego potwora, potem drugiego. Uległy takiej samej dramatycznej przemianie i z wolna ukazali się dwaj piękni młodzi mężczyźni z dawnego ludu.

- Bądź pozdrowiony, Dolgu - rzekł jeden z uśmiechem. - Czy potrafisz zrozumieć naszą nadzieję i strach, kiedy cię tu ujrzeliśmy? Jesteś pierwszym od zarania dziejów człowiekiem, który tutaj wkroczył. Gdybyś zechciał pokonać któreś z nas, wszystko byłoby stracone. Ale ty masz dobre serce, a tego było trzeba.

- A więc nakazywanie mi walki z tym z was, które uznam za właściwe, było pułapką?

- Tak, to była pułapka. Z żadnym z nas nie mogłeś walczyć. Ale dobrze sobie poradziłeś z tą zagadką.

- Przyjaciele! - Dolg poczuł, że ze wzruszenia łzy kręcą mu się w oczach. - Tak bardzo się cieszę, że was spotkałem. Ach, gdybym już znalazł się u celu! Gdybyż moje ostateczne zadanie polegało na uwolnieniu was, byłbym bardzo szczęśliwy. Ale jest chyba inaczej?

- Niestety - odparła kobieta. - I w żaden sposób nie możemy ci pomóc. Powiemy ci tylko, że masz przejść dalej przez tę bramę w skalnej ścianie, tam, w odległym krańcu groty.

- Widzę ją.

Dolg popatrzył kobiecie w oczy, takie same jak jego. Czuł, że z tymi istotami łączy go niezwykła więź. Podobnie odczuwa człowiek, kiedy w dalekich krainach napotka ziomka lub krewniaka wśród całkiem obcych sobie ludzi.

- To znaczy, że wciąż jeszcze mogę popełnić błąd?

- Niestety, to ciągle możliwe. Ale też i zadanie nie miało być łatwe.

- I nikt nie wie, którą szkatułkę powinienem wybrać? Nawet Starzec? Ani ten, którego nazywam Cieniem?

- Nikt z naszego ludu. Ci, którzy przed wiekami opuścili Ziemię, zabrali tajemnicę ze sobą, aby nie odkryli jej nasi wrogowie.

- Wasi wrogowie?

Odpowiedział mężczyzna:

- Niedaleko od naszych ziem żyła wroga nam rasa. Nazywano ich Silinami.

Dolg drgnął.

- A ich królem był zły czarownik o imieniu Sigilion?

- To prawda! - zdumiał się mężczyzna. - Skąd o tym wiesz?

Dolg popatrzył na niego z powagą.

- Pani powietrza przyniosła nam wiadomość, że on znów zaczął działać. Podobno ściga moją siostrę, Taran. Chce wziąć ją jako zakładniczkę i wymienić na niebieski kamień.

- To bardzo niedobrze - mężczyzna ogromnie się zaniepokoił.

- Dowiedzieliśmy się, że Taran wyznaczono potężnego opiekuna, istotę z ognistym mieczem. To brzmi dość dziwnie, ale... zrozumiałem, że sobie poradzi.

Drugi z mężczyzn, który przez cały czas się nad czymś zastanawiał, oznajmił:

- Być może tak mi się tylko wydaje, ale to może również być rzeczywiste wspomnienie... Mam wrażenie, że kogoś na ziemi, kogoś, kto nie może tu dotrzeć, nasz król wprowadził w tajemnicę szkatułki, ba, w całe twoje zadanie. Mógł to być Starzec, a może król elfów... Nie wiem. Ale tak chyba musiało być, ktoś przecież musiał wiedzieć.

Dolg nawet wyrazem twarzy nie dał nic po sobie poznać. Zaczynał się domyślać.

Westchnął jednak tylko leciutko i powiedział:

- A więc nie mam najdrobniejszej nawet podpowiedzi. To troszkę niesprawiedliwe.

Ale muszę teraz przystąpić do ostatniego etapu.

Uśmiechem dodali mu otuchy i otworzyli małe drzwi.

Znów został sam.

Skądś padało światło, nie mógł odnaleźć jego źródła, zresztą uznał, że to nieistotne.

Promień oświetlał stół, a raczej kamienną ławę. Stały na niej trzy identyczne szkatułki. Tej samej wielkości, równie pięknie rzeźbione w poczerniałym drewnie, ze złotymi okuciami.

Wszystkie miały rozmiary mniej więcej ludzkiej głowy i żadna z nich z niczym się Dolgowi nie kojarzyła. Absolutnie z niczym.

Wszystkie miały takie same zamki, dość łatwe, zdaje się, do otwarcia.

Trudność polegała na wyborze właściwej szkatułki.

Jeśli wybierze złą, umrze i nikt inny nie zdoła uratować istot, które mu ufają.

Z wahaniem wyciągnął rękę ku pierwszej skrzyneczce.

Natychmiast poczuł niemal histeryczne stukanie w pierś.

- Dziękuję, przyjaciółko - szepnął. - Serdeczne dzięki!

Przesunął rękę do następnej szkatułki.

Żadnej gwałtownej reakcji ze strony maleńkiego elfa, jakby wahanie.

Ostatnia.

Dwa niepewne stuknięcia.

Dolg zacisnął zęby.

- Nie wiesz, jak ma być? - W jego głosie zabrzmiało zniecierpliwienie większe niż chciał to zdradzić. Ze zdenerwowania drżały mu ręce. - Przepraszam, nie chciałem być tak opryskliwy.

Maleńki elf wyjrzał z kieszeni. Panienska była niezwykle śliczna i równie przejęta jak on.

- Królowa elfów sama nie miała pewności - przyznała. - Przypuszczała, że może chodzić o szkatułkę z lewej strony, ale mogła to być też ta w środku.

- Przynajmniej wiemy, którą na pewno możemy wykluczyć - pocieszył ją Dolg. - Spróbujemy to wyczuć.

- Nie - powiedział elf. - Myślę, że ty już masz na to odpowiedź.

- Jak to?

Głos panienki z rodu elfów brzmiał jak dzwonienie maleńkiego dzwoneczka, Dolg musiał dobrze wyczuć słuch, by usłyszeć jej słowa.

- Myślisz, że bez powodu musiałeś odnaleźć szafir?

- Moim zdaniem powodów tego było bardzo wiele - cierpko odparł Dolg. - Ileż to razy przydawał mi się w ciągu tych lat? Tyle było sytuacji, które tylko on mógł uratować.

- Ta jest chyba najważniejsza.

Zastanowił się.

- Fakt, że odnalazłem go jako dziecko? Tak, masz rację, przyjaciółko. Dziękuję za podsuniecie pomysłu. Bez ciebie byłbym bezradny.

Maleńki elf słysząc pochwałę rozpromienił się niczym słońce. Najwyraźniej owa istotka traktowała Dolga jako swego bohatera.

Nie wiedział już, który raz podczas tej podróży wyjmie niebieski kamień.

Spostrzegł tylko, że szafir zaczął "płonać", błękitne iskry posypały się z intensywnością nieporównywalną z niczym przedtem.

- Znowu masz rację - zwrócił się do maleńkiej panienki. - Spójrz na kamień! Patrz, jak migoce!

- Tak! - uradowała się panna. Przysiadła na nadgarstku Dolga i wyciągnęła rączkę, by dotknąć cudownego szafiru. Dolg jej pozwolił, uznał, że w pełni na to zasłużyła.

Westchnęła uradowana i cofnęła dłoń.

- Spróbuj teraz - powiedziała.

Wykluczyli pierwszą szkatułkę i skoncentrowali się na dwóch pozostałych.

Gdy przybliżyli kulę do środkowej, szafir stracił co nieco ze swego cudownego blasku. Dolg prędko przesunął go do ostatniej.

- To ta! - oświadczył z triumfem. - Patrz, jak szafir się rozplomienił!

- Tak, to na pewno ta - potwierdził elf.

Dolg wahał się. Nie wiedział, czy maleńka panienska ma zobaczyć to, co teraz nastąpi.

Owszem, powinna. Była teraz jego jedyną zaufaną.

Zamek, ledwie Dolg go dotknął, odskoczył z lekkością. Zajrzeli do środka.

Spodziewał się tego, a jednak widok, jaki się im ukazał, przyprawił ich o wstrząs.

Czerwone światło rozjaśniło pomieszczenie, zmieszało się z niebieskimi promieniami i zmieniło w cudownie fioletową barwę, indygo przenikało się z purpurą.

Dolg z zapartym tchem odłożył niebieski kamień do swego węzła i podniósł drugi ze świętych kamieni Lemurów. Czerwony.

Spoczął w jego dłoniach spokojny i bezpieczny, jakby tu właśnie było jego miejsce.

Rozdział 16

Dolg i mała panna z rodu elfów oniemieli z podziwu. Dolg obracał w dłoniach czerwony kamień, by uzyskać najpiękniejszy blask. Ale właściwie blask kamienia płynął ze środka, bo przecież klejnot był idealną kulą, nie miał żadnych krawędzi, w których załamywałoby się światło. Kula miała tę samą wielkość co szafir i identyczny czarodziejski połysk.

- Ciekaw jestem, jaki to minerał - zastanawiał się Dolg. - Może ty wiesz?

Maleńka, jasna istotka wielkości mniej więcej szczygła pokręciła głową.

Dolg głośno myślał dalej;

- Rubin czy granat? A może karneol? Chyba nie. Ponieważ szafiry należą do grupy korundów, podobnie jak rubiny, to z całą pewnością jest to rubin.

Panienska popatrzyła na Dolga z podziwem. Uśmiechnął się do niej.

- W grupie korundów znajdziemy najszlachetniejsze z kamieni na świecie; czerwone nazywają się rubiny, niebieskie - szafiry. Zielony szmaragd, żółty topaz, fioletowy ametyst - wywodzą się z innej grupy.

- Ojej! - westchnęła z podziwem, niewiele z tego pojmując.

- Ale zrozum! - podjął Dolg. - Nie ma tak wielkich kamieni szlachetnych jak te. Rubiny zazwyczaj są małe. Te dwa muszą więc pochodzić z jakiegoś całkiem innego miejsca. No i posiadają szczególne właściwości...

- Och! - malutki elf poczuł się nagle czegoś winien. - Królowa elfów prosiła, żebym ci przekazała...

- Co takiego?

- Masz być ostrożny z tym, co znajdziesz. Nie mówiła mi, co to będzie, wspomniała tylko, że nie jest taki dobry jak pierwszy.

- Co mogła mieć na myśli?

- Że... nie wiem. Powiedziała, że ten pierwszy oznacza dobro i pomoc...

- Zgadza się.

- Podczas gdy ten drugi służy raczej ku obronie. Potrafi także być... Jak ona to nazwała? Agresywny. Nawet... - Panienska zniżyła głos do szeptu: - Potrafi zabić!

- Ależ to znaczy, że jest niebezpieczny! - powiedział wzburzony Dolg.

- Tak. Nie wolno ci go nikomu dawać.

- Oczywiście.

- Ale jest także dobry - pospiesznie zapewnił elf. - Jeśli się go właściwie traktuje, nic lepiej nie potrafi stanąć w obronie dobra.

- Bardzo się cieszę. Rozumiem teraz, że kamienie mają różnorodne funkcje, i pojmuję także, dlaczego najpierw znalazłem szafir. Częściowo ze względu na jego dobrą moc - źle byłoby wprzód znaleźć kamień, z którym tak trudno się obchodzić. Częściowo także dlatego, że szafir otworzył drogę do czerwonego kamienia.

Maleńki elf z zapalem pokiwał głową.

- A teraz musisz już iść. Moja królowa podkreślała, że ważne, byś się spieszył, jak tylko możesz.

- Naturalnie! Muszę tylko pożegnać trzy istoty czekające za tymi drzwiami, tak wiele pytań dotyczących dawnego ludu chciałbym im zadać. Nic przecież nie wiem!

- Na to będziesz miał czas później.

- Chcę też podziękować Starcowi i wszystkim elfom za pomoc.

- I na to przyjdzie pora później. Wiedzą, że się spieszysz. Królowa elfów mówiła, że chętnie by widziała ciebie i twoich towarzyszy na wielkiej uczcie powitalnej, wydanej z okazji powrotu króla, ale rozumie twój pośpiech.

Dolg natomiast w ogóle tego nie rozumiał. Zmarszczył czoło i pytająco popatrzył na maleńką panienkę.

Elf podfrunął do jego policzka i leciutko go ucałował.

- Zegnaj, piękny! Wszyscy w tej górze życzą ci szczęścia i powodzenia w następnych poczynaniach. Przekazują pozdrowienia.

Wskazała mu drzwi i odfrunęła. Dolg stanął jeszcze na moment, by schować czerwony kamień. Uznał, że nie może umieścić obu kuł w tej samej sakiewce, mogły się o siebie porysować. Nowy kamień włożył więc do dużej kieszeni, sprawdził, czy to odpowiednie miejsce, i ruszył do drzwi.

Musiał zamienić choćby parę słów z trojgiem przedstawicieli swej własnej rasy, zapytać o dawne, zapomniane królestwo.

Ale ich za drzwiami nie było. Znalazł się nie w poprzedniej sali, tylko w wąskim korytarzu...

Czyżby wybrał niewłaściwe drzwi?

Nie, było przecież tylko jedno wyjście.

Ogarnęło go rozczarowanie, lecz nie mógł uczynić nic innego, jak ruszyć mrocznym korytarzem wiodącym między chłodnymi skalnymi ścianami. Posuwał się po omacku, w pewnej chwili jak nietoperz wyczuł, że coś zagradza mu drogę, dotykiem odnalazł drzwi.

Klamka? Tak, była.

Uchylił drzwi i oślepiły go ostre promienie słońca. Zasłonił oczy.

Znów znalazł się w dolinie Gjäin. W trochę innym miejscu, nieco wyżej ponad wejściem do grotty, przy przecudnych wodospadach.

Drzwi zamknęły się za nim. Odwrócił się i ujrzał gołą skałę, ani śladu jakiegokolwiek wejścia.

Oczywiście czuł się zawiedziony, ale nie miał wrażenia, by go stąd wyrzucono.

Elfy i Starzec okazywali mu życzliwość, obdarzyli przywilejami. Teraz jednak wyznaczony mu czas w innym świecie dobiegł końca. Musiał wrócić do świata ludzi.

Gdy jechał przez udręczoną, pokrytą popiołami dolinę rzeki Thjorsa, usłyszał echo, głosy karłów, płynące od gór w oddali:

- Niech ci się wiedzie, Dolgu Lanjelinie, nasz wybawicielu! Dziękujemy ci, będziemy śledzić twoją podróż przez jałowe ziemie Islandii. Jedź prędko, pędź co koń wyskoczy, bo niebezpieczeństwo wciąż się czai!

Kolejne ostrzeżenie. Pomachał ręką, by podziękować i dać znak, że usłyszał.

Zapomnieli o moim trzecim imieniu, Matthias, uśmiechnął się. Wykorzystam je w innych okolicznościach, nie tutaj wśród tych, którzy zdają się nie należeć do królestwa niebieskiego.

Ale co tak naprawdę wiedzą o tym ludzie?

Rodzina Dolga i młody Bjarni na widok czerwonego kamienia nie posiadali się z podziwu. Uznali, że to musi być rubin, chociaż zważywszy na rozmiary kuli wydawało się to dość nieprawdopodobne. Ewentualnie mógł to być czerwony granat. Inne kamienie nie wchodziły w rachubę.

- Moja matka nie miałaby wątpliwości - stwierdziła Tiril. - Wie wszystko o szlachetnych kamieniach i ich właściwościach.

- Powiedz nam od razu coś o rubinach i granatach - poprosił Dolg.

- Zobaczmy, ile pamiętam - zamyśliła się Tiril. - Rubin? To kamień przywracający zdrowie. Oczyszcza krew i wzmacnia serce, potrafi leczyć choroby, chociaż nie

pamiętam, jakie, jeśli przyłoży się go do odpowiedniego miejsca na ciele. Pomaga na zmęczenie, napięte mięśnie i zziębnięte stopy...

- Innymi słowy poprawia krążenie krwi - zauważył Móri.

- Tak. Posiada też inne właściwości. Na przykład odejmuje strach przed autorytetami i wzmacnia poczucie własnej wartości.

- Świetnie! - mruknął Villemann.

- Człowiek zaczyna wierzyć w siebie - skonkludował Móri.

- Właśnie - potwierdziła Tiril. - Człowiek czuje, jak z jego wnętrza napływa pewność. Dlatego dobry jest dla ludzi w depresji.

- Niewiele nam to mówi - zniecierpliwiał się trochę Dolg. - A jak jest z granatem? Co mówiła o tym babcia?

- Nie bardzo pamiętam - nerwowo zaśmiała się Tiril. - Niech się zastanowię... Czerwony granat ściąga człowieka w dół, a rubin wynosi go w górę. Granat reprezentuje śmierć i odrodzenie, pomaga wrócić do wcześniejszych wcieleń... ma związek z ziemską miłością, to znaczy...

- Wiemy, co masz na myśli, mówiąc o ziemskiej miłości, Tiril - rzekł z uśmiechem Móri. - Po prostu unikasz nieprzyjemnych słów.

Tiril parsknęła śmiechem i podjęła:

- Uczy człowieka pewności siebie w pozytywnym rozumieniu tego pojęcia.

Wzmacnia kreatywność, efektywność, siłę woli, niesie ze sobą dumę i postęp.

- Naprawdę sporo pamiętasz - pochwalił żonę Móri.

- Owszem, kiedy się zastanowię. Wiesz, że trochę wolno myślę.

- Do tej pory jakoś tego nie zauważyłem. Coś jeszcze?

- Hm, ma też wpływ na miłość, różnego rodzaju, i na nienawiść. Pomaga widzieć w ciemności, daje siłę i moc. Granat to kamień mocy.

Popatrzyli po sobie trochę zawiedzeni.

- A więc nie posunęliśmy się dalej - zmartwił się Villemann.

- To prawda - przyznał Dolg. - Żaden z tych opisów nie zgadza się z tym, który usłyszałem we wnętrzu skały.

- Masz rację. Chociaż ja upierałbym się przy granacie.
- Ja także. Chyba że chodzi o zupełnie inny szlachetny kamień.
- Nie ma znów tak wielu czerwonych kamieni - zastanawiała się Tiril. - Ale macie rację, mnie także nie wydaje się, aby to był rubin. Nie pasuje mi odcień, połysk ani wielkość.

- Jakie rozmiary mogą osiągać czerwone granaty?

- Nie mam pojęcia. Ale czy granat nie jest kamieniem półszlachetnym?

- Ja tak nie uważam - stwierdził Móri. - Ale istnieje wiele różnych odmian granatów, czy też karbunkułów, jak się je również nazywa. Ten kamień ma tak ciemnoczerwoną barwę, że przynajmniej tymczasem uznamy go za granat. To nie jest rubin. Zgadzacie się ze mną?

Wszyscy pokiwali głowami.

Dolg rzekł z wahaniem:

- Bo przecież może chodzić o zupełnie nieznaną odmianę minerału.

- Skąd by się wziął? - ostro spytał Villemann.

Dolg wzruszył ramionami.

- Hm, no właśnie - uśmiechnął się dwuznacznie.

- Coś w tym może być - przyznał Móri. - Tak mało wiemy o wymiarach, po jakich się poruszasz.

Dawny lud, przepadłe królestwa, zapomniane światy...

Skąd wziął się jego zaginiony lud? Co się z nim stało?

Tiril zaraz przygotowała skórzany woreczek dla granatu. Dolg jednak uznał, że trudno mu będzie nosić przy sobie obydwie kamienie, miał wrażenie, że nie byłoby to właściwe, zwłaszcza teraz, kiedy nic im nie zagrażało.

Pytająco spojrzął na ojca, ale Móri ledwie dostrzegalnie pokręcił głową.

Dolg zrozumiał.

- Villemannie - rzekł spokojnie. - Czy zaopiekowałbyś się szafirem do czasu, kiedy znów będę go potrzebował? Nie mogę ci powierzyć czerwonego kamienia, bo on jest zbyt niebezpieczny.

Villemann z radości pokraśniał na twarzy.

- Chcesz powiedzieć, że...?

- Ojciec i ja nie widzimy nikogo, kto by się lepiej do tego nadawał.

Młodszy brat raz po raz przełykał ślinę, potem odwrócił się, żeby ukryć błyszczące od łez oczy.

- Będę na niego bardzo uważał, Dolgu.

- Wiem. Zdasz sobie sprawę z tego, że być może szafir wydłuży ci życie? I uczyni bardziej jasnowidzącym?

- Czy to miałyby być wada? - Villemann uśmiechnął się szeroko.

- Nie, ja też tak nie uważam.

Gdy dosiadali koni, by powrócić do cywilizacji, Dolg się roześmiał:

- A źli rycerze gonili nas, by nam odebrać szafir! Możemy chyba stwierdzić, że im się nie udało, bo przecież zamiast stracić kamień, zyskaliśmy jeszcze jeden! Teraz więc mamy dwa.

- Szkoda, że o tym nie wiedzą - uśmiechnęła się Tiril.

- Dziwne, że więcej ich nie spotkaliśmy - powiedział Dolg, teraz już poważniejszy.

- Musieli zgubić ślad - stwierdził Villemann.

- My do niczego nie jesteśmy im potrzebni - rzekł Móri. - Przecież nie o nas im chodziło, tylko o niebieski kamień. A on...

Urwał. Popatrzyli po sobie, potem przenieśli spojrzenia na Bjarniego.

Dolg pobiełał na twarzy.

- O czym my w ogóle myśleliśmy?

- Całkiem zapomniałam - przyznała Tiril. - Dobry Boże, Dolgu!

- Widzieli przecież, że spadłem z urwiska w dolinę - szepnął przerażony. - Musieli tam pojechać!

Nareszcie Bjarni zrozumiał, o co im chodzi.

- Matka? Moja matka?

- Jest sama! A ponieważ mnie tam nie znajdują, rozumieją, że to ona się mną zajęła. A więc Starzec i wszyscy inni mieli na myśli właśnie to, mówiąc o niebezpieczeństwie.

- Ale dlaczego nas nie uprzedzili? - poskarżyła się Tiril.

- Chcieli, żeby najpierw załatwić ich sprawy - powiedział Dolg drżącym głosem. - I przez cały czas powtarzali, że mamy czas. Ale teraz trzeba się spieszyć!

- Tak! - poparł go Bjarni. - Czy możemy jechać szybciej?

- Nie wiem - rzekł Dolg z powagą. - Zastanawiam się, czy...

Namyślał się.

- Nad czym tak dumasz? - cicho spytała Tiril.

- Czy możemy poprosić o pomoc. Przebyć tę odległość w czasie elfów, jak ostatnio.

- O, tak! - zapalił się Bjarni, a Móri i Tiril mu zawtórowali.

- Nero - polecił Villemann. - Wskakuj na konia przede mnie!

Nero siedział razem z nim również podczas szalonej jazdy z Ófaerufoss do Gjäin.

Pies natychmiast usłuchał, ale nie obyło się bez popiskiwania i drapania, i śmiechu Villemanna, parskania i wierzganania konia. Wreszcie jednak się udało i wszyscy trzej się uspokoili.

Dolg zwinął dłonie w trąbkę.

- Karły i elfy Islandii! - zawołał w stronę gór. - Mamy mało czasu. Czy możecie umożliwić nam taką jazdę, jak ostatnio?

Na moment zapadła cisza, ale wkrótce rozległa się odpowiedź:

- Uczynimy wszystko dla ciebie i twoich towarzyszy, Dolgu z dawnego ludu!

- To karły - szepnął Dolg.

Potem odpowiedziały elfy:

- Lanjelinie, winni ci jesteśmy ogromną wdzięczność. Wiemy, że musicie się spieszyć. Ruszajcie, jakby czas się zatrzymał!

- Dziękuję! - odkrzyknął Dolg.

Popędzili konie. I znów rozpoczęła się szaleńcza gonitwa, jakby czas przestał istnieć. Konie nie odczuwały zmęczenia, chociaż przed oczami jeźdźców krajobrazy zmieniały się tak prędko, że zlewały się w jedno.

Jechali przez pustkowia. Unikali zamieszkanymi okolic, bo nie wiedzieli, jak zareagują na nich ludzie. Nie mieli pewności, czy dla nich jadą normalnie, czy też przedstawiają się im jako ulotne wizje, a może w ogóle nie są widoczni?

Wielki Gejzer pozdrowił ich gwałtownym wybuchem. Z dala widzieli połyskujący wszystkimi kolorami tęczy Gullfoss, minęli go i wjechali do położonej na odludziu doliny Halli.

Dolg nie mógł zapanować nad napięciem. Śmiertelnie się bał o tę życzliwą, samotną kobietę, tak cierpiącą z powodu rozstania z synem, którą na dodatek on sam wpędził w kłopoty.

Rozdział 17

Sześciu braci zakonnych za wszelką cenę starało się przedostać do doliny. Ruszyli piechotą przez Kjölur z nadzieją na znalezienie chłopskiej zagrody lub po prostu pasących się koni, ale nie mogli pozbyć się wrażenia, że wszystkie konie Islandii pochowały się przed nimi.

Im dłużej maszerowali, tym bardziej ordynarne i prymitywne stawały się ich przekleństwa. Narzekali na poobcierane nogi i głód, cały prowiant wszak załadowany był na wierzchowce. Płynąca strumieniami woda o smaku lawy nie na długo mogła napełnić brzuchy.

Kiedy nareszcie znaleźli drogę prowadzącą w dół, mieli za sobą trzy doby marszu. Miejsce, gdzie zaczęli się spuszczać, trudno zresztą nazwać drogą, a nawet ścieżką, bo nie chodziły tamtędy chyba nawet zwierzęta. Był to po prostu wąziutki, opadający dość stromo występ skalny.

Trudy podróży nie wpłynęły dobrze ani na stosunki w grupie, ani też na nastroje. Falco z trudem utrzymywał dowództwo, każdy z braci miał inne zdanie na temat dalszych poczynań.

Dolgowi i jego rodzinie życzyli wszystkiego co najgorsze, piekielnych czeluści, jeśli w ogóle takie miejsce jak piekło istnieje. Nibbio, po Falconie najwyższy rangą, wykazywał chęci objęcia dowodzenia oddziałem. Tiburón, Rekin, zarzekał się przy wszystkich, kto tylko chciał go słuchać, że własnoręcznie pokroi Dolga na kawałki, kiedy tylko go znajdzie. Pozostałych także, w odwecie za wszelkie poniżenia, jakich doznać musieli dzielni rycerze.

Przebiegłe twarze Lupo, Serpente i Sciacalla zdradzały żądzę mordu na każdym, kto by się nawinął pod rękę. Chętnie na własnych towarzyszach, gdyby stanęli na przeszkodzie.

Siódmego rycerza, Ghiottone, już z nimi nie było. Śmierć dopadła go na nagiej ziemi Kjölur.

Wszyscy bracia zakonnicy, opuszczając Południe i udając się w pościg za czarnoksiężnikiem Mórím i jego rodziną, byli niezwykle dumni i wyniośli. Dla każdego, kto stanął im na drodze, stanowili potworne zagrożenie, nie znali słowa "klęska". Z przeciwnikami rozprawiali się szybko i bezwzględnie.

Dumni byli ze swych barwnych strojów. Świadczyły one o ich dostojności, o godności członków Zakonu Świętego Słońca. Znak Słońca był ich chlubą, noszony na szyi zapewniał bezpieczeństwo.

Zdawali sobie jednak sprawę, że czarnoksiężnik, a także jego najstarszy syn są ogromnie niebezpieczni dla Zakonu. Wiedzieli, że wielu rycerzy padło w walce z tą rodziną.

Oni jednak nigdy nie tracili wiary w zwycięstwo, nie przychodziło im do głowy, że mogliby się wycofać, ani tym bardziej polec w walce. Byli wszak niezwyciężeni.

A teraz Rosomak nie żył. Niesłychane, niepojęte! Pozostali zaś doznali upokorzeń, przekraczających wszelkie granice. Bez koni, bez jedzenia, w obcym, niecywilizowanym kraju, do którego nigdy nie zgodziliby się przyjechać, gdyby nie ściągnęła ich chęć zawładnięcia szafirem.

Przynajmniej udało im się zabić syna czarnoksiężnika o paskudnym imieniu Dolg.

Cóż to zresztą za imię, kto jeszcze się tak nazywa, to nie imię, to tylko

przypadkowe połączenie liter. W każdym razie Dolg nie żył, spadł z urwiska w przepaść. Mogli teraz spokojnie po prostu zabrać kamień.

Istniało jedynie ryzyko, że kula uszkodziła się podczas upadku, może pękła na dwie albo i więcej części?

Trudno jednak im było w to uwierzyć. Przecież to magiczny kamień. Starzy rycerze Zakonu twierdzili, że zapewni im niesłychanie długie życie, da wiedzę o świecie, przyniesie bogactwo, miłość i szczęście.

Wszystko, czego tylko zapragną.

A potem okazało się, że zejście w dolinę jest prawie niemożliwe.

Spuszczanie się w dół wymagało niesłychanego wysiłku. Wiele razy mało brakowało, a któryś runąłby w przepaść. Uratowali się cudem.

Ale ich duma doznała poważnego uszczerbku.

Planowali za to srogi odwet. Śmierć czekała nie tylko rodzinę czarnoksiężnika, lecz także wszystkich napotkanych mieszkańców tego nędznego kraju, a szczególnie wszystkie nieprzydatne im konie. Postanowili zarżnąć owce i po najedzeniu się do syta zabijać je dalej dla samej przyjemności zabijania, bo dla myśliwych i twardych mężczyzn patrzenie na śmierć żywych istot to sama radość.

Wszystko i wszyscy, którzy tylko staną im na drodze, mieli zginąć w odwecie za poniżenia, których doznali na tej paskudnej, pozbawionej roślinności wyspie.

Żaden z sześciu mężczyzn nie potrafił dostrzec uroku jałowych, pustych przestrzeni. Uznawali tylko to, co stworzyli ludzie. Przyroda? Co to takiego? Ona po prostu jest, nie można się od niej oderwać, jeśli się nie zamieszka w mieście. A bracia byli typowymi ludźmi miasta.

Czwartego dnia do pokonania została im ostatnia część stromizny. Musieli nocować na skalnej półce, wcisnąwszy się za kilka wystających kamieni i dwie mizerne brzoźki.

Wcześniej zauważyli w dolinie samotną zagrodę, ale w tamtym miejscu żadnym sposobem nie byli w stanie zejść na dół. Teraz się od niej oddalali, ale wszyscy

jednogłośnie zdecydowali, że muszą się dostać do gospodarstwa. Zabrać konie, zarznąć owce i wymordować mieszkańców.

Nie mogli się już tego doczekać.

Nazajutrz po nie przespanej nocy ruszyli dalej. Mogli posuwać się tylko jedną drogą wzdłuż urwiska, lekko schodzącą w dół, lecz coraz węższą.

Droga? To zbyt wielkie słowo wobec marnych możliwości posuwania się wzdłuż skały. Tędy nikt dotąd nie szedł.

Ale musieli przecież dostać się na sam dół!

Ominęli niewielki występ.

I tu nastąpił kres ich wędrówki.

- Zawracamy! - zawołał Falco, który dotarł najdalej wzdłuż półki, tak wąskiej, że prawie jej nie było. Palcami usiłował wymacać szczelinę, której mógłby się przytrzymać. Przed nim rozpościerała się jedynie gładka skalna ściana.

- Zawracać? - wrzasnął Tiburón, idący na końcu. - Nie ma mowy o powrocie.

Zejdzie nam na tym cały dzień albo jeszcze więcej!

- Z całą pewnością nie ma mowy o posuwaniu się naprzód!

Spojrzeni w dół i zadrżeli. Pod nimi widniała przepaść.

Dwaj rycerze, znajdujący się pośrodku, zaczęli się niecierpliwic. Głód jeszcze wzmógł rozdrażnienie. Nie chcieli zawracać, całodzienna wędrówka skrajem przepaści była taka wyczerpująca. Popchnęli Nibbia, Jastrzębia, aby ruszał dalej, a ten wpadł na Falcona, który nie miał się czego złapać. Z gniewem zaprotestował głośno, ale stracił równowagę i runął w dół. W ostatniej chwili przytrzymał się palcami krawędzi półki, na której stał.

Zawisł w powietrzu, koniuszkami palców uczepiwszy się wąziutkiego występu skalnego.

- Pomóżcie mi, do czarta! - sykiem wydał rozkaz.

Podniósł wzrok i napotkał w górze zimne spojrzenie Nibbia. Tamci stali jak przyklejeni do skały, a on wisiał u ich stóp, przez co perspektywa była naprawdę

groteskowa. Dobrze widział jednak twarz Nibbia jak wykuta w kamieniu, jej wyraz, a raczej brak wyrazu. Zrozumiał, że to wyrok.

- Zawracamy - oznajmił Nibbio pozostałym.

Pomrukując gniewnie rycerze z samego końca zaczęli się cofać. Rozzłoszczeni dlatego, że muszą zawracać, a nie dlatego, że pozostawili Falcona na pastwę losu.

Mroczna twarz Falcona jeszcze pociemniała.

- Nibbio! - wrzasnął.

Jedyna odpowiedź, jakiej się doczekał, brzmiała:

- Jastrząb jest znacznie większy niż nędzny sokół!

- Czeka cię za to śmierć!

- Raczej ciebie - odparł Nibbio lodowatym tonem i ostrożnie zaczął piąć się w górę.

Po chwili cała piątka zniknęła za występem skalnym.

Falco nie miał zamiaru się poddawać. Od dawna wiedział, że Nibbio tylko czyha, by przejąć dowodzenie.

Złość wywołana zdradą dodała mu niezbędnych sił. Nadludzkim wysiłkiem zdołał przesunąć się na tę część półki, która była odrobinę szersza; dzięki temu dłonie miały się czego schwycić. Znalazł także maleńką szparę, w którą mógł wsunąć czubek buta. Wycieńczonemu po dniach bez jedzenia podciągnięcie się w górę zajęło bardzo wiele czasu; często i długo musiał odpoczywać. Chwilami ogarniała go chęć, by zrezygnować, lecz za każdym razem zaciskał zęby i zaczynał od nowa.

Nibbiowi nie ujdzie to na sucho!

Najtrudniejsze okazało się przyjęcie pozycji stojącej na tej straszliwie wąskiej półce. Zdołał jednak przesunąć się odrobinę tam, gdzie półka nieco się rozszerzała. Z nadzwyczajną ostrożnością podciągał się w górę skalnej ściany, czuł, jak strach przed upadkiem paraliżuje ciało, kiedy tracił równowagę.

Nareszcie stanął, przez dobrą chwilę musiał czekać przyciśnięty do skały, by wyrównać oddech, uspokoić napięte nerwy.

W końcu rozpoczął powrotną drogę, czując we krwi palącą żądzę mordy.

Tym razem pragnął zabić nie tylko Dolga i rodzinę czarnoksiężnika, zemścić się chciał także na swych towarzyszach, przede wszystkim na Nibbiu.

Żaden z nich nie podjął najmniejszej nawet próby, by mu pomóc, żaden.

Ale w tej chwili wszyscy byli daleko.

Zejście w dolinę zabrało pięciu rycerzom rozbójnikom bardzo dużo czasu. Ił.

Wreszcie góra była za nimi, ale wciąż znajdowali się daleko od miejsca, gdzie, jak widzieli, runął syn czarnoksiężnika wraz z drogocennym kamieniem.

Dotarcie do urwiska trwało także długo.

Na oko obliczyli, gdzie mógł spaść.

- Musimy wspiąć się dokładnie w tamto miejsce - stwierdził Nibbio. - Ruszajcie!

- Nie możemy najpierw zajrzeć do tej zagrody? - zaprotestował Sciacallo. -

Wszyscy jesteśmy wygłodzeni.

- Ja też od dawna nie jadłem - osadził go Nibbio. - A mogę jeszcze się wstrzymać i najpierw odnaleźć szafir!

W grupie o mały włos nie wybuchł bunt. Nibbio w wielu oczach ujrzał nienawiść, ale postanowił być twardy. Na wszelki wypadek chwycił za miecz, tamci burknęli coś pod nosem, lecz po takim ostrzeżeniu usłuchali.

Długo szukali, dzień przerodził się w wieczór. Wreszcie musieli przyznać, że znenawidzony Dolg jeszcze raz wyprowadził ich w pole.

Znaleźli jednak ślady, jakby coś ciągnięto. Łatwo było iść tym tropem.

Prowadził na skraj lasu do miejsca, wyraźnie wydeptanego przez konia.

- Zagroda - powiedział Lupo.

Pokiwali głowami. Zagroda oznaczała jedzenie i dach nad głową. I niebieski szafir.

Marny los ludzi, którzy tam mieszkają!

Dzięki jeździe na sposób elfów Dolg i jego przyjaciele przybyli do zagrody Halli przed rycerzami.

Niewiele mieli czasu na ceremonię powitania i łyzy radości. Halla już wcześniej na leśnej drodze prowadzącej ku urwisku dostrzegła kilku mężczyzn w kolorowych szatach.

- Dzięki Bogu, że przybyliśmy w czas - mruknął Móri.

Wiedział, że gdyby przyjechali choćby kilka minut później niż bracia zakonni, rycerze bez skrupułów podciąliby Halli gardło, zabili wszystkie zwierzęta poza koniem i splądrowali zagrodę. W duchu dziękował elfom za pomoc.

Halla stała na podwórzu, gdy ujrzała nadjeżdżający orszak Móriego. Z początku nie wierzyła własnym oczom. Tylu ludzi, tutaj?

Potem dostrzegła Dolga i poczuła, jak fala radości zalewa całe ciało. Przy nim jechał młody chłopiec, który z zapalem do niej machał.

Bjarni?

Nie, to nie mógł być on, postanowiła nie robić sobie płonnych nadziei. Ale taki podobny do Bjarniego, tyle że znacznie wyższy.

To był Bjarni!

Ruszyła biegiem wraz z Teiturem, szczekającym na widok tak wielu przybyszów.

Halla całkiem zapomniała o kolorowo ubranych podróżnych, których dopiero co widziała w lesie, oczu nie mogła oderwać od Bjarniego.

Chłopiec zeskoczył z konia, zanim wjechał na podwórze, i popędził jej na spotkanie.

Nie jest wrogo nastawiony, pomyślała, czując, jak płacz ścisną ją w piersiach. Nie usłuchał złych języków, nie uwierzył, że nie chce go więcej widzieć! W każdym razie teraz już tak nie myśli. Może Dolg mu to wytłumaczył.

Kochany, dobry Dolg.

Potem jej myśli zajmował już tylko Bjarni.

Móc trzymać go w objęciach, czuć jego policzek przy swoim, jak on wyrósł, jaki jest śliczny! Teitur skakał na chłopca, Bjarni musiał wysunąć się z ramion matki i przywitać z psem. Potem Teitur zajął się Nerem, obaj stanęli na sztywnych łapach,

zastrzygli uszami, ostrożnie się przybliżali. Villemann bacznie obserwował zwierzęta. Przyrowadzanie obcego psa na teren innego to poważna sprawa! To dobra kobieta, doszła do wniosku Tiril, przyglądając się jednemu prawdziwemu przyjacielowi, jakiego kiedykolwiek miał Dolg. Sądzę jednak, że nie istnieje żadne niebezpieczeństwo. Ona go lubi, owszem, ale stara się ukryć, jak bardzo. On wydaje się całkiem niewinny, cieszy się, że ją widzi, natychmiast znów nawiązują kontakt, ale taki, jaki powstaje między dwiema pokrewnymi duszami. Ja także zaprzyjaźniłabym się z Hallą, gdybym spotkała ją wcześniej. To naprawdę dobra dusza, warto się o nią troszczyć.

Jestem niemądra, wyrzucała sobie Tiril. Dolg może się interesować, kim tylko chce. Po prostu przeraziłam się, że mógłby się związać z kobietą tyle od niego starszą. Ale czy cokolwiek w jego zachowaniu, kiedy mówił o Halli, świadczyło, że się w niej zakochał? Nigdy! Teraz także nie, okazuje jej wyłącznie przyjaźń. Łączy ich piękna przyjaźń, taka jaką się rzadko spotyka, niezwykle cenna, nie chcę jej zniszczyć niemądrymi słowami. Zresztą nie miałam zamiaru nic mówić.

Przyglądała się, jak Halla i Dolg podają sobie ręce i promiennie się do siebie uśmiechają. Dolg nigdy nikogo nie obejmował, a jeśli ktoś jego pochwycił w ramiona, odnosiło się zawsze wrażenie, że źle się czuje w takiej sytuacji.

- Mówiłem przecież, że zwrócę ci konia - oświadczył wesoło Halli.

- Przybywasz nie tylko z koniem - odpowiedziała.

Villemann zajęty był przyglądaniem się krótkiemu starciu psów o prestiż. Teitur musiał udowodnić, że to jego rewir, ale Nero był starym, mądrym psem i nie tracąc nic ze swojej godności dał Teiturowi do zrozumienia, że to akceptuje.

Pokój został zawarty, pozycje obu psów ustalone. Teitur zapewne miał świadomość, że niewiele miałby do powiedzenia przy olbrzymim Nerze, gdyby znaleźli się poza jego włościami.

- Masz wspaniałego brata, Dolgu - z uśmiechem rzekła Halla. - Opowiadałeś mi o nim, ale nie przypuszczałam, że jeszcze ktoś naprawdę może być równie sympatyczny jak ty.

Słowa te płynęły prosto z serca, nie były kurtuazyjnymi komplementami, i Halla w jednej chwili podbiła również serce Villemanna. Sympatię Móriego zyskała już dawno. Bardzo się cieszył, że zdążyli przybyć na czas.

Gdy tylko weszli do domu, zaraz wyłożył swój plan. Musieli pokonać wysłanników Zakonu Świętego Słońca, teraz albo nigdy. Mężczyzn widać już było z daleka.

Wędrowali przez dolinę, utrudzeni.

- Jest ich tylko pięciu - stwierdził Villemann. - Gdzie szósty?

- Może pokonał go głód i zmęczenie? - podsunęła Tiril. - Musieli bardzo cierpieć, mam niemal wyrzuty sumienia.

- Nie wolno ci żałować zakonnych braci - ostro sprzeciwił się Móri. - Nie dostaną nic ponad to, na co sobie zasłużyli.

- Ale przecież to żywe istoty!

- Już nie. Zakon Świętego Słońca wywarł na nich wpływ, nauczono ich zabijać wszystkich, którzy ośmielą się stanąć im na drodze. Na Kjölur widziałas ich twarze. Czy dostrzegłaś na nich choćby cień miłosierdzia?

- Nie, ale... Masz rację, ich serca całkiem skamieniały.

Móri zwrócił się do Halli:

- Słyszałaś, że towarzyszą nam duchy, prawda?

- Tak, Dolg o tym wspominał. Dokonał też niesamowitych rzeczy, posługując się swoim niebieskim kamieniem, który tak bardzo pragną zdobyć ci ludzie.

- To prawda. Hallo, musimy wezwać moich przyjaciół, sami sobie z tym nie poradzimy. Tych mężczyzn chronią potężne moce. Może ci być trudno znieść widok duchów, nie przeraż się. One chcą tylko naszego dobra. Bjarni... to dotyczy także ciebie.

Chłopiec, nieco wystraszony, uroczyście kiwnął głową.

Móri zaczerpnął powietrza i odchylił głowę w tył. Usłyszeli, jak wzywa duchy, mówił między innymi:

- Prosilicie, abysmy pozwolili wam wziąć udział w interesującej przygodzie. Czy podejmiecie walkę ze złymi rycerzami?

- Z największą radością, Móri z rodu islandzkich czarnoksiężników. Służenie ci pomocą bywa prawdziwą przyjemnością. Czasami jesteś po prostu nudny i zmuszasz nas do bezczynności przez nieskończenie długi czas. Jaki jest twój plan?

W czasie przemowy Nauczyciela ukazały się wszystkie duchy, całkiem spora kuchnia Halli nagle wydawała się za ciasna. Bjarni starał się trzymać dzielnie, ale dwóch przybyszów miało wygląd tak straszny, że poczuł się słabo.

Móri rozdzielał zadania:

- Zwierzę, zabierzesz Nera i Teitura, będziecie chronić wszystkie zwierzęta, i te na zewnątrz, i w stajni, i w oborze. Opiekuj się także Teiturem, jest bardziej dzielny niż rozważny. Nero da sobie radę, on i Teitur będą ci pomagać. Teitur... Pamiętaj, nie szczekaj!

Straszne Zwierzę zaraz opuściło dom, a oba psy bez wahania ruszyły za nim.

Halla przypatrywała się temu oniemiała. Przecież Teiturowi nikt nic nie mówił!

Skąd on i Nero wiedzieli, czego się od nich oczekuje?

Móri uśmiechnął się, ale z jego oczu biła powaga.

- Możesz mi wierzyć, intruz, który spróbuje sobie przyrządzić kotlet jagnięcy, gorzko pożałuje!

Halla odpowiedziała drżącym uśmiechem. Trochę było tego dla niej za wiele.

Duchy zniknęły.

Tiril popatrzyła na kuchenny stół.

- Tak pięknie tu pachnie świeżym chlebem, widzę bochny. Kiedy ci zbóje przyjdą, na pewno przede wszystkim będą chcieli czegoś do jedzenia. Zaproponuj im chleb, to sprawi, że zachowasz życie do czasu, kiedy my będziemy gotowi się nimi zająć. Nie powinni nas od razu zauważyć, coś wtedy może pójść nie tak.

Halla przerażona kiwnęła głową. Móri powiedział:

- Dobrze, bo są już na dziedzińcu, nie zdążę wydać następnych rozkazów.

Będziemy w sąsiedniej izbie, Hallo. Ale nie bój się, w kuchni zostaną z tobą duchy,

choć nikt ich nie zobaczy. Żaden ze złych rycerzy nie zdąży wyrządzić ci krzywdy, przyrzekamy!

- Dziękuję, tak się cieszę, że przybyliście przed nimi - szepnęła Halla.

- Ja także. - Móri uśmiechem chciał dodać jej otuchy.

Villemann wyjrzał przez okno.

- Ojcie! Spójrz! Nadchodzi szósty!

Wyjrzeni wszyscy, którzy tylko zmieścili się przy oknie. Szósty rycerz szedł z zagajnika nad zagrodą, ubranie miał poszarpane i brudne.

- Skąd on idzie? - zastanawiał się Móri. - Tamci wydają się zaskoczeni jego widokiem.

- Czy to nie ich przywódca? - spytał Dolg. - Miałem wrażenie, że ten ciemnowłosy nimi rządził.

- Tak, to on. Uważajcie, żeby was nie dostrzegł. Sprawiają wrażenie bardzo wrogo do siebie nastawionych!

- Pozwolicie mi zgadywać? - zapytał Dolg. - Przypuszczam, że porzucili go na pustkowiu na pewną śmierć, a oto on się pojawia. To wywołuje nienawiść.

- Chyba masz rację - przyznał Móri. - Bo kłóci się z tym drugim wysokim, ubranym w granatowo - srebrną szatę, przypominającym upiora z tą łysą czaszką i czarnymi oczami.

- Jest paskudny - ocenił Bjarni.

- Wszyscy są okropni - powiedziała Tiril. - Mój Boże, ci dwaj wyciągają miecze!

- Świetnie - ucieszył się Villemann. - Niech się nawzajem pozabijają, będziemy mieć ich z głowy.

- Najwidoczniej znów walka o władzę - mruknął Móri, nie dając po sobie poznać, że dotarła do niego beztraska wypowiedź syna. - Możemy być jedynie widzami. Patrzyli, jak Falco i Nibbio podskakują jeden obok drugiego, ostrożnie, na próbę. Delikatny cios, szybkie parowanie.

- To do niczego nie doprowadzi - zniecierpliwiał się Villemann.

- Racja - przyznał Móri. - Obaj dla ochrony noszą znak Słońca i obaj potrafią się doskonale fechtować.

Grupa rycerzy zakonnych czekała w milczeniu, podczas gdy dwaj przywódcy usiłowali rozstrzygnąć walkę. Najwidoczniej obojętne im było, kto wygra.

I nagle... Falco uczynił jakiś ruch.

- Co on robi? - zdziwiła się Tiril.

Zobaczyli, jak Falco w błyskawicznym ataku przystawia czubek ostrza miecza do szyi Nibbia, tuż pod uchem. Ale nie wbił go, lecz podniósł!

- Łańcuch - szepnął Villemann.

I tak też było. Gwałtownym ruchem, który niemal złamał Nibbiowi kark, Falco zerwał mu z szyi łańcuch ze znakiem Słońca.

W następnej chwili wbił mu miecz w serce.

Kobiety w oknie odwróciły się wstrząśnięte.

- To okropne - szepnęła Tiril.

- Nie chcę, by leżał w mojej ziemi.

- Zajmiemy się nim później - obiecał wielkodusznie Villemann. - Teraz nadchodzą.

- Prędko! Ukryjcie się! - nakazał Móri. - Duchy! Zajmijcie pozycje.

- Możesz być całkiem spokojny - rozległ się głęboki głos w pobliżu.

Rozdział 18

Falco zemścił się na Nibbiu, ale pozostawało jeszcze rozprawienie się z innymi.

- Żaden z was nie przyszedł mi z pomocą - oświadczył ponuro. - Nie zapomnę o tym. Zdobędziemy tutaj to, czego nam potrzeba, i pojedziemy dalej. Później przyjdzie kolej na was.

Pogróżki mogły okazać się ryzykowne, lecz Falco był pewien swej nieśmiertelności. Nikt nie zdoła go pokonać bez względu na to, jak jest przebiegły i żądny krwi.

Ruszyli ku spokojnemu, cichemu domostwu.

- Lupo! Sciacallo! - wydał rozkaz Falco. - Lupo, ty sprawdzisz w stajni, czy mają tu jakieś konie. A ty, Sciacallo, zobacz, czy w zagrodzie dla owiec są jakieś zwierzęta. Na początek zarznij ze dwa jagnięta, posilimy się.

Obaj ruszyli we wskazanym kierunku. Pozostali trzej rycerze skierowali się do budynku mieszkalnego.

Natychmiast wyczuli zapach świeżego chleba. Rzucili się na bochny, nie zważając na przerażoną kobietę w progu sąsiedniej izby. Halla wiedziała, że duchy stoją przed nią i będą ją osłaniać, ale mimo wszystko przeraziło ją zachowanie mężczyzn. Szarpali chleby jak dzikie zwierzęta, zachłannie pili mleko prosto ze stojącego obok skopka, pochłaniali pożywienie.

W końcu odwrócili się do Halli. Z oczu wyzierała im dzikość.

- Masz jakieś konie, babo? - groźnym tonem spytał Tiburón.

- Tylko jednego. Nie, dwa - poprawiła się. Przecież Dolg przyprowadził drugiego konia.

- Dwa? Na drodze są ślady wielu wierzchowców...

A więc zauważyli odciski kopyt koni Móriego i jego towarzyszy. Villemann zaprowadził zwierzęta do stajni, aby odpoczęły po szaleńczej gonitwie, elfiej jeździe.

- To nie moje konie - broniła się Halla.

- Nie obchodzi nas, czyją są własnością - pogardliwie parsknął Tiburón. - Lupo się nimi zajmie.

Ale Lupo i Sciacallo napotkali przeszkody.

Sciacallo zbliżył się do zagrody dla owiec, wyjął z pochwy długi nóż i naostrzył go o cholewkę. Potem upatrzył sobie najbardziej odpowiednie jagnię.

Owce spojrzały na niego zdziwionymi, przerażonymi oczyma i nagle, jak na komendę, zaczęły uciekać, lecz Sciacallo był szybki. Błyskawicznie rzucił się na wybrane jagnię.

Nie zdołał go jednak pochwycić, chociaż wszystko wskazywało na to, że mu się uda. Nagle bowiem pojawił się przed nim wielki czarny pies i z wściekłością ruszył do ataku.

Pies czarnoksiężnika! To znaczy, że tu są, musi ostrzec innych!

Atakiem psa się nie przejął, trzymał wszak w ręku długi nóż.

Okazało się jednak, że nie może podnieść ręki. Pies przewrócił go na ziemię i nachylił się nad nim z obnażonymi zębami, warcząc groźnie. A ktoś stanął mu na ręku, na nadgarstku!

Poczuł, jak żołądek skręca mu się ze strachu i obrzydzenia. Najohydniejsza postać, jaką można sobie wyobrazić, wyłoniła się z nicości. Był to Duch Zgasłych Nadziei, najstraszniejszy chyba ze wszystkich duchów Móriego.

Istota zaśmiała się drwiąco.

- Nie możemy cię zabić, nikczemniku. Ale nic nie powstrzyma nas od rozerwania cię na kawałki, podczas gdy twoje serce wciąż będzie bić - głuchym głosem oświadczyła zjawa. - Wstawaj teraz i dołącz do innych. Dla własnego dobra, bo jeśli ośmielisz się tknąć te niewinne zwierzęta, zrobimy z tobą, co zechcemy.

Zrozumiano?

Sciacallo gorliwie pokiwał głową. Puścili go, podniósł się prędko i co sił w nogach pognął do domu.

W tym czasie Lupo wszedł do stajni. Zadowolony upewnił się, że koni starczy dla wszystkich braci.

Zaraz jednak zrzędała mu mina.

Z głośnym szczekaniem podbiegł do niego nieduży piesek. Lupo wymierzył mu kopniaka, ale w pół ruchu coś schwyciło go za nogę i runął jak długi do tyłu.

W następnej chwili pochylił się nad nim potwór. Czy to ten psiak się przeobraził?

Nie, stanął obok i zainteresowaniem przyglądał się jego twarzy. Rycerza natomiast przygniatała do ziemi ohydna bestia, budzący grozę stwór. Lupo o mało nie udławił się własnym językiem.

Nieco dalej ujrzał tego, który złapał go za nogę.

Była to niesamowita istota. Na poły przezroczysta, jakby rozmyta, o długich włosach, odsłoniętych w jadowitym uśmiechu, kozich oczach, dłoniach i palcach tak długich, że zdawały się rozciągać w nieskończoność.

Nidhogg.

Ale o tym Lupo nie wiedział. Zdawał sobie jedynie sprawę, że to jeden z duchów czarnoksiężnika, co oznaczało, że i Móri jest tutaj.

- Nic... nic mi nie możecie zrobić - wydyszał, choć nie miał pewności, czy jakakolwiek rozmowa z ohydnyimi stworami jest możliwa. - Jestem nietykalny.

- Wiemy o tym - rozległ się schrypnięty gruby głos. - Dołącz więc do innych, zanim zjedzą cały chleb!

Lupo poderwał się z ziemi i wybiegł ze stajni. Niech Falco się tym zajmie, on z czarami nie chciał mieć nic wspólnego.

Do domu dotarł jednocześnie ze Sciacallem. Przerażeni i podnieceni wpadli do środka.

- Czary! - wydusili z siebie w kuchni. - Czarnoksiężnik jest tutaj.

Falco, Serpente i Tiburon już wcześniej zorientowali się, że coś jest nie tak.

Tiburon, morderca, usiłował złapać Halle, lecz nie mógł się do niej zbliżyć, jakby odgradzał ją od niego mur pustki.

I tak też właśnie było: Pustka spowiła Halle ochronną mgłą, która odebrała im odwagę.

Lupo i Sciacallo rzucili się na resztki chleba upieczonego przez Halle. Dostaną skrętu kiszek, pomyślała kobieta, ale dobrze im tak! Bezwzględni mężczyźni o lodowatym spojrzeniu przerażali ją do szaleństwa.

Dzięki Bogu, przyszedł Móri i jego synowie. Odsunęła się na bok, żeby umożliwić im wejście do kuchni. Dobrze, że nie przyprowadzili Bjarniego, tak bardzo się o niego bała. Został razem z Tiril.

Bracia zakonnicy także spostrzegli nadejście czarnoksiężnika. Kroczył obok swoich synów, niepodobnych do siebie jak dzień i noc. Jeden miał złocistoblada cerę i czarne jak węgiel oczy, drugi był jasnowłosy, niebieskooki, opalony na brąz.

Falco już miał rozkazać swoim ludziom, by rzucili się do ataku, kiedy zdumienie odjęło mu mowę. Zapatrzył się w to, co nieśli obaj bracia.

- Czyżbyście tego właśnie szukali? - spokojnie spytał Móri.

Rycerze skamienieli. W dłoniach młodego blondyna spoczywał ów owiany legendą niebieski szafir, jaśniał wieloma odcieniami błękitu, rozsyłając blaski po izbie. Przecież takie wielkie kamienie szlachetne nie istnieją, pomyśleli rycerze, czując, jak ogarnia ich niezłomna żądza posiadania cudownej kuli na wyłączną własność. Zapomnieli o Zakonie, o lojalności, do jakiej byli wobec niego zobowiązani, w głowie mieli tylko egoistyczne pragnienie.

Ale i tak wcale nie błękitny szafir przykuł ich uwagę, lecz kamień trzymany w dłoniach czarnowłosego syna.

Rozgorączkowany Sciacallo telepatycznie przesłał myśl bratu Lorenzo: "Oni mają czerwony kamień! Znaleźli drugiego z towarzyszy Świętego Słońca! Zaraz odbierzemy im obie kule. Czarnoksiężnik i jego rodzina dali się złapać w pułapkę, wrócimy z obydwojoma kamieniami. Cóż za triumf!"

W bastionie Zakonu Świętego Słońca w Burgos trwało właśnie spotkanie. Brat Lorenzo otrzymał sygnały przesłane z Islandii.

Wstał z wysokiego krzesła wielkiego mistrza i przekazał wiadomość:

- Na wszystkich bogów, nasi ludzie na Islandii znaleźli nie tylko niebieski, ale także czerwony kamień!

Bracia zakonnicy poderwali się z miejsc.

- Co takiego? Czerwony również? Jesteśmy blisko celu! - wołało jeden przez drugiego jedenastu braci, tylu ich bowiem pozostało.

Brat Lorenzo podniósł dłoń.

- Zaczekajcie! Kamienie wciąż są w rękach synów czarnoksiężnika, to oni je znaleźli. Ale wpadli w pułapkę, nasi ludzie już ich atakują, tak mówi moje źródło, brat Sciacallo.

- Doskonale się spisali - przyznał brat James. - Słyszałem jednak, że straciliśmy brata Ghiottone.

- Niestety - z ponurą miną potwierdził Lorenzo. - I co więcej, zginął także brat Nibbio.

Nie powiedział im prawdy: że brata Nibbio zabił inny spośród rycerzy, Falco.

Tak być nie powinno! Przeprowadzi poważną rozmowę z Falconem, kiedy wysłannicy wrócą do domu.

Z obydwoma szlachetnymi kamieniami!

Rycerze jak zakłęci wpatrywali się w cudowne kule. W obszernej kuchni Halli zapadła niesamowita cisza.

Bracia zakonni przerwali ją równocześnie. Skoczyli w przód, by wyrwać kamienie, zamierzając przy tym zgładzić wszystkich, którzy ośmieliliby się stanąć im na drodze.

Na środku kuchni napotkali jednak niewidzialny mur, odbili się od niego z taką siłą, że niemal przykleili się do przeciwległej ściany. W przerażającej wizji ujrzeli nagle, co ich powstrzymało.

Falco zobaczył jak przez mgłę starszego człowieka o olbrzymiej głowie i potwornych rysach. Nauczyciela. Sciacallo wzroku oderwać nie mógł od tego, który dopadł go przy zagrodzie dla owiec. Ducha Zgasłych Nadziei. Brata Lupo pilnował Nidhogg, a Serpente miał naprzeciw siebie mężczyznę o szlachetnej twarzy i oczach jarzących się złowrogim blaskiem: Hraundrangi - Móriego.

Tiburón, najokrutniejszy z nich wszystkich, stawić musiał czoło niezwykłemu, jakby utkanemu z cienia człowiekowi o oczach takich samych, jakie miał jeden z synów czarnoksiężnika: Cieniowi.

Wokół rozpościerała się melancholijna Pustka, niewidoczna, lecz boleśnie wyczuwalna. Villemann prędko schował niebieski szafir, cudowny kamień nie mógł pozostawać wystawiony na oddziaływanie zła bijącego od pięciu rycerzy.

Falco prychnął, nie miał zamiaru poddawać się tak łatwo.

- Czary! Ale daleko z nimi nie zajdziecie w walce z rycerzami Słońca!

- Nie, tym razem nie ma mowy o czarach - twardym głosem odrzekł Nauczyciel. - Jesteśmy rzeczywiści, podobnie jak rzeczywisty jest strach i ludzkie słabości. Ale

masz rację, człowieku o zimnym spojrzeniu, nie możemy was unicestwić. Możemy natomiast was dręczyć, póki nie zostawicie w spokoju Móriego i jego najbliższych.

- Oddajcie nam kamienie, a nic wam się nie stanie.

- Żeby Zakon zdobył władzę nad światem? Abyście zniszczyli ich cudowną moc i obrócili ją w zło? Czy zdajecie sobie sprawę, jak niebezpieczny może być czerwony kamień, jeśli wpadnie w niepowołane ręce?

Rycerze milczeli. Bardzo chcieli dowiedzieć się czegoś więcej na temat czerwonego kamienia, lecz uważali, że wszelkie pytania uwłaczają ich godności.

- Rozumiem, że pragniecie posiąść szafir, który może dodać siły ciału i duchowi.

Nie znacie jednak mocy czerwonego kamienia. Wracajcie do domu, do swego kraju na Południu i ogłoście Zakonowi, że rezygnujecie z walki o Święte Słońce i jego dwóch współbraci.

- Nigdy!

Do rozmowy włączył się Dolg:

- Sami będziecie sobie winni.

Tiburón wyciągnął z pochwy sztylet i rzucił nim w Dolga, ale nóż w połowie drogi złapała piękna kobieta, która nagle się wyłoniła nie wiadomo skąd. Serpente wymierzył kopniaka Teiturowi, obwąchującemu mu buty, lecz poczuł potwornie bolesne ugryzienie kolejnej bestii.

- Niezłe lotry ci towarzyszą, Móri - warknął Falco. - Ale to w niczym ci nie pomoże.

Potrafimy znieść ból, zresztą nic nie możecie nam zrobić. Nie zdolacie nas tknąć.

- Wiemy o tym - powiedział Dolg. - Nie powinniśmy także krzywdzić was w tym domu, należącym do dobrej kobiety. Po raz ostatni proszę was: wracajcie do swej ojczyzny bez łupu!

Odpowiedzią był pogardliwy śmiech.

Cień odwrócił się i popatrzył na Dolga.

- Możemy ich zatrzymać, dręczyć i okaleczyć. Ale to do niczego nie doprowadzi, Dolgu. Zrób to, co musisz, a wtedy zabierzemy ich stąd i skończymy z nimi z dala od tego domu.

- Puste słowa - prychnął Serpente, a inni mu zawtórowali.

- Myślicie, że tak łatwo damy się przestraszyć?

Dolg musiał działać.

Gwałtownym ruchem wznosił nad głowę czerwoną kulę i zawołał donośnie:

- Obrona już nie wystarcza, szlachetny kamieniu z czasów dawnego ludu. Uczyń to, co konieczne!

Bracia zakonni ze zdumieniem wpatrywali się w wielką, ciemnoczerwoną kulę.

Bijący od niej płomienny blask wypełnił całą izbę. Potem promienie skoncentrowały się na pięciu rycerzach pod ścianą.

Zanieśli się krzykiem, kiedy promienie padły na znaki Słońca na ich piersiach.

Czerwone światło przeniknęło przez płótno koszul i stopiło znaki w rozżarzone bryłki.

Gdy zwęglone symbole wraz z łańcuchami opadły na ziemię, na piersiach mężczyzn ukazały się ślady dotkliwych oparzeń.

Ognisty blask przygasł. Sparaliżowani rycerze poczuli, jak ramiona straszliwych upiorów dźwigają ich z ziemi i wynoszą z domu. Nie mogli się opierać, w żołądkach dodatkowo ciążył im świeży chleb Halli...

Pani powietrza opuszczając kuchnię oznajmiła ludziom łagodnym, miękkim głosem:

- Nigdy więcej już ich nie ujrzycie. Zabierzemy ich daleko stąd i zniszczymy, wszystkich pięciu. Zajmiemy się także tym szóstym, martwym.

Ludzie nie odezwali się ani słowem. Nie mieli nic do powiedzenia.

Żadne z nich nie wiedziało, jaki los spotkał rycerzy. Tylko wielki mistrz Zakonu, brat Lorenzo, wychwycił słaby sygnał, dobiegające z oddali wołanie o pomoc, przekazane mu myślą przez brata Sciacallo.

“Umieramy”, rozległ się krzyk w głowie brata Lorenzo. “Wrzucają nas do krateru wulkanu, wymieniają nazwę Viti, Piekło. Spadamy, spadamy, nie mamy już znaków Słońca...”

Wołanie zamarło, rozplynęło się w otchłani, położonej daleko od lochów w Burgos i słonecznych ulic Genui.

Rozdział 19

- Nie chcieliśmy tego - oświadczył Móri zbielełymi wargami, kiedy wyszli na podwórze i zobaczyli, że ciało Nibbia zniknęło.

- Nikt z nas tego nie chciał - powtórzyli Dolg i Villemann.

Czy aby na pewno? zastanawiała się Tiril. Wszyscy tak pięknie się przekonujemy, że nie pragniemy niczyjej śmierci, ale czy mówimy naprawdę szczerze, zwłaszcza gdy chodzi o zakonnych braci? Jakież więc mamy wobec nich życzenia? Aby się stali grzecznymi i porządnymi obywatelami, nie krzywdzącymi innych? Przecież w głębi ducha wiemy, że to nigdy nie nastąpi.

Owszem, zdarzył się jeden wyjątek: Heinrich Reuss von Gera. On sporządził, chociaż nie wiadomo, gdzie się podziewa, od tamtej pory nie doszły nas już o nim żadne wieści. Ale on został przecież skazany na śmierć przez Zakon, nie miał więc wyboru.

Mimo to polubiłam go. Podczas straszego czasu niewoli w twierdzy w Pirenejach był moim przyjacielem. Później także.

Rzeczywiście, można chyba powiedzieć, że nigdy nie pragnęliśmy niczyjej śmierci. I wolno nam chyba odczuwać ulgę, kiedy ci, którzy chcą tylko zabijać, nas, innych ludzi czy zwierzęta, odchodzą? To przecież bardzo ludzkie odczucia. Ale czy kiedy duchy nas w tym wyręczają, nie uciekamy trochę od odpowiedzialności? Powtarzamy sobie: nie mogliśmy nic poradzić na to, że ci straszni ludzie już nie żyją?

Z bolesnego rachunku sumienia wyrwał ją głos Móriego. Obiecywał Halli, że zostaną jeszcze przez jeden dzień i pomogą jej i Bjarniemu doprowadzić gospodarstwo do porządku.

Potem muszą wracać do Bergen i zająć się córką, samowolną Taran, wyjaśniał Móri.

Ponieważ dziadkowie Bjarniego prosili, by Halla przyjechała do nich z chłopcem porozmawiać o przyszłości, ustalono, że następnego dnia oboje udadzą się z całą grupą do bardziej zamieszkanym okolic. Dziadkowie wszak obiecali, że nie będą już stawiać przeszkód, by matka mogła być z synem.

- Tak mówili wtedy - sceptycznie zauważył Villemann. - Mogli wszak zmienić zdanie.

- Nie - uspokoił go Móri. - To zaklęcie ma trwale działanie. Oni po prostu zdali sobie sprawę ze swego samolubstwa, i już. Pamiętajcie także, że to para nieszczęśliwych starych ludzi, którzy utracili jedyne syna, dziedzica. Być może żywili przekonanie, że robią wszystko dla dobra Bjarniego, ale myśleli zbyt egoistycznie, zbyt materialistycznie. Sądzę, że teraz wszystko się ułoży, zaproponowali nawet przecież, by Halla zamieszkała z nimi. Co ty na to, Hallo? Kobieta nie wyglądała na szczególnie rozradowaną.

- Rzeczywiście, życie tutaj jest samotne i trudne, w pewnym sensie wiąże mnie także obietnica złożona Runarowi, mojemu mężowi. Nie wiem też, czy potrafię w pełni, z całego serca, wybaczyć starym. Zobaczymy. W każdym razie uczynię to, co najlepsze dla Bjarniego.

Tiril objęła Halle ramieniem:

- Obietnica złożona Runarowi już cię nie zobowiązuje, gdyż wymusił ją na tobie, powodowany uporem, chęcią przeciwstawienia się rodzicom. I przecież, jeśli uznasz, że w domu teściów nie masz czym oddychać, zawsze możecie spędzić lato w tej pięknej dolinie.

Móri wziął Halle na bok.

- Twoi teściowie nie pożyją długo - powiedział cicho. - Wyczułem to, kiedy się z nimi witałem. Teściowa jest poważnie chora, choć jeszcze o tym nie wie. Postaraj się rozjaśnić jej ostatnie miesiące! Teść doczeka świąt w tym roku, ale następnych niestety nie.

Halli nie dziwiło już nic, co miało związek z Mórim i jego rodziną. Wzięła sobie do serca jego słowa.

- Pojedziemy z wami, spróbujemy porozmawiać - postanowiła.

- Doskonale!

Wieczorem Tiril zauważyła, że Dolg z Hallą poszli nad rzekę, zatopieni w rozmowie. Obserwowała ich przez cały czas, nigdy się nie dotykali, a mimo to wyczuwała, że wyjątkowo dobrze się ze sobą czują.

Żałuję, że to nie ja jestem powierniczką Dolga, westchnęła w duchu.

Halla także wzdychała, krocząc u boku Dolga w powrotnej drodze do domu.

On nic nie mówi, myślała. Przez cały czas rozmawia ze mną o tak wielu stronach swego życia, ale nie mówi ani słowa o tym, co myśli o mnie.

Halli, kobiecie, bardzo zależało, by cię tego dowiedzieć.

Czego właściwie oczekuję? zastanawiała się dalej. Przecież mówił mi, że nigdy nie rozmawiał z nikim o swych troskach i niepokojach, o samotności na świecie.

Dlaczego to mi nie wystarcza?

Dlaczego? Wiekami jestem wszak bliższa jego matce niż jemu!

Jeszcze tylko jutro i już więcej się nie spotkamy. Muszę się z tym pogodzić, odpędzić niemądre myśli. On mnie traktuje jak najlepszego przyjaciela, czy to nie dość?

Ten przelotny, jakby kierowany do wnętrza uśmiech! Już to tak wiele o nim mówi, pokazuje, że jest odszczepieńcem, samotnym wśród zwyczajnych ludzi. Właśnie wyznał mi, że tęskni za swym ludem, lecz nic o nim nie wie. Nigdy nie zdążył zapytać.

Nie wyjeżdżaj, Dolgu! Zostań na Islandii, tutaj jest twoje miejsce. Kiedy opuścisz ten kraj, jakaś częśćka mnie umrze.

Jest dla mnie taki życzliwy. Nikt nigdy nie rozmawiał ze mną tak bezpośrednio, naturalnie i szczerze. To chyba właśnie jest przyjaźń, nie wierzyłam w jej istnienie.

Prosił, bym opowiedziała mu o sobie, i przyszło mi to bez najmniejszego trudu.

Słuchał z zainteresowaniem, on mnie naprawdę rozumie.

Jedź, Dolgu, jedź stąd, bo ta przyjaźń jest taka piękna, niech taka pozostanie, a gdybyś nie wyjechał, być może przestałoby mi to wystarczać. Nie zniósłabym takiego bólu.

Tiril tego wieczoru długo nie mogła zasnąć. Leżała u boku Móriego pod miękkimi skórami owczymi na ławie w przestronnej izbie Halli.

Po wielu szaleńczych przygodach rozkoszowała się wygodą łóżka. Czowała się niewypowiedzianie zmęczona i dlatego nie zdołała zasnąć. Za oknem lekko szumiała rzeka, od czasu do czasu rozlegał się krzyk jakiegoś nocnego ptaka, poza tym panowała niemal przerażająca cisza. W takiej samotności Halla żyła przez całe lata. Jak sobie radziła? Lojalnie dotrzymywała obietnicy danej umierającemu człowiekowi, który na to nie zasłużył.

Halli dobrze zrobi powrót do ludzi. Przyjmą ją, nie potraktują jak wyklętą tylko dlatego, że pragnęła zobaczyć swego syna.

Tiril bardzo chciała wracać już do domu. Poznać tego niezwyklego młodzieńca, który okazał się dla Taran aniołem stróżem (nie zdawała sobie sprawy z tego, ile ma racji, tak właśnie go nazywając). Ona uważała, że dość już przygód, ale nad ukochaną rodziną wciąż wisiało niebezpieczeństwo!

Nie bardzo się zastanawiała nad tym, że i jej coś zagraża. Spokoju nie dawała jej troska o najbliższych.

Zdobyli już czerwony granat. Czy nie mogą na tym poprzestać?

Niestety, muszą powstrzymać zapędy złego zakonu. Ponadto Dolg w połowie należał do Cienia, a Cieniowi nie wolno się przeciwstawiać.

To nie my polowaliśmy na te kamienie z innego świata, nie my ich pragnęliśmy, ale wciąż wciągani jesteśmy w tę grę. Owszem, jesteśmy nią podekscytowani, ja także nie potrafię się temu oprzeć. Przecież sama chciałam przyjechać na Islandię i wcale nie żałuję tej decyzji. Ale już wystarczy. Pragnę, aby moja rodzina mogła nareszcie żyć spokojnie i bezpiecznie.

Chyba tak...

Wszystko zaczęło się ode mnie, pomyślała w poczuciu winy. To ja jestem przyczyną nie kończących się ataków na moich bliskich. Moja matka, w najlepszej wierze, dała mi naszyjnik z szafirów i część jakiegoś klucza.

To była uwertura, niewinny początek historii, która wydaje się nie mieć końca.

W momencie kiedy otrzymałam podarki od matki, rozpoczęła się na mnie nagonka Zakonu Świętego Słońca.

Tiril wróciła myślą do lat, które upłynęły od momentu, gdy na ulicach Bergen znalazła szczeniaka, do wszystkich coraz bardziej niesamowitych wydarzeń, w jakich dane jej było uczestniczyć.

Ale Móri nie za jej przyczyną wyruszył w podróż w nieznane światy, pod tym względem więc była bez winy. Oboje zatem w połowie ponosili odpowiedzialność za to, co ich spotyka. Ta świadomość nieco podnosiła na duchu.

Najbardziej zdumiewał jednak owoc ich związku: Dolg.

Na myśl o synu czuły uśmiech przemknął po twarzy Tiril.

Odruchowo spuściła rękę na podłogę i poczuła szczeciniastą sierść Nera. Pies podniósł łeb i przytulił się do jej dłoni.

Kochany stary Nero! Przez tyle lat dzieliliśmy wszystkie troski i radości, wspólnie przeżywaliśmy przygody, strach, cieszyliśmy się sobą nawzajem.

Połączyła nas też miłość do naszego dziwaka, Dolga. Ty i ja lepiej niż pozostała część rodziny rozumiemy jego samotność i obcość wśród ludzi.

Czy zadanie wyznaczone mu przez Cienia i dawny lud zostało już wypełnione?

Chyba nie.

Tiril zorientowała się, że drogę ku ostatecznemu celowi podzielono na etapy. Dolg dwa z nich miał już za sobą. Aby odnaleźć czerwony kamień, musiał mieć niebieski. Obu potrzebował do odnalezienia ostatniego.

Będzie wtedy miał dwa klucze.

Do czego? Do Wrót?

Do tych wrót, o których tak tajemniczo wspominali przedstawiciele dawnego ludu?

Od tej perspektywy zakręciło jej się w głowie, postanowiła więc skierować myśli na bardziej przyziemne sprawy.

Villemann wiele zyskał podczas tej podróży. Dobrze, że z nimi pojechał. I dla nich też dobrze, ogromnie się im przysłużył. Zyskał też więcej wiary w siebie. Wiedział, że w ich oczach ma teraz taką samą wartość jak Dolg. Wprawdzie tak było zawsze, lecz on nie mógł w to uwierzyć.

Villemann ostatnio bardzo wydorósł, byle nie za bardzo, byle nie stracił swej otwartości, dziecięcej wesołości, zdolności spontanicznego okazywania radości, dumy i żalu w wypadku niepowodzenia. To doprawdy rzadka zdolność, za wszelką cenę powinni ją podtrzymywać. Dlatego zresztą zawsze starali się nie pętać Villemanna zakazami, pozwalali mu swobodnie się rozwijać.

Może właśnie to Villemann rozumiał opacznie? Dolga oceniali surowiej, więcej wymagali od starszego syna. Może Villemann odbierał to jako brak zainteresowania?

Tiril postanowiła ostrożnie porozmawiać z nim o tym nazajutrz.

Obaj synowie wyrosli na wspaniałych młodych ludzi. Teraz muszą wracać do Bergen i zająć się uporządkowaniem spraw, w które wplątała się ich nadmiernie samodzielna córka.

Człowiek - jaszczur?

To jakiś nonsens! Jakby nie dość było duchów, cieni, elfów i innych istot przyrody, to jeszcze muszą się zadawać z jakąś skamieliną z pradawnych czasów?

I opiekunem z ognistym mieczem?

Cóż z nich właściwie za rodzina? Dlaczego Móri, ona i ich dzieci przyciągają istoty, których istnienie trudno sobie nawet wyobrazić?

A raczej wręcz takie, które nie istnieją?

Znała odpowiedź: działa się tak, ponieważ otarli się o coś wielkiego, podobnie jak Zakon Świętego Słońca.

Ostatni raz pogłaskała Nera po wielkim łbie i odwróciła się do ściany. Objęła Móriego i mocno się do niego przytuliła,

Teraz było jej tak dobrze!

Dzięki za wszystko, co mi dałeś, Móri. Żadna kobieta nie mogłaby marzyć o bogatszym życiu, chociaż czasami nasze losy dziwnie się plotą.

Nie chciałabym jednak, aby było inaczej. Pragnę brać udział w niesamowitych wydarzeniach, tak jest o wiele lepiej, niż stać z boku i zamartwiać się o was.

Mam nadzieję, że teraz możemy liczyć na trochę spokoju. Przemierzyliśmy już całą Europę. Gdzieśmy nie byli! Na razie wystarczy.

Przemierzać Europę?

Dobrze, że Tiril nie potrafiła przewidywać przyszłości.

Rozdział 20

W Burgos, w wielkich salach pod starą twierdzą, brat Lorenzo wstał ze swego krzesła. Twarz pociemniała mu z bezsilnego gniewu.

- Dziewięciu ludzi! - wrzasnął. - Dziewięciu dzielnych rycerzy straciliśmy w ciągu jednego tylko miesiąca! Dwóch w Norwegii, siedmiu na Islandii.

Twarze pozostałych jedenastu wyrażały podobne przygnębienie, wściekłość i niemożność zrozumienia. Jak to możliwe, by rodzina czarnoksiężnika potrafiła zadać Zakonowi takie straty? A przecież nie liczyli braci zakonnych, którzy już wcześniej ponieśli śmierć z ich rąk!

Brat Lorenzo syczał przez zęby;

- Falco, Nibbio, Lupo, Ghiottone, Sciacallo, Serpente i Tiburón na Islandii, a w Norwegii brat Rasmus i brat Robert... Nie mogę w to uwierzyć! Ale tak się stało naprawdę!

Pozostali milczeli, przybici stratą. Dziewięciu rycerzy z dwudziestu jeden. Niewielu ich zostało. Tylko ci, którzy przybyli na nadzwyczajne zgromadzenie.

Brat Gaston podniósł głos:

- Jeśli któryś z was pragnie zrezygnować z poszukiwań Świętego Słońca, niech to zgłosi natychmiast.

Odpowiedziały mu urażone protesty. Nikt nie miał zamiaru wycofać się z gry.

- Doskonale - oznajmił brat Gaston. - Wobec tego mam dwie propozycje, jeśli wielki mistrz mi pozwoli?

- Posłuchajmy - kiwnął głową Lorenzo i usadowił się wygodniej.

- Po pierwsze, proponuję kontynuować pościg za czarnoksiężnikiem...

Jeden z braci natychmiast się poderwał:

- O, tak, pozwólcie mi, mogę...

Brat Gaston uciszył go ruchem ręki. Głos w sali zabrzmiał donośnie.

- Dajcie mi powiedzieć wszystko do końca! Będziemy ich dalej ścigać, lecz teraz przy użyciu ich własnych środków. Magią!

Zapadła cisza.

- Jak masz zamiar do tego doprowadzić? - cierpko spytał Lorenzo. - Kardynał von Graben był doskonałym czarownikiem, lecz i on nie potrafił się z nimi zmierzyć.

Brat Gaston uśmiechnął się tajemniczo.

- Powiadają, że w moim kraju, we Francji, w małym miasteczku, mieszka potężna czarownica. Brat Willum, który okazywał przed chwilą taki zapał, mógłby się do niej udać.

- Nie możemy wtajemniczać osób postronnych w nasze poczynania! - wtrącił inny rycerz.

- Ona nie musi wiedzieć, o co chodzi. Jej zadaniem będzie unieszkodliwienie czarnoksiężnika i jego syna. Wiedźma z pewnością potraktuje to jako wyzwanie.

Przez chwilę próbowali przetrwać jego słowa.

- A druga propozycja, bracie Gastonie? - spytał Lorenzo. Czarne niegdyś włosy bardzo mu posiwiały, również na twarzy wiek odcisnął już swoje piętno.

Brat Gaston, także nie najmłodszy, dobrze się czuł stojąc przy stole i skupiając na sobie uwagę zebranych.

- Oto co jeszcze proponuję: zapomnijmy o dwóch pobocznych kamieniach, a zajmijmy się poszukiwaniem najważniejszego, Świętego Słońca.

Te słowa wywołały ożywioną dyskusję.

Wreszcie brat Lorenzo ciężką pałką uderzył w stół.

- Twoje propozycje, bracie Gastonie, są absolutnie warte zastanowienia, wysoko je cenimy, ponieważ wnoszą coś nowego, a nie tylko skargi i narzekania.

Przemyślimy je i omówimy jak najdokładniej. Czy wszyscy się ze mną zgadzają? Owszem, wszyscy byli zgodni, każdy miał jakiś argument.

Jeden z rycerzy, w podobnie tajemniczo mrocznej opończy jak pozostali, zauważył;

- Jeśli mamy przyjąć pierwszą propozycję, należy działać jak najprędzej.

Rozumiemy bowiem, że rodzina opuściła już Islandię i za mniej więcej tydzień przybędzie do Norwegii. Później z pewnością wyruszą na południe, do Austrii.

Brat Lorenzo burknął:

- Rzeczywiście, jeśli chodzi o podróżowanie, to ich ruchliwość przekracza wszelkie granice! Miejmy nadzieję, że teraz, kiedy skradli nasze kamienie, zachowają więcej spokoju.

Wielki mistrz Zakonu Świętego Słońca mylił się w dwóch punktach. Po pierwsze, Zakon nie wiedział o istnieniu niebieskiej i czerwonej kuli, dopóki Dolg nie odnalazł szafiru, a biskup Engelbert nie przypomniał sobie, ku wielkiej wściekłości kardynała, że w dzieciństwie słyszał o dwóch szlachetnych kamieniach.

Po drugie, Lorenzo bardzo się omylił co do podróży Móriego i jego rodziny.

Dotychczasowe wyjazdy można przyrównać do majówek w porównaniu z tym, który miał nastąpić teraz.

Wiedźma z Francji będzie mieć trudności, jeśli postanowi towarzyszyć im w kolejnej wyprawie.

Dolg stał na rufie statku zapatrzony w oddalające się góry Islandii. Opuścili już Seydhisfjordhur i wzięli kurs na Norwegię. Serce pękało mu z bólu na myśl, że musi opuścić tę niezwykłą wyspę, gdzie poczuł się jak w domu, rozstać z elfami i jedyną prawdziwą przyjaciółką, Hallą, i jej dzielnym synem Bjarnim. Niepokoił się także, co czeka ich później. Cieszył się natomiast, że będzie mógł pokazać czerwony kamień Taran, babci Theresie i Erlingowi, Rafaelowi i Danielle. Wiedział już, że czerwona kula nie zagraża nikomu, kto pragnie czynić dobro. Nie stanowi

też żadnego zagrożenia dla nikogo z rodziny, ponieważ tylko oni mogą przywrócić kamieniom ich dawne miejsce.

Ale rycerze Zakonu Świętego Słońca powinni się jej wystrzegać, otrzymali już na to przerażający dowód.

Dolg nie zdawał sobie sprawy, że oto wraca do małej tragedii miłosnego trójkąta, w którym role grali Villemann, Danielle i on sam. Nie przypuszczał nawet, że dwoje wspaniałych ludzi może cierpieć z jego powodu. Villemann - ponieważ kochał Danielle, dziewczyna zaś nawet go nie dostrzegала, gdyż światła nie widziała poza Dolgiem. A Dolg nie zauważał jej milczącego podziwu. Jedyłą zorientowaną w sytuacji osobą była Taran. Z zapałem, chociaż trochę niezręcznie, podkreślała w obecności Danielle wszelkie zalety Villemanna. Taran miała świadomość, że serca Dolga nie da się zdobyć. Nie wiedziała, czy to Cień odebrał mu zdolność serdecznego pokochania drugiego człowieka, ale tak właśnie podejrzewała i bardzo ją to gniewało.

Rafael o niczym nie wiedział, żył w swoim świecie poezji i pięknych baśni.

Pewnego dnia i w niego uderzy piorun ziemskiej miłości, myślała Taran nie bez złośliwości. Tak jak trafił mnie i Uriela.

Chociaż czy w stosunku do Uriela można używać określenia "ziemski"?

Myśli Dolga były wolne od takich problemów, kiedy stał na pokładzie, rozmarzonym wzrokiem wpatrując się w strome wybrzeża Islandii. Widział wyłaniające się kolejne pokryte śniegiem szczyty, zielone brzegi, pustkowia.

Już tęsknił, by do nich wrócić.

Dotarło doń wołanie z oddali. Głuche, pozbawione słów dźwięki, niosące się od gór zwielokrotnionym echem.

Głosy karłów.

Przymknął oczy i wyteżył słuch. Olinowanie żagli skrzypiało na wietrze, fale uderzały o burty. Na szczęście stał na rufie sam i nikt mu nie przeszkadzał.

Powoli zaczął rozróżniać słowa. To elfy wołały:

- Lanjelinie z dawnego ludu! Wróć do nas, opowiedz nam swoją historię, kiedy już ją przeżyjesz!

- Wróć! - odkrzyknął, bo żaden człowiek nie mógł go usłyszeć. - Z największą przyjemnością! Przyjaciele, zajmijcie się Hallą i jej synem, jak obiecaliście, zróbcie to dla mnie!

- Bądź spokojny!

Wiedział, że już tak się stało. Spotkanie Halli z dziadkami Bjarniego przeszło wszelkie oczekiwania. W wielkim godpodarstwie z radością przywitano to, co należało do Halli, trzodę, wszystkie przedmioty, które wykonała w samotne wieczory...

A jeszcze tego samego dnia Bjarni wykopał z ziemi dawno ukryty skarb, srebro. Dolg i jego rodzina nie mieli wątpliwości, za czyją sprawą się tak stało.

Potem rozległo się wołanie karłów, kilkakrotnie odbite od skał, zanim wreszcie dotarło do Dolga:

- Dolgu, Dolgu, nasz rycerzu i wybawicielu! Wszystkie karły ziemi będą śledzić twe poczynania na świecie. My, karły, nigdy się nie pokazujemy, lecz wielokrotnie przychodziliśmy ci z pomocą.

- Wiem o tym - odpowiedział. - Dzięki wam, wszystkie karły ziemi!

I nagle, nieoczekiwanie, rozległo się inne wołanie. Kobięce głosy, piękne i łagodne.

- Nasza opieka będzie ci towarzyszyć, jesteś naszą wielką nadzieją i pociechą! Dawny lud! Być może to wołała Strażniczka z bagien, i ta druga, którą spotkał w grotach Gjain?

Nagle obok niego pojawił się Cień.

- Twoje drugie zadanie zostało wykonane, Dolgu. Chwała za to należy się wyłącznie tobie i twoim najbliższym.

- Dziękuję - odparł po prostu.

Stali w milczeniu. Wybrzeże Islandii z wolna zapadało się w morze, a wraz z nim echo cichło aż zupełnie przebrzmiało.

